

A. MICKIEWICZ

DZIEŁA
A. MICKIEWICZA

===== TOM IV. =====



MIKOŁÓW

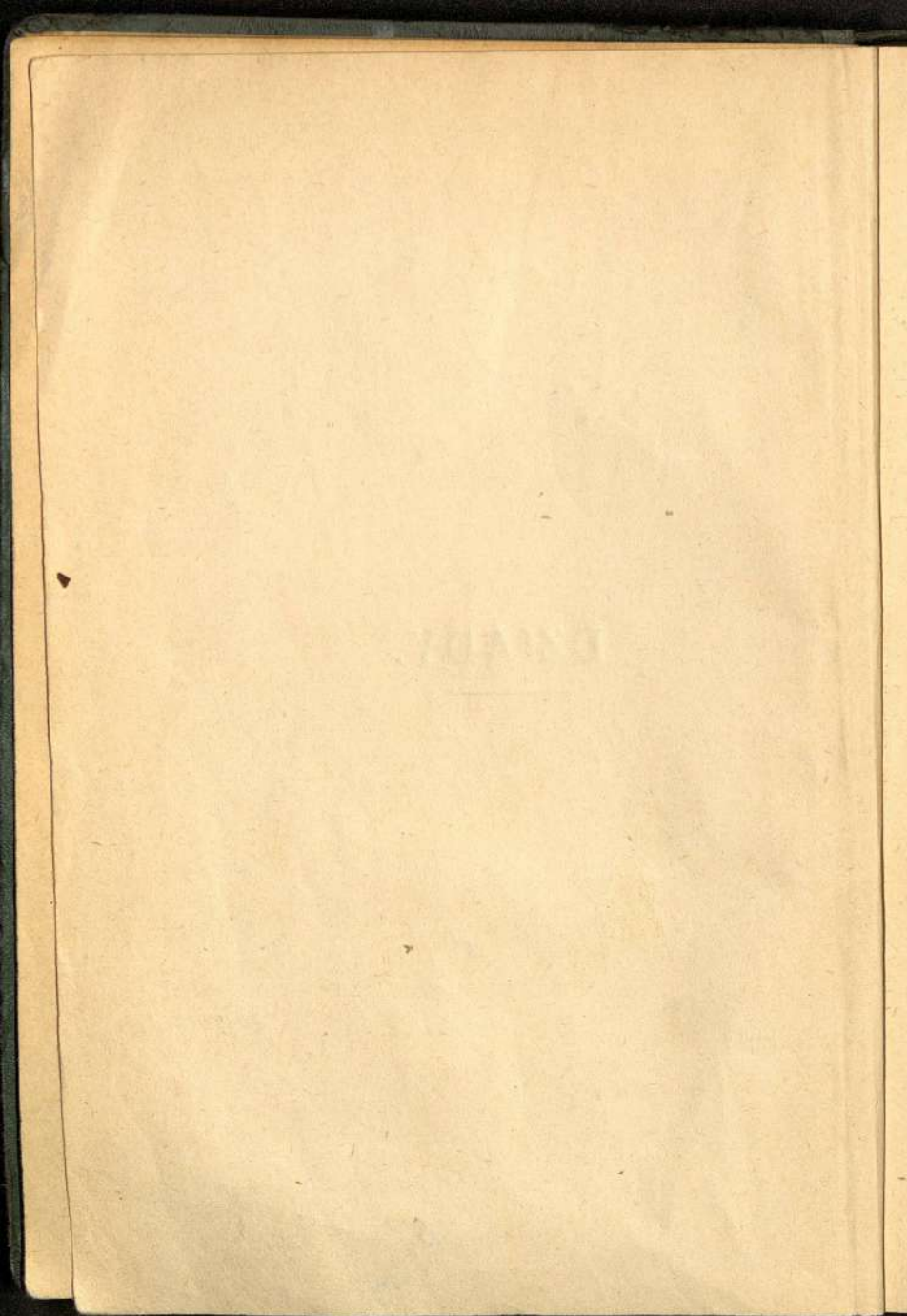
NAKŁADEM I DRUKIEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI.



MIC
DZIE

95

DZIADY.



CZĘŚĆ I.

Fragmenta z rękopisów pośmiertnych.

Prawa strona teatru. — DZIEWICA w samotnym pokoju. Na boku ksiąg mnóstwo. Fortepian, okno z lewej strony na pole, na prawej wielkie zwierciadło, świeca gasnąca na stole i księga rozłożona (romans „Walerja“).

DZIEWICA (*wstaje od stołu*).

Swieco niedobra, właśnie pora była zgasnąć!
I nie mogłam doczytać — czyż podobna zasnąć?
Walerjo! Gustawie, anielski Gustawie!
Ach, tak mi często o was śniło się na jawie,
A przez sen — będę z wami, Pan Bóg wie, dopóki!
Smutne dzieje! Jak smutnej są źródłem nauki!

(*Po pauzie z niesmakiem*).

Poco czytam? Już koniec przezieram z daleka!
Takich kochanków tutaj (*wskazuje ziemie*) cóż innego czeka?
Walerjo, ty przecież z pomiędzy ziemianek
Zazdrości godna! Ciebie ubóstwiał kochanek,
O którym inna próżno całe życie marzy,
Którego rysów szuka w każdej nowej twarzy
I w każdym nowym głosie nadaremnie bada
Tonu, który jej duszy brzmieniem odpowiada.
Bo ich twarze tchną głazem, jak Meduzy głowa,
Nad słotny deszcz jesienny zimniejsze ich słowa!

Codzień z pamiętką nudnych postaci i zdarzeń
Wracam do samotności, do książek, do marzeń,
Jak podróżny, wśród dzikiej wyspy zarzucony:
Co rana wzrok i stopę niesie w różne strony,
Ażali gdzie istoty bliżniej nie obaczy —
I co noc w swą jaskinię powraca w rozpacz.
Szalony! Niech ukocha swe samotne ściany
I nie targa łańcucha, by nie drażnić rany. —

Witajże, ma jaskinio! Na wieki zamknęci,
Nauczmy się więźniami stać się z własnej chęci.
Czyż nie znajdziem zatrudnień? Mędrce dawnych wieków,
Zamykali się szukać skarbów albo leków
I trucizn; my, niewinni młodzi czarodzieje,
Szukajmy ich, by otruć własne swe nadzieje;
A jeżeli do grobu wstęp dla nas zawarty,
Pochowajmy swą duszę za życia w te karty!
Można pięknie zmartwychwstać i po takim zgonie —
I przez ten grób jest droga na Elizu błonie;
Zamieszkałem wśród cieniów zmyślonego świata
Nudnej rzeczywistości nagrodzi się strata.

Cieniów? Nigdyż nie było między ziemską bracią
Takich cieniów, śmiertelną więzionych postacią?
Dusze ich wzięły-ż bytność z poetów wyroku,
Kształty odlane-ż tylko z pięknych słów obłoku?
Nie mogą przyrodzenia tą myślą obrażać,
Nie mogą bluźnić Twórcy — i siebie znieważać.

W przyrodzenia powszechnej ciał i dusz oczywiście
Wszystkie stworzenia mają swe istoty bliżnie:
Każdy promień, głos każdy, z podobnym spojony,
Harmonją ogłasza przez farby i tony —
Pylek, błądzący wśród istot ogromu,
Padnie wkońcu na serce bliźniego atomu —
A tylko serce czuje, z dozgonną tęsknotą
W rodzinie tworów jedną ma zostać sierotą?
Twórca mi dał to serce; choć w codziennym tłumie
Nikt poznać go nie może, bo nikt nie rozumie —
Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnymi lata!

O, gdybyśmy, dzielące rozerwawszy chmury,
Choć przed zgonem tęsknemi spotkali się pióry
Lub słowem tylko, wzrokiem — dosyć jednej chwili,
Dosyć, by się dowiedzieć tylko, żeśmy żyli —
Wtenczas dusza, co ledwie czucia swe ogarnia,
W której rozkosze truje samotna męczarnia,
Z ciemnej, głuchej jaskini stałaby się rajem!
Jakby miło poznawać, zwiedzać ją nawzajem
I, cokolwiek pięknego w myślach zajaśnieje,
Co szlachetnego mają tajne serca dzieje,
Rozświecić przed oczyma kochanej istoty,
Jak wylamane z piersi kryształów klejnoty!

Wtenczas przeszłość do życia moglibyśmy wcielić
Wspomnieniem; możnaby się z przeszłości weselić
W przeczuciu; a, obecnem chwil lubych użyciem
Łącząc wszystko, żyć całem i zupełnem życiem...
Bylibyśmy, jak lotne tchnienia, co je rosa
Wiosennym zionie rankiem, dążące w niebiosa,
Lekkie i niewidome — lecz, kiedy się zlecą,
Spłoną i nową iskrę pośród gwiazd rozświecą.

*Na lewą stronę teatru wchodzi chór wieśniaków, niosących jedzenia
i napoje; starzec, pierwszy z chóru, na czele.*

GUŚLARZ.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie.
Z czujnym słuchem, z baczem okiem
Spieszmy się w tajnym obrzędzie,
Z cichem pieniem, wolnym krokiem!
Wszak nie nucim po kolędzie,
Nucimy piosnkę żałoby;
Nie do dworu z nowym rokiem,
Ze łzami idziem na groby.

CHÓR.

Póki ciemno, głucho wszędzie,
Spieszmy się w tajnym obrzędzie!

GUŚLARZ.

Spieszmy cicho i powoli
Poza cerkwią, poza dworem,
Bo ksiądz guseł nie dozwoli,
Pan się zbudzi nocnym chorem.
Zmarli tylko wedle woli
Spieszą, gdzie ich guślarz woła;
Żywi są na pańskiej roli —
Cmentarz pod władzą kościoła.

CHÓR.

Póki ciemno, głucho wszędzie,
Spieszmy się w tajnym obrzędzie!

(Chór młodzieńców do Dziewczyny).

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda!
Nie płacz: i oczek i dłoni szkoda.
Te oczki innym żrenicom błysną,
Te rączki inną prawicę ścisną.

Od lasu para gołąbków leci,
Para gołąbków, a orlik trzeci;
Uszlaş, gołąbko — spojrzij do góry,
Czy jest za tobą mąż srebrno-pióry?

Nie płacz, nie wdychaj w próżnej żalobie!
Nowy małżonek grucha ku tobie:
Nóżki z ostrogą, szyję mu wieńczy
Wstażka błękitna w kolorze tęczy.

Róża z fijołkiem na letniej łące
Podają sobie dłonie pachnące:
Pieszy robotnik kosi dąbrowę,
Zranił małżonka — zostawił wdowę.

Płaczesz i wdychasz w próżnej żalobie:
Wysmukły narcyz kłania się tobie;
Jasną żrenicą wśród polnych dzieci,
Jak księżyc między gwiazdami świeci.

Nie łam twych rączek, niewiasto młoda,
Nie płacz: i rączek i oczu szkoda.
Ten, po kim płaczesz, wzajem nie błysnie
Okiem ku tobie, ręki nie ściśnie.

On ciemny krzyżyk w prawicy trzyma,
A miejsca w niebie szuka oczyma;
Dla niego na mszę daj, młoda wdowo,
A dla nas, żywych, piękne daj słowo!

(Do Starca).

Nie tęsknij, starcze, prosimy, młodzil!
Tęsknota sercu i myślom szkodzi;
W tem sercu dla nas żyją przykłady,
W tych myślach dla nas jest skarbiec rady.

Stary dąb zrzuca powiewne szaty,
O cień go proszą trawy i kwiaty.
— „Nie znam was, dzieci nowego rodu,
Czyliście warte cienia i chłodu;
Pod mą zasloną trawy i kwiaty“. —
Nie takie rosły dawnemi laty

Przestań narzekać, niesłuszny w gniewie!
Jak było dawniej, nikt o tem nie wie.
Uwiedną jedni, powschodzą inni;
Chociaż mniej piękni — cóż temu winni!
Strzeż naszej barwy, ciesz się z okrasy,
A z nas dawniejsze wspominaj czasy.

Nie wzdychaj, starcze, w próżnej tęsknocie!
Wielu straciłeś — zostały krocie.
Nie całe twoje szczęście jest w grobie,
Nie tam są wszyscy znajomi tobie.
Weź trochę szczęścia od nas, szczęśliwych,
Szukaj umarłych pośród nas, żywych!

GUŚLARZ.

Kto, błądząc po życia kraju,
Chciał pilnować prostej drogi,
Choć mu los, wedle zwyczaju,
Wszędzie siał ciernie i glogi —
Nareszcie po latach wielu,
W licznych troskach, w ciężkich nudach
Zapomniał o drogi celu,
Aby znaleźć wczas po trudach —

Kto z ziemi patrzył ku słońcu,
Myślał z orły siedł w przeloty
I nie znał ziemi, aż wkońcu,
Kiedy wpadł w otchłań ciemnoty —

Kto żalem pragnął wydzwignąć,
Co znikło w przeszłości łonie —

Kto żądzą pragnął doścignąć,
Co ma przyszłość w tajnem łonie —

Kto poznał swój błąd niewczesnie,
O gorszej myśli poprawie:

Mruży oczy, by żyć we śnie
Z tem, czego szukał na jawie —

Kto, marzeń tknięty choroba,
Sam własnej sprawca katuszy,
Darmo chciał znaleźć przed sobą,
Co miał tylko w swojej duszy —

Kto wspominasz dawne chwile,
Komu się o przyszłych marzy: —

Idź ze świata ku mogile,
Idź od mędrców do guślarzy!

Mrok tajemnic nas otacza,
Pieśń i wiara przewodniczy;
Dalej z nami, kto rozpacza,
Kto wspomina i kto życzy!

CHÓR MŁODZIEŻY.

Tu guślarz kazał młodzieży
Stań na drogi polowie:
Tam, na wzgórku, wioska leży,
A tam mogiłek w dąbrowie.

MŁODZIEŻ.

Miedzy kolebką i groby
Młody nasz wiek w środku stoi:
Śród wesela i żaloby
Stójmyż w środku, bracia moi!

Nie godzi się do wsi wracać,
Nie godzi się biec w ich ślady:
Tu będziemy święcić Dziady
I piosnkami noc ukracać.

Będziemy idących witać
I powracających pytać,
Lękliwym rozpędzać trwogę,
Błędnym pokazywać drogę.

Zaszło słońce — biegą dzieci,
Idą starce, płaczą, nuca;
Lecz znowu słońce zaświeci —
Wróć dzieci, starce wróć.

Nim dojdzie siwizny dziecię;
Nim starego dzwon powoła,
Jeszcze ich spotka na świecie
Niejedna chwilka wesola.

Ale kto z nas w młode lata
Nie działa rzeźwem ramieniem,
Ale sercem i myśleniem —
Taki zgubiony dla świata.

Kto, jak zwierz, pustyni szuka.
Jak puhacz, po nocy lata,
Jak upiór, do trumny puka —
Taki zgubiony dla świata.

Kto w młodości pieśń żaloby
Raz zanucił — wiecznie nuci;
Kto raz zablądził na groby —
Już z nich na świat nie powróci.

Niech więc dzieci i ojcowie
Idą w kościół z prośbą, z chlebem —
Młodzi, na drogi polowie
Zostaniem pod czystym niebem.

DZIECIĘ.

Wróćmy lepiej do chaty! Coś tam od kościoła
Błysnęło: ja się boję; coś po lesie woła...
Jutro pójdziem na cmentarz: ty swoim zwyczajem
Dumać — ja zdobić krzyże kwiatami i majem.
Mówia, że dzisiaj w nocy umarłych spotkamy.
Ja ich nie znam, ja własnej nie pamiętam mamy.
Ty oczy w dzień masz słabe — pragnąłbyś daremnie
Dawno widzianych ludzi rozeznać po ciemnie.
I słuch masz słaby; pomnisz — dwie temu niedziele,
Zebrało się i krewnych i sąsiadów wiele
Urodziny twe święcić; tyś w milczeniu siedział,
Nic nie słyszał, nikomu nic nie odpowiedział.
Zapytałeś na koniec, poco ta gromada
Zeszła się w dzień powszedni i czy mrok już pada?
A my przyszli winszować, i od kilku godzin
Słońce zaszło, i był to dzień twoich urodzin...

STARZEC.

Od tego dnia, ach, jakżem daleko odpłynął!
Wszystkie-m znajome lądy i wyspy ominął.
Wszystkie dziedziczne skarby znikły w czasie toniach!
Cóż mnie po waszych twarzach, i głosach, i dłoniach?
Twarze, którem z dzieciństwa ukochać przywykał,
Dłonie, co mię pieściły, głos, co mię przenikał,
Gdzież są? Zgasły, przebrzmiały, zmieniły się, starły!...
Nie wiem, czym pośród trupów, czylim sam umarły.

Ale inny świat rzucam, aniżelim zastał.
 Nieszczęsny, kto częściami do mogiły wrastał!
 Twój jeszcze głos, mój wnuku, ostatnia pociecho,
 Jak po umarłej pieśniach niemowlęce echo,
 Tuła się i, głos matki powtarzając, kwili.
 Lecz i ty mnie porzucasz, jak inni rzucili...
 Pójdę sam. Kto w dzień błdzi i żywych nie słyszy —
 Widzi w nocy, zna język grobowej zaciszy.
 Nie zabłądź, wszak co rok chodziłem tą drogą,
 Zrazu, jak ty, mój synu, z niemowlęcą trwogą,
 Potem, jak chłopiec, pełen ciekawej ochoty,
 Potem z tęsknotą — teraz nawet bez tęsknoty,
 Bez żalu... Cóż mię wiedzie? Jakiś zapęd nowy,
 Ciemne przeczucie... Może to instynkt grobowy.
 Znajdę cmentarz, i coś mi w głębi duszy wróży,
 Że nazad już nie będę potrzebował stróży.
 Ale, nim się rozłączę, twe służby dziecięce
 Nagrodzę. Pójdź, mój synu, uklękniij, złóż ręce!

Boże, co mi rozkazał spełnić kielich życia
 I zbyt wielki, zbyt gorzki dałeś mi do picia,
 Jeśli względów twojego miłosierdzia godna
 Cierpliwość, z którą gorycz wychyliłem do dna —
 Jedynej, lecz największej śmiem żądać nagrody:
 Pobłogosław wnukowi, niechaj umrze młody!

Badź zdrow! Stój i raz jeszcze ściśnij dziada rękę!
 Daj mi twój głos usłyszeć: zaśpiewaj piosenkę
 Ulubioną i tyle powtarzaną razy
 O zaklętym młodzieńcu, przemienionym w glazy!

DZIECIĘ (*śpiewa*).

„Młodzieniec zaklęty“.

Wylamawszy zamku bramy,
 Twardowski błdził śród gmachów,
 Biegł na wieże, schodził w jamy.
 Co tam czarów! Co tam strachów!

W jednym sklepisku zapadłem
 (Jak dziwny rodzaj pokuty!)
 Na łańcuchu przed zwierciadłem
 Stoi młodzieniec okuty.

Stoi, a z ludzkiej postaci,
Mocą czarownych omamień,
Coraz jakąś częśćką traci
I powoli wrasta w kamień.

Aż do piersi już był głazem,
A jeszcze mu błyszczą lica
Męstwa i siły wyrazem,
Czułością świeci źrenica.

„Kto jesteś — zakłęty rzeczy —
Coś te gmachy zdobył śmiało,
Gdzie tak mnogie pękły miecze,
Tylu wolność postradało?”

„Kto jestem? O, drży świat cały
Przed mą szablą, na me słowa
Wielkiej mocy, większej chwały:
Jestem rycerzem z Twardowa”.

„Z Twardowa?... Za moich czasów
Nie słyszałem o nazwisku
Ni wśród wojennych zapasów,
Ni na rycerskiem igrzysku.

Nie zgadnę, jak długie lata
Mogłem w więzieniu przesiedzieć;
Ty świeżo wracasz ze świata:
Musisz mi o nim powiedzieć.

Czy dotąd Olgierda ramię,
Naszą Litwę wiodąc w pole,
Po dawnemu Niemcy łamie,
Tratuje stępy mongole?”

„Olgierd? Ach, już przeminęło
Dwieście lat po stracie męża!
Lecz z jego wnuków Jagiełło
Teraz walczy i zwycięża”.

„Co słyszę!... Jeszcze dwa słowa:
Może w twych błędnych obiegach
Byłeś, rycerzu z Twardowa,
Na Świtezi naszej brzegach?

Czy tam ludzie nie mówili
O Poraju, silnej ręki,
I o nadobnej Maryli,
Której on ubóstwiał wdzięki?"

„Młodzieńcze, nigdzie w tym kraju,
Od Niemna po Dniepru krańce
Nie słyszałem o Poraju
Ani o jego kochance.

Poco pytać? Czasu strata!
Gdy cię wyrwę z tej opoki,
Wszystkie ciekawości świata
Własnymi odwiedzisz kroki.

Znam czarodziejską naukę,
Wiem dzielność tego zwierciadła:
Wraz je na drobiazgi stłukę,
By z ciebie ta larwa spadła“.

To mówiąc, nagłym zamachem
Dobyl miecza i przymierza,
Ale młodzieniec z przestachem:
„Stój!“ — zawołał na rycerza. —

„Weźmij zwierciadło ze ściany
I podaj je w moje ręce!
Niech sam skruszę me kajdany
I uczynię koniec męce!“

Wziął i westchnął; twarz mu zbladła
I zalał się łez strumieniem
I pocałował zwierciadło —
I cały stał się kamieniem.

PIEŚŃ STRZELCA.

Śród wzgórzów i jarów
I dolin i lasów,
Śród pienia ogarów
I trąby hałasów —

Na koniu, co lotem
Sokoły zadumi,
I z bronią, co grzmotem
Pioruny załtumi —

Wesoły, jak dziecko,
Jak rycerz, krwi chciwy —
Odważnie, zdradziecko
Bój zaczął myśliwy.

Witajcież rycerza,
Pagórki i niwy!
Król lasów, pan zwierza,
Niech żyje myśliwy!

Czy w niebo grot zmierza,
Czy w knieje i smugi —
Stąd leci grad pierza,
Stąd płyną krwi strugi.

• Kto w puszczy dojedzie
Odyńca bez trwogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?

Czyj dowcip gnał rojem
Lataczów do sideł?
Kto wstępny wziął bojem
Sztandary ich skrzydeł?

Witajcież rycerza,
Pagórki i niwy!
Król lasów, pan zwierza,
Niech żyje myśliwy!

Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
Z tropu w trop, dalejże, dalejże!
Dalejże, dalejże, z tropu w trop,
Z tropu w trop, hop! hop! —

GUSTAW.

Spolowałem piosenkę! Nie będą się gniewać
Myśliwi, że do domu wracam bez zwierzyny.
Jak tylko wrócę, zaraz muszę im zaśpiewać.

Lecz gdzie zaszedłem? Nigdzie śladu, ni drożyny...
Hola! Jak w kniei głucho! Ni trąby, ni strzału...
Zbłądziłem. Otóż skutek wiecznego zapalu!
Goniąc muzę, wyszedłem z obławy. — Mróz ciśnie.
Trzeba ogień nałożyć; gdy światło zabłyśnie —

Nuż jaki spółtowarzysz z myśliwej czeladzi
Błądzi, jak ja — ten ogień razem nas sprowadzi;
Łacniej drogę znajdziemy.

O mój przyjacielu!
Takich, jak ty, myśliwych nie znalazłbyś wielu.
Oni z lasu nie zwykli spoglądać w obłoki,
Ogarami na piękne polować widoki;
Z jednym zawsze zamiarem i z jedną żądzą
Na ziemi tropią zdobycz; tem lepiej... nie błądzą.
Pewnie już z rzeźwem sercem i spoconem czołem
Dzienną zabawę kończą za biesiadnym stołem:
Każdy chlubi się z przeszłych lub przyszłych zdobyczy,
Każdy swe trafne strzały, cudze pudła liczy;
Zartują z siebie głośno lub szepcą do ucha,
Wszyscy mówią, a jeden stary ojciec słucha.
A jeśli się na koniec uprzykrzyły łowy,
Natenczas do sąsiadek uśmiechy, rozmowy —
Czasem strzelecka miłość, wędrowna ptaszyna,
Serce przelotem zwiedzi... Tak mija godzina
I tydzień i rok przeszły. — Tak bywało wczora,
Tak jest dzisiaj i będzie każdego wieczora.
Szczęśliwi!

A ja... czemuż nie jestem, jak oni?
Wyjechaliśmy razem — cóż mię w pole goni?
Ach, nie zabawy ścigam — uciekam od nudy,
Nie rozkosze myśliwskie lubię, ale trudy —
Że się myśl, a przynajmniej, że się miejsce zmienia,
I że tu nikt mojego nie śledzi marzenia,
Łez pustych, które, nie wiem, skąd w oczach zaświecą —
Westchnień bez celu, które, nie wiem, kędy lecą.
Nie do sąsiadek pewnie — na wiatry, na gaje,
Ku marzeniom...

Myśl dziwna! Zawsze mi się zdaje,
Że ktoś łzy moje widzi i słyszy westchnienia
I wiecznie około mnie krąży, naksztalt cienia.

Ileż razy w dzień cichy szeleszczą na łące
Jakoby nimfy jakiejs stopki latające!
Spojrzę — chwieją się kwiaty i podnoszą głowy,
Jakby z lekka tracone. — Nieraz wśród alkowy,
Samotny, książkę czytam; książka z rąk wypadła,
Spojrzałem — i mignęła naprzeciw zwierciadła

Lekka postać, szepnęła jej powietrzna szata...
Nieraz dumalem w nocy; gdy się myśl rozlata,
Wzdycham — i coś westchnieniem dawało znak życia,
Serce biło — i czułem drugie serca bicia,
Słowo nawet częstokroć, niewyraźnie, głucho,
Jak przelot nocnej muszki, pogłaska mi ucho!

Zasnąłem we mgle jasnej; z góry i z daleka
Coś błyszczy, choć widocznych kształtów nie obleka —
I czuję promień oczu i uśmiech oblicza!
Gdzież jesteś, samotności córo tajemnicza?

Niechaj się twój duch uwieńczy
Choćby marnem, nikłym ciałem;
Okryj się choć rąbkiem tęczy —
Lub jasnym źródła kryształem.

Niechaj twojej blask osłony
Długo, długo w oczach stoi!
Niech twych ust rajskimi tony
Długo, długo słuch się poi!

Świeć mi, słońce! Niech żrenica
Olsnie, patrząc w twoje lica!
Piej, syreno! W lubych głosach
Usnę marzyć o niebiosach.

Ach, gdzie cię szukać? — Od ludzi ucieknę —
Ach, bądź ty ze mną — świata się wyrzeknę!

MYŚLIWY CZARNY.

Latasz, mój ptaszku, za wysoko latasz!
A czy znasz dzielność swoich skrzydelek?
Spojrzyj na ziemię, którą tak pomiatasz:
Co tam wabików, co tam sidelek!

GUSTAW.

Hola! Słysząc śpiewania... Hej! Wszelki duch żywy!
Ozwij się, bracie! Kto jesteś?

MYŚLIWY.

Myśliwy,
Równej, jak ty, ochoty, większej trochę mocy.
Obadwa polujemy — chociaż ty w poranki
Jedziesz na świat, ja łowy rozpoczynam w nocy;
Ty czyhasz na zwierzęta, a ja na kochanki.

GUSTAW.

Nie wiem, czy dobre miejsce wybrałeś na łowy;
Ale nie chcę przeszkadzać, więc: szczęśliwej drogi!

MYŚLIWY.

Hola, kolego, nie bądź taki raptusowy!
Jest-że to grubijaństwo, albo skutek trwogi?
Pierwej mię sam zawołał, a teraz ucieka...

GUSTAW.

Ja miałbym ciebie wołać?...

MYŚLIWY.

Słyszałem z daleka,
Żeś wołał. Kogo? Naco? nie wiem doskonale —
Dosyć, że posłyszałem westchnienia i żale.
Jestem, jak ty, myśliwcem; byłem kiedyś młody,
Znam więc twego rzemiosła i wieku przygody.
Musisz coś mieć na sercu; rozmówmy się szczerze!
Pewnie cię zabłąkało w kniei jakie zwierzę?
Bracie, ja sam błdziłem: znam zwierzęta różne,
Skrzydlate i piechotne, czworo- i dwunożne.
A jeśli nic nie gonisz, pewnie radbyś gonił?
Ej, czy cię widok pustej torby nie zapłonił?
Wstyd młodemu niczego dotąd nie zastrzelić?
Przyznaj się... ja ci mogę w potrzebie udzielić.

GUSTAW.

Dzięki!... Od nieznajomych nie żądam pomocy,
Nie zabieram przyjaźni tak rychło i w nocy —
I nie rozumiem, co twe słowa mają znaczyć?

MYŚLIWY.

Jeżeliś niepojętny, będę się tłumaczyć —
Jeżeli mi nie ufasz, będę szczerzy z tobą...
Wiedz naprzód, iż, gdzie stąpisz, jest wszędzie nad tobą
Pewna istota, która z oczu cię nie traci,
I że chce ciebie w ludzkiej nawiedzić postaci,
Jeżeli to, coś przyrzekł, zachowasz niezłomnie...

GUSTAW.

Przebóg! Co to ma znaczyć?... Nie zbliżaj się do mnie!

DZIADY.

Jest to nazwisko uroczystości, obchodzonej dotąd między pospółstwem w wielu powiatach Litwy, Prus i Kurlandji na pamiątkę dziadów, czyli w ogólności zmarłych przodków. Uroczystość ta początkiem swoim zasięga czasów pogańskich i zwała się niegdyś „uczta kozła“, na której przewodniczył kozłarz, huślar, guślarz, razem kapłan i poeta (gęślarz). W teraźniejszych czasach, pospółstwo święci *Dziady* tajemnie w kaplicach lub pustych domach niedaleko cmentarza. Zastawia się tam pospolicie uczta z rozmaitego jadła, trunków, owoców, i wywołują się dusze nieboszczyków. Godna uwagi, iż zwyczaj częstowania zmarłych zdaje się być wspólny wszystkim ludom pogańskim: w dawnej Grecji za czasów homerycznych, w Skandynawji, na Wschodzie i dotąd po wyspach Nowego Świata. *Dziady* nasze mają to szczególnie, iż obrzędy pogańskie pomieszane są z wyobrażeniami religji chrześcijańskiej, zwłaszcza, iż Dzień Zaduszny przypada około czasu tej uroczystości. Pospółstwo rozumie, iż potrawami, napojem i śpiewami przynosi ulgę duszom czyścowym. Cel tak poważny święta, miejsca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne przemawiały niegdyś silnie do mojej imaginacji; słuchałem bajek, powieści i pieśni o nieboszczykach, powracających z prośbami lub przestrogami — a we wszystkich zmyśleniach poczwarnych można było dostrzec pewne dążenie moralne i pewne nauki, gminnym sposobem zmysłowie przedstawiane. Poema niniejsze przedstawi obrazy w podobnym duchu; śpiewy zaś obrzędowe, gusła i inkantacje są po większej części wiernie, a niekiedy dosłownie z gminnej poezji wzięte.

UPIÓR.

Serce ustało, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły —
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata;
Cóż to za człowiek? — Umarły.

Patrz, duch nadziei życie mu nadaje,
Gwiazda pamięci promyków używa.
Umarły wraca na młodości kraje
Szukać lubego oblicza.

Pierś znowu tchnęła, lecz pierś lodowata,
Usta i oczy stanęły otworem —
Na świecie znowu, ale nie dla świata;
Czemże ten człowiek? — Upiorem.

Ci, którzy bliżej cmentarza mieszkali,
Wiedzą, iż upiór ten co rok się budzi,
Na Dzień Zaduszny mogiłę odwali
I dąży pomiędzy ludzi.

Aż gdy zadzwonią na niedzielę czwartą,
Wraca się nocą, opadły na siłę,
Z piersią skrwawioną, jakby dziś rozdarł —
Usypia znowu w mogile.

Pełno jest wieści o nocnym człowieku.
Żyją, co byli na jego pogrzebie;
Słychać, iż zginął w młodocianym wieku,
Podobno zabił sam siebie.

Teraz zapewne wieczne cierpi kary,
Bo smutnie jęczał i płomieniem buchał;
Niedawno jeden zakrystjan stary
Obaczył go i podsłuchał.

Mówi, iż upiór, skoro wyszedł z ziemi,
Oczy na gwiazdę poranną wywrócił,
Zalał rękę i usta chłodnemi
Takową skargę wyrzucił:

„Duchu przeklęty! Poco śród parowu
Nieczulej ziemi ogień życia wzniecasz?
Blasku przeklęty! Zagasłeś — i znowu,
Poco mi znowu przyświecasz?

O sprawiedliwy, lecz straszny wyroku!
Ujrzeć ją znowu, poznać się, rozłączyć
I, com ucierpiał, to cierpieć co roku
I, jakem skończył, zakończyć!

Żebym cię znalazł, muszę między zgrają
Błądzić, z długiego wyszedłszy ukrycia:
Lecz nie dbam, jak mię ludzie powitają:
Wszystkiemu doznał za życia.

Kiedyś patrzyła — musiałem, jak zbrodzień,
Odwracać oczy; słyszałem twe słowa,
Słyszałem codzień — i musiałem codzień
Milczeć, jak deska grobowa.

Śmieli się niegdyś przyjaciele młodzi,
Zwali tęsknotę dziwactwem, przesadą;
Starszy ramieniem ściska i odchodzi
Lub mądrą nudzi mię radą.

Śmieszków i radców zarówno słuchałem,
Choć i sam może, nie lepszy od drugich,
Sambym się gorszył zbyt czynnym zapalem
Lub śmiał się z żalów zbyt długich.

Ktoś inny myślał, że obrażam ciebie,
Uwlaçam jego rodowitej dumie;
Przecież ulegał grzeczności, potrzebie,
Udawał, że nie rozumiem.

Lecz i ja, dumny, żem go równie zbadał,
Choć mię nie pyta, chociaż milczeć umiem,
Mówilem gwałtem, a, gdy odpowiadał,
Udałem, że nie rozumiem.

Ale, kto nie mógł darować mi grzechu,
Ledwie obelgę na ustach przytrzyma,
Niechętnie lica gwałci do uśmiechu
I litość kłamie oczyma —

Takiemu tylko nigdy nie przebaczył!
Wszakżem skargami nigdy ust nie zmasał,
Anim pogardy wymówić nie raczył,
Kiedym mu uśmiech okazał.

Tegoż dziś doznam, jeśli dziką postać
Cudzemu światu ukażę z pod cieni:
Jedni mię będą egzorcyzmem chłostać,
Drudzy ucieka zdziwieni.

Ten dumą śmieszy, ten litością nudzi,
Inny szyderskie oczy zechce krzywić.
Do jednej idąc, zacóż tyle ludzi
Muszę obrażać lub dziwić?

Cóżkolwiek będzie, dawnym pójdę torem:
Szydercom litość, śmiech litościwemu!
Tylko, o luba, tylko ty z upiorem
Powitaj się po dawnemu!

Spojrzyj i przemów! Daruj małą winę,
Że śmiem do ciebie raz jeszcze powrócić,
Mara przeszłości, na jedną godzinę
Obecne szczęście zakłócić!

Wzrok twój, nawykły do świata i słońca,
Może się trupiej nie ulęknie głowy
I może raczysz cierpliwie do końca
Grobowej dosłuchać mowy

I ścigać myśli, po przeszłych obrazach
Błądzące, jako pasorzytne ziele,
Które wśród gmachu starego po głazach
Rozpierzchłe gałązki ściele“.

CZEŚĆ II.

GUŚLARZ — STARZEC, PIERWSZY Z CHÓRU — CHÓR
WIEŚNIAKÓW I WIEŚNIACZEK.

Kaplica, wieczór.

There are more things in heaven and earth,
Than are dreamt of in your philosophy.

Shakespeare.

Są dziwy w niebie i na ziemi, o których
ani śniło się waszym filozofom.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie —
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Zamknijcie drzwi od kaplicy
I stańcie dokoła truny!
Żadnej lampy, żadnej świecy!
W oknach zawieście całuny!
Niech księżyc jasność błada
Szczelinami tu nie wpada.
Tylko żwawo, tylko śmiało!

STARZEC.

Jak kazałeś, tak się stało.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie —
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Czyścowe duszeczkil
W jakiegokolwiek świata stronie:
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,

Czyli, dla dotkliwszej kary,
 W surowem wszczepiona drewnie,
 Gdy ją w piecu gryzą żary,
 I piszczy i płacze rzewnie —
 Każda spieszcie do gromady!
 Gromada niech się tu zbierze!
 Oto obchodzimy Dziady!
 Zstępujcie w święty przybytek!
 Jest jałmużna, są pacierze
 I jedzenie i napitek.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie —
 Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Podajcie mi garść kądzieli!
 Zapalam ją; wy z pośpiechem,
 Skoro płomyk w górę strzeli,
 Pędźcie go lekkim oddechem.
 O tak, o tak, dalej, dalej!
 Niech się na powietrzu spali.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie —
 Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Naprzód wy, z lekkimi duchy,
 Coście wśród tego padolu
 Ciemnoty i zawieruchy,
 Nędzy, płaczu i mozołu
 Zabłąsnęli i spłonęli,
 Jako ta garstka kądzieli:
 Kto z was wietrznym błdzi szlakiem,
 W niebieskie nie wzleciał bramy,
 Tego lekkim, jasnym znakiem
 Przyzywamy, zaklinamy.

CHÓR.

Mówcie, komu czego braknie,
 Kto z was pragnie, kto z was łaknie!

GUŚLARZ.

Patrzcie, ach, patrzcie do góry!
Cóż tam pod sklepieniem świeci?
Oto złocistemi pióry
Trzepioce się dwoje dzieci.
Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkim na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

GUŚLARZ I STARZEC.

Jak listek z listkiem w powiewie,
Kręą się pod cerkwi wierzchołkiem;
Jak gołąbek z gołąbkim na drzewie,
Tak aniołek igra z aniołkiem.

ANIOŁEK *(do jednej z wieśniaczek)*.

Do mamy lecim, do mamy.
Cóż to, mammo, nie znasz Józia?
Ja to, Józio, ja ten samy,
A to siostra moja, Rózia.
My teraz w raju latamy —
Tam nam lepiej, niż u mamy.
Patrz, jakie główki w promieniu,
Ubiór z jutrzeńki światelka,
A na obojem ramieniu,
Jak u motylków, skrzydełka.
W raju wszystkiego dostatek,
Codzień to inna zabawka:
Gdzie stąpim, wypływa trawka,
Gdzie dotknem, rozkwita kwiatek.
Lecz, choć wszystkiego dostatek,
Dręczy nas nuda i trwoga:
Ach, mammo, dla twoich dziełek
Zamknięta do nieba droga!

CHÓR.

Lecz choć wszystkiego dostatek,
Dręczy ich nuda i trwoga:
Ach, mammo, dla twoich dziełek
Zamknięta do nieba droga!

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga?
Czyli o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko
I owoce i jagódki.
Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

ANIOŁEK.

Nic nam, nic nam nie potrzeba.
Zbytkiem słodczy na ziemi
Jesteśmy nieszczęśliwemi.
Ach, ja w mojem życiu całem
Nic gorzkiego nie doznałem.
Pieszczoty, łakotki, swawole —
A co zrobię — wszystko caca.
Śpiewać, skakać, wybiec w pole,
Urwać kwiatków dla Rozalki —
Oto była moja praca,
A jej praca — stroić lalki.
Przylatujemy na Dziady
Nie dla modłów i biesiady,
Nie potrzebna msza ofiarna,
Nie o pączki, mleczka, chrósty:
Prosim gorzycy dwa ziarna;
A ta usługa, tak marna,
Stanie za wszystkie odpusty.
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że, według Bożego rozkazu,
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodczy w niebie!

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że, według Bożego rozkazu,
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodczy w niebie!

GUŚLARZ.

Aniolku! Duszeczek!
Czego chciałeś, macie obie.
To ziarneczko, to ziarneczko —
Teraz z Bogiem idźcie sobie!

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie Pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju,
Zostawcie nas w pokoju!
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie Pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju,
Zostawcie nas w pokoju!
A kysz, a kysz!

(Widmo znika).

GUŚLARZ.

Już straszna północ przybywa...
Zamykajcie drzwi na kłódki!
Weźcie smolny pęk łuczywa.
Stawcie w środku kocioł wódki,
A gdy laską skinę zdala,
Niechaj się wódka zapala.
Tylko żwawo, tylko śmiało!

STARZEC.

Jużem gotów.

GUŚLARZ.

Daję hasło.

STARZEC.

Buchnęło, zawrzało.

I zgasło.

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie —
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Dalej wy, z najcięższym duchem,
Coście do tego padolu
Przykuci zbrodni łańcuchem
Z ciałem i duszą pospołu:
Choć zgon lepiankę rozkruszy,
Choć was anioł śmierci woła —
Żywot z cielesnej katuszy
Dotąd wydrzeć się nie zdoła.
Jeżeli karę tak srogą
Ludzie nieco zwolnić mogą
I zbawić piekielnej jamy,
Której jesteście tak blisko —
Was wzywamy, zaklinamy
Przez żywioł wasz, przez ognisko!

CHÓR.

Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie!

GŁOS (za oknem).

Hej, kruki, sowy, orlice!
O wy, przekłete żarłoki!
Puśćcie mnie tu, pod kaplicę,
Puśćcie mnie choć na dwa kroki!

GUŚLARZ.

Wszelki duch! Jakaż potwora!
Widzicie w oknie upiora?
Jak kość na polu, wybladły...
Patrzcie, patrzcie, jakie lice!
W gębie dym i błyskawice,
Oczy na głowę wysiadły,
Świecą, jak węgle w popiele,
Włos rozczochrany na czele,
A jak suchy snop cierniowy,
Płonąc, miotłę ognia ciska,
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

GUŚLARZ I STARZEC.

A jak suchy snop cierniowy,
Płonąc, miotłę ognia ciska,
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

WIDMO (z za okna).

Dzieci! Nie znacież mnie, dzieci?
Przypatrzcie się tylko z bliska,
Przypomnijcie tylko sobie!
Ja nieboszczyk pan wasz, dzieci!
Wszak to moja była wioska!
Dziś ledwo rok mija trzeci,
Jak mnie złożyliście w grobie.
Ach, zbyt ciężka ręka Boska!
Jestem w złego ducha mocy,
Okropne cierpię męczarnie:
Kędy noc ziemię ogarnie,
Tam idę, szukając nocy,
A uciekając od słońca;
Tak pędzę żywot tułaczy,
A nie znajdę błędem końca...
Wiecznych głodów jestem pastwą —
A któż mię nakarmić raczy?
Szarpie mię żarłoczne ptastwo —
A któż będzie mój obrońca?
Niemasz, niemasz mękom końca!

CHÓR.

Szarpie go żarłoczne ptastwo —
A któż mu będzie obrońca?
Niemasz, niemasz mękom końca!

GUŚLARZ.

Czegoż potrzeba dla duszy,
Aby uniknąć katuszy?
Czy prosisz o chwałę nieba?
Czy o poświęcone gody?
Jest dostatkiem mleka, chleba,
Są owoce i jagody —
Mów, czego trzeba dla duszy,
Aby się dostać do nieba!

WIDMO.

Do nieba?... Bluźnisz daremnie...
O nie! Ja nie chcę do nieba!
Ja tylko chcę, żeby ze mnie
Prędejsz się dusza wywlekła.
Stokroć wolę pójść do piekła!
Wszystkie męki zniosę snadnie,
Wolę jęczeć w piekle na dnie,
Niż z duchami nieczystymi
Błąkać się wiecznie po ziemi,
Widzieć dawnych uciech ślady,
Pamiętki dawnej szkarady —
Od wschodu aż do zachodu,
Od zachodu aż do wschodu
Umierać z pragnienia, z głodu
I karmić drapieżne ptaki...
Lecz, niestety, wyrok taki,
Że dopóty w ciełe muszę
Potępioną włóczyć duszę,
Nim kto z was, poddani moi,
Pożywi mię i napoi.

Ach, jak mnie pragnienie pali!
Gdyby mała wody miarka!
Ach, gdybyście mnie podali
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR.

Ach, jak go pragnienie pali!
Gdyby mała wody miarka!
Ach, gdybyśmy mu podali
Choćby dwa pszenicy ziarka!

CHÓR PTAKÓW NOCNYCH.

Darmo żebrze, darmo płacze!
My tu czarnym korowodem,
Sowy, kruki i puhacze,
Niegdyś, panku, sługi twoje,
Któreś ty pomorzył głodem,
Zjemy pokarmy, wypijem napoje...

Hej, sowy, puhacze, kruki!
Szponami, krzywemi dzioby
Szarpajmy jadło na sztuki!
Chociażbyś trzymał już w gębie,
I tam ja szponę zagłębię,
Dostanę aż do wątroby.

Nie znalazłeś litości, panie!
Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości:
Szarpajmy jadło na sztuki!
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

KRUK.

Nie lubisz umierać z głodu?
A pomnisz, jak raz w jesieni
Wszedłem do twego ogrodu?
Gruszka dojrzeła, jabłko się czerwieni...
Trzy dni nic nie miałem w ustach...
Otrząsałem jablek kilka,
Lecz ogrodnik, skryty w chróstach,
Zaraz narobił halasu
I poszczuł psami, jak wilka.
Nie przeskoczyłem tarasu —
Dopędziła mnie obława;
Przed panem toczy się sprawa —
O co? O owoce z lasu,
Które na wspólną wygodę
Bóg dał, jak ogień i wodę.
Ale pan, gniewny, zawoła:
„Potrzeba dać przykład grozy!”
Zbiegł się lud z całego siola,
Przywiązano mnie do sochy,
Zbito dziesięć pęków łozy —
Każdą kość, jak z kłosa żyto,
Jak od suchych straków grochy,
Od skóry mojej odbito!...
Nie znalazłeś litości, panie!

CHÓR PTAKÓW.

Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości.

Szarpajmy jadło na sztuki!
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki!
Niechaj nagie świecą kości!

SOWA.

Nie lubisz umierać z głodu?
Pomnisz, jak w kućją samą,
Pośród najtęższego chłodu
Stałam z dziecięciem pod bramą?
„Panie! — wołałam ze łzami —
Zlituj się nad sierotami!
Mąż mój już na tamtym świecie,
Córkę zabrałeś do dwora,
Matka w chacie leży chora,
Przy piersiach maleńkie dziecko...
Panie, daj nam zapomogę,
Bo dalej wyżyć nie mogę!”

Ale ty, panie bez duszy,
Hulając w pjanej ochocie,
Przewalając się po zlocie,
Hajdukowi rzekłeś z cicha:
„Kto tam gościom trąbi w uszy?
Wypędź żebraczkę do licha!”
Posłuchał hajduk niecnota:
Za włosy wywlekl za wrota,
Wepchnął mię z dzieckiem do śniegu!
Zbita i przeziębła srodze,
Nie mogłam znaleźć noclegu!
Zmarzłam z dziecięciem na drodze...
Nie znałeś litości, panie!

CHÓR PTAKÓW.

Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości:
Szarpajmy jadło na sztuki!
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

WIDMO.

Niema, niema dla mnie rady!
Darmo podajesz talerze:
Co dasz, to ptastwo zabierze.
Nie dla mnie, nie dla mnie Dziady!
Tak, muszę dręczyć się wiek wiekiem...
Sprawiedliwe zrządzienia Boże!
Bo, kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.

CHÓR.

Tak! Musisz dręczyć się wiek wiekiem...
Sprawiedliwe zrządzienia Boże!
Bo, kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.

GUŚLARZ.

Gdy nic tobie nie pomoże,
Idźże sobie precz, nieboże!
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju!
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie bierzesz jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju!
A kysz, a kysz!

(Widmo znika).

GUŚLARZ.

Podajcie mi, przyjaciele,
Ten wianek na koniec laski!
Zapalam święcone ziele:
W górę, dymy, w górę, blaski!

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie —
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Teraz wy, pośrednie duchy,
 Coście u tego padolu
 Ciemnoty i zawieruchy
 Żyły z ludziami pospołu —
 Lecz, od ludzkiej wolne skazy,
 Żyliście nie nam, nie światu,
 Jako te cząbry i ślasy:
 Ni z nich owocu, ni kwiatu,
 Ani się ukarmi zwierzę,
 Ani się człowiek ubierze,
 Lecz, w wonne skręcone wianki,
 Na ścianie wiszą wysoko —
 Tak wysoko, o ziemianki,
 Była wasza pierś i oko:
 Która dotąd czystem skrzydłem
 Niebieskiej nie przeszła bramy —
 Was tem światłem i kadzidłem
 Zapraszamy, zaklinamy.

CHÓR.

Mówcie, komu czego braknie,
 Kto z was pragnie, kto z was łaknie!

GUŚLARZ.

A toż, czy obraz Bogarodzicy,
 Czyli anielska postać?
 Jak lekkim rzutem obręcza
 Po obłokach zbiega tęcza,
 By z jeziora wody dostać,
 Tak ona świeci w kaplicy.
 Do nóg biała spływa szata,
 Włos z wietrzykami swawoli,
 Po jagodach uśmiech lata,
 Ale w oczach łza niedoli.

GUŚLARZ I STARZEC.

Do nóg biała spływa szata,
 Włos z wietrzykami swawoli,
 Po jagodach uśmiech lata,
 Ale w oczach łza niedoli.

GUŚLARZ I DZIEWCZYNA.

GUŚLARZ.

Na głowie ma kraśny wianek,
W rękę zielony badylek,
A przed nią bieży baranek,
A nad nią leci motylek.
Na baranka bez ustanku
Woła: „Baś, baś, mój baranku!”
Baranek zawsze z daleka;
Motylka różeczką goni,
I już, już trzyma go w dłoni —
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA.

Na głowie ma kraśny wianek,
W rękę zielony badylek,
Przedemną bieży baranek,
Nade mną leci motylek.
Na baranka bez ustanku
Wołam: „Baś, baś, mój baranku!”
Baranek zawsze z daleka;
Motylka różeczką gonię,
I już, już chwytam go w dłonie —
Motylek zawsze ucieka.

DZIEWCZYNA.

Tu niegdyś, w wiosny poranki,
Najpiękniejsza z tego siola,
Zosia, pasając baranki,
Skacze i śpiewa wesola.

La la la la.

Oleś za gołąbków parę
Chciał raz pocałować w usta,
Lecz i prośbę i ofiarę
Wyśmiała dziewczyna pusta.

La la la la.

Józio dał wstążkę pasterce,
Antoś oddał swoje serce,
Lecz i z Józia i z Antosia
Śmieje się pierzchliwa Zosia.

La la la la.

(Z Goethego).

Tak, Zosią byłam, dziewczyną z tej wioski
Imię moje u was głośne,
Ze, chociaż piękna, nie chciałam zameścia
I. dziewiętnastą przeigrawszy wiosnę,
Umarłam, nie znając troski
Ani prawdziwego szczęścia.
Żyłam na świecie, lecz, ach, nie dla świata!
Myśl moja, nazbyt skrzydlata,
Nigdy na ziemskiej nie spoczęła błoni:
Za lekkim zefirkiem goni,
Za muszką, za kraśnym wiankiem,
Za motylkiem, za barankiem —
Ale nigdy za kochankiem.
Pieśni i fletów słuchałam rada;
Często, kiedy sama pase,
Do tych pasterzy goniłam stada,
Którzy mą wielbili krasę,
Lecz żadnego nie kochałam.
Za to po śmierci, nie wiem, co się ze mną dzieje:
Nieznajomym ogniem pałam —
Choć sobie igram do woli,
Latam, gdzie wietrzyk zawieje,
Nic mię nie smuci, nic mię nie boli,
Jakie chcę, wyrabiam cuda,
Przędę sobie z tęczy rąbki,
Z przezroczystych lez poranku
Tworzę motylki, gołąbki —
Przecież nie wiem, skąd ta nuda;
Wyglądam kogoś za każdym szelestem,
Ach, i zawsze sama jestem!
Przykro mi, że bez ustanku
Wiatr mną, jak piórkiem, pomiata;
Nie wiem, czy jestem z tego, czy z tamtego świata,
Gdzie się przybliżam, zaraz wiatr oddali:
Pędzi w górę, w dół, z ukosa —
Tak pośród pierzchliwej fali
Wieczną przelatując drogę,
Ani wzbić się pod niebiosą,
Ani ziemi dotknąć nie mogę.

CHÓR.

Tak pośród pierzchliwej fali
Przez wieczne lecąc bezdroże,
Ani wzbić się pod niebiosa,
Ani dotknąć ziemi nie może.

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga,
Czy o przysmaczek słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko
I owoce i jagódki.
Czego potrzebujesz, duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?

DZIEWCZYNA.

Nic mnie, nic mnie nie potrzeba!
Niechaj podbiegą młodzieńce,
Niech mię pochwyć za ręce,
Niechaj przyciągną do ziemi,
Niech poigram chwilkę z niemi!
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że, według Bożego rozkazu,
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie!

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że, według Bożego rozkazu,
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie!

GUŚLARZ (do kilku wieśniaków).

Darmo bieżycie. To są marne cienie!
Darmo rączki ściąga, biedna:
Wraz ją spędzi wiatru technienie.
Lecz nie płacz, piękna dziewczico!
Oto przed moją żrenicą
Odkryto przyszłe wyroki:
Jeszcze musisz sama jedna
Latać z wiatrem przez dwa roki,

A potem staniesz za niebieskim progiem,
Dziś modlitwa nic nie zjedna;
Lećże sobie z Panem Bogiem!
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałaś jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju!
A kysz, a kysz!

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałaś jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju!
A kysz, a kysz!

(Dziwczyną znika).

GUŚLARZ.

Teraz wszystkie dusze razem,
Wszystkie i każdą z osobna
Ostatnim wołam rozkazem.
Dla was ta biesiada drobna.
Garście maku, soczewicy
Rzucam w każdy róg kaplicy.

CHÓR.

Bierzcie, czego której braknie,
Która pragnie, która łaknie!

GUŚLARZ.

Czas odemknąć drzwi kaplicy;
Zapalcie lampy i świecy!
Przeszła północ, kogut pieje,
Skończona straszna ofiara.
Czas przypomnieć ojców dzieje...
Stójcie!...

CHÓR.

Cóż to?

GUŚLARZ.

Jeszcze mara!

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie —
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ (*do jednej z wieśniaczek*).

Pasterko, ot, tam w żalobie...
Wstań, bo, czy mi się wydaje,
Czy ty usiadłaś na grobie?
Dziatki! Patrzajcie, dla Boga!
Wszak to zapada podłoga
I blade widmo powstaje!
Zwraca stopy ku pasterce —
Białe lice i obsłony,
Jako śnieg po Nowym Roku —
Wzrok dziki i zasępiony
Utopił całkiem w jej oku.
Patrzcie, ach, patrzcie na serce!
Jaka to pasowa prega,
Tak, jakby pasowa wstęga
Albo jak sznurkiem korale,
Od piersi aż do nóg sięga?
Co to jest, nie zgadnę wcale...
Pokazał ręką na serce,
Lecz nic nie mówi pasterce.

CHÓR.

Co to jest, nie zgadniem wcale.
Pokazał ręką na serce,
Lecz nic nie mówi pasterce.

GUŚLARZ.

Czego potrzebujesz, duchu młody?
Czy prosisz o chwałę nieba?
Czyli o święcone gody?
Jest dostatkiem mleka, chleba,
Są owoce i jagody.
Czego potrzebujesz duchu młody,
Żeby się dostać do nieba?

(*Widmo milczy*).

CHÓR.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie —
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

Odpowiadaj, maro błada!
Cóż to! Nic nie odpowiada?

CHÓR.

Cóż to! Nic nie odpowiada?

GUŚLARZ.

Gdy gardzisz mszą i pierogiem,
Idźże sobie z Panem Bogiem!
A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałaś jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju!

A kysz, a kysz!

(*Widmo stoi*).

CHÓR.

A kto prośby nie posłucha:
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
Nie chciałaś jadła, napoju,
Zostawże nas w pokoju!

A kysz, a kysz!

GUŚLARZ.

Przebóg! Cóż to za szkarada?
Nie odchodzi i nie gada!

CHÓR.

Nie odchodzi i nie gada!

GUŚLARZ.

Duszo przekłeta, czy błoga,
Opuszczaj święte obrzędy!
Oto roztwarta podłoga:
Kędy wszedłeś, wychodź tedy,
Bo cię przeklnę w imię Boga!

(*Po pauzie*).

Precz stąd na lasy, na rzeki,
I zgiń, przepadnij na wieki!

(*Widmo stoi*).

Przebóg! Cóż to za szkarada?
I milczy i nie przepada!

CHÓR.

I milczy i nie przepada!

GUŚLARZ.

Darmo proszę, darmo gromię:
On się przekłętwa nie boi.
Dajcie kropidło z ołtarza!...
Nie pomaga i kropidło,
Bo utrapione straszydło,
Jak stanęło, tak i stoi:
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród cmentarza.

CHÓR.

Bo utrapione straszydło,
Jak stanęło, tak i stoi:
Niemo, głucho, nieruchomie,
Jak kamień pośród cmentarza.
Ciemno wszędzie, głucho wszędzie:
Co to będzie, co to będzie?

GUŚLARZ.

To jest nad rozum człowieczy!
Pasterko, znasz tę osobę?
W tem są jakieś straszne rzeczy!...
Po kim ty nosisz żalobę?
Wszak mąż i rodzina zdrowa?
Spojrzyj, odezwij się przecię!
Czyś ty martwa, moje dziecię?
Czegoż uśmiechasz się, czego?
Co w nim widzisz wesołego?

CHÓR.

Czegoż uśmiechasz się, czego?
Co w nim widzisz wesołego?

GUŚLARZ.

Daj mi stulę i gromnicę!
Zapalę, jeszcze poświęcę...
Próżno palę, próżno święcę:
Nie znika przekłeta dusza!
Weźcie pasterkę pod ręce,
Wyprowadźcie za kaplicę!

Czegoż oglądasz się, czego?
Co w nim widzisz powabnego?

CHÓR.

Czegoż oglądasz się, czego?
Co w nim widzisz powabnego?

GUŚLARZ.

Przebóg, widmo kroku rusza!
Gdzie my z nią, on za nią wszędzie...
Co to będzie, co to będzie?

CHÓR.

Gdzie my z nią, on za nią wszędzie...
Co to będzie, co to będzie?

CZEŚĆ IV.

Mieszkanie księdza. — Stół nakryty, tylko co po wieczerzy. — KSIĄDZ. —
PUSTELNIK. — DZIECI. — Dwie świece na stole. — Lampa przed obra-
zem Najśw. Panny Maryi. — Na ścianie zegar bijący.

Ich hob alle mürben Leichenschleier auf, die in
Särgen lagen; ich entfernte den erhabenen Trost
der Ergebung, blos um mir immer fort zu sagen:
„Ach, so war es ja nicht! Tausend Freuden sind
auf ewig nachgeworfen in Gräfte und du stehst
allein hier und überrechnest sie!“ Dürftiger!
Dürftiger! Schlage nicht das ganze zerrissene
Buch der Vergangenheit auf!... Bist du noch
nicht traurig genug?

Jean Paul.

KSIĄDZ.

Dzieci, wstawajmy od stoła!
Teraz, po powszednim chlebie,
Kłękajcie przy mnie dokoła:
Podziękujmy Ojcu w niebie!
Dzień dzisiejszy Kościół święci
Za tych spółchrześcijan dusze,
Którzy, z pomiędzy nas wzięci,
Czyścowe cierpią katusze.
Za nich ofiarujmy Bogu!
(Rozkłada książkę).
Oto stosowna nauka.

DZIECI (czytają).

„Onego czasu...”

KSIĄDZ.

Kto tam? Kto tam stuką?

PUSTELNIK.

(Wchodzi ubrany dziwnie).

DZIECI.

Jezus, Marya!

KSIĄDZ.

Któż to jest na progu?

(Zmieszany).

Ktoś ty taki?... Poco?... Naco?

DZIECI.

Ach, trup, trup! Upiór, ładaco!
W imię Ojca!... Zgiń, przepadaj!

KSIĄDZ.

Ktoś ty, bracie? Odpowiadaj!

PUSTELNIK *(powolnie i smutnie).*

Trup... trup... Tak jest, moje dziecię.

DZIECI.

Trup... trup... Ach, ach! Nie bierz tata!

PUSTELNIK.

Umarły?... O, nie! Tylko umarły dla świata!
Jestem pustelnik — czy mnie rozumiecie?

KSIĄDZ.

Skąd przychodzisz tak nierano?
Kto jesteś? Jakie twe miano?
Kiedy się tobie przypatruję z bliska,
Zdaje się, że cię kiedyś widziałem w tej stronie.
Powiedz, mój bracie, jakiego ty rodu?

PUSTELNIK.

O, tak, tak, byłem tutaj... o, dawno... za młodu!
Przed śmiercią!... Będzie trzy lata!
Lecz co tobie do mego rodu i nazwiska?
Gdy dzwonią po umarłym, dziad stoi przy dzwonie,
Pytają ludzie, kto zeszedł ze świata:*(Udając dziada).*

„A naco ta ciekawość? Zmów tylko pacierze!”

Otóż ja także umarły dla świata:

Naco tobie ciekawość? Zmów tylko pacierze!

Nazwiska *(patrzy na zegar)* jeszcze rano... powiedzieć nie
[mogę;Idę z daleka; nie wiem, z piekła czyli z raju
I dążę do tegoż kraju.

Mój księżo, pokaż, jeśli wiesz, drogę!

KSIĄDZ (*łagodnie, z uśmiechem*).

Dróg śmierci pokazywać nie chciałbym nikomu.

(*Poufalc*).

My, księża, tylko błędne prostujemy ścieżki.

PUSTELNIK (*z żalem*).

Inni błądzą; ksiądz w małym, ale własnym domu,
Czy to na wielkim świecie pokój lub zamieszki,
Czy gdzie naród upada, czy kochanek ginie —
O nic nie dbasz, usiadłszy z dziećmi przy kominie.
A ja się męczę w słotnej, w ciemnej porze!
Słyszysz, jaki szturm na dworze?
Czy widzisz łyskanie gromu?

(*Ogląda się*).

Błogosławione życie w małym, własnym domu!

(*Śpiewa*).

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy,
I noc ma spokojną, i dzień nietęskliwy...

W cichym, własnym domu!

(*Śpiewa*).

Z pałaców, sterczących dumnie,
Znijdź, piękna, do mojej chatki!
Znajdziesz u mnie świeże kwiatki,
Czułe serce znajdziesz u mnie.

Widzisz ptasząt zalecanki,
Słyszysz srebrny szmer strumyka?
Dla kochanka i kochanki
Dosyć domku pustelnika!

KSIĄDZ.

Kiedy tak chwalisz mój dom i kominek:
Patrz, oto ogień służąca nakłada —
Siadź i pogrzej się; tobie potrzebny spoczynek.

PUSTELNIK.

Pogrzej się!... Dobra, księżu, arcy-przednia rada!

(*Śpiewa, pokazując na piersi*).

Nie wiesz, jaki tu żar płonie;
Mimo deszczu, mimo chłodu,
Zawsze płonie!
Nieraz chwytam śniegu, lodu,

Na gorącym cisnę łonie —
 I śnieg tonie, i lód tonie...
 Z piersi moich para bucha,
 Ogień płonie!
 Stopiłby kruszce i głazy,
 Gorszy, niż ten, tysiąc razy,
 (Pokazując kominiek).

Miljon razy!
 I śnieg tonie, i lód tonie...
 Z piersi moich para bucha,
 Ogień płonie!

KSIĄDZ (na stronie).

Ja swoje, a on swoje; nie widzi, nie słucha.

(Do Pustelnika).

Jednak, do nitki przemoczony wszystek,
 Zbladłeś, przeziąbłeś strasznie, drżysz, jak listek;
 Ktokolwiek jesteś, długą przejść musiałeś drogę.

PUSTELNIK.

Kto jestem?... Jeszcze rano... powiedzieć nie mogę.
 Idę z daleka — nie wiem, z piekła czyli z raju,
 A dążę do tegoż kraju.
 Tymczasem małą dam tobie przestrożę.

KSIĄDZ (na stronie).

Trzeba z nim, widzę, innego sposobu.

PUSTELNIK.

Pokaż... wszak dobrze wiesz do śmierci drogę?

KSIĄDZ.

Dobrze, gotów-em na wszelkie usługi,
 Lecz od twojego wieku aż do grobu
 Gościniec jest arcy-długi.

PUSTELNIK (z pomieszczeniem i smutnie sam do siebie).

Ach, tak prędko przebiegłem gościniec tak długi!

KSIĄDZ.

Dlatego jesteś znużony i chory.
 Posil się! Wraz przyniosę jadło i napoje.

PUSTELNIK (*z obłąkaniem*).

A potem pójdziem?

KSIĄDZ (*z uśmiechem*).

Zróbmy na drogę przybory!

Czy dobrze?

PUSTELNIK (*z roztargnieniem i niewagą*).

Dobrze.

KSIĄDZ.

Chodźcie, dzieci moje!

Oto mamy w domu gością;

Nim ja powrócę, bawcie jegomościa. (*Odchodzi*).

DZIECIĘ (*oglądając*).

Czemu waspan tak jesteś dziwacznie ubrany?

Jak strach, albo rozbójnik, co to mówią w bajce:

Z różnych kawalków sukmany,

Na skroniach trawa i liście,

Wytarte płótno przy pięknej kitajce...

(*Postrzega sztylet, pustelnik chowa*).

Jaka to na sznurku blacha?

Różne paciorki, wstążek okrajce?

Cha cha cha cha!

Dalibóg, waspan wyglądasz na stracha!

Cha cha cha cha!

PUSTELNIK (*zrywa się i jakby przypomina sobie*).

O dziatki, wy się ze mnie śmiać nie powinniście!

Słuchajcie: znałem pewną kobietę za młodu,

Tak, jak ja, nieszczęśliwą, z takiego powodu;

Miała taką sukienkę i na głowie liście.

Gdy weszła do wsi, cała wieś nawaleł,

Uragając się z jej biedy,

Pędzi, śmieje się, wykrzyka,

Podrzeźnia, palcem wytyka —

Ja się raz tylko, raz tylko zaśmiałem!

Kto wie, jeśli nie za to?... Słuszne sądy Boże!

Lecz któż mógł przewidzieć wtedy,

Że ja podobną sukienkę włożę?

Ja byłem taki szczęśliwy!

(*Śpiewa*).

Kto miłości nie zna, ten żyje szczęśliwy:
I noc ma spokojną i dzień nietęskliwy.

(*Książę przychodzi z winem i talerzem*).

PUSTELNIK (*z wymuszoną wesołością*).

Księżu, a lubisz ty smutne piosenki?

KSIĄDZ.

Nastuchałem się ich w życiu dosyć, Bogu dzięki!
Lecz nie traćmy nadziei: po smutkach wesele.

PUSTELNIK (*śpiewa*).

A odjechać od niej nudno,

A przyjechać do niej trudno!

Prosta piosenka, ale dobrą myśl zawiera!

KSIĄDZ.

No, potem o tem. Teraz zajrzyjmy do misy!

PUSTELNIK.

Prosta pieśń. O, w romansach znajdziesz lepszych wiele!

(*Z uśmiechem, biorąc książki z szafy*).

Księżu, a znasz ty żywot Heloisy?

Znasz ogień i łyż Wertera?

(*Śpiewa*).

Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem —

Chyba śmiercią bole się ukoją;

Jeślim płochym obraził zapałem,

Te obrazę krwią okupię moją.

(*Dobrywa sztylet*).

KSIĄDZ (*wstrzymuje*).

Co to ma znaczyć? Szalony, czy można?

Odbierzcie mu żelazo, rozdejmijcie pięście!

Jesteś ty chrześcijanin? Taka myśl bezbożna!

Znasz ty ewangelję?

PUSTELNIK.

A znasz ty nieszczęście?

(*Chowa sztylet*).

Ale dobrze! Nie trzeba chwycić się przed porą:

(*Patrzy na zegar*).

Skazówka na dziewiątej, i trzy świece gorą!

(*Spiwa*).

Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem,

Chyba śmiercią bole się ukoją;

Jeśli płochym obraził zapalem,

Tę obrazę krwią okupię moją.

Zacoś dla mnie tyle ulubiona?

Zaco-m z twojem spotkał się wejrzeniem?

Jedną-m wybrał z tylu dziewcząt grona —

I ta cudzym przykuta pierścieniem!

Ach, jeśli ty Goethego znasz w oryginale!...

Gdyby przytem jej głosik i dźwięk fortepianu!

Ale cóż? Ty o Boskiej tylko myślisz chwale,

Oddany twego tylko powinnościom stanu.

(*Przerzucając książkę*).

Wszakże lubisz książki świeckie?...

Ach, te to są książki zbójeckie!

(*Ciska książkę*).

Młodości mojej niebo i tortury!

One zwichnęły osadę mych skrzydeł

I wylamały do góry,

Że już nie mogłem na dół skrócić lotu.

Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł,

Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu,

Gardzący istotami powszedniej natury —

Szukałem, ach, szukałem tej boskiej kochanki,

Której nad podślonecznym nie bywało świcie,

Którą tylko na falach wyobraźnej pianki

Wydeło tchnienie zapалу,

A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie!...

Lecz, gdy w czasach tych zimnych niema ideału —

Przez terazniejszość w złote odleciałem wieki,

Bujałem po zmyślonem od poetów niebie,

Goniąc i błędząc, w błędach nieznudzony goniec.

Wreszcie, napróżno zbiegłszy kraj daleki,

Spadam i już się rzucam w brudne uciech rzeki:

Nim rzucę się, raz jeszcze spojrzę koło siebie —

I znalazłem ją na koniec!

Znalazłem ją blisko siebie,

Znalazłem ją... ażebym utracił na wieki!

KSIĄDZ.

Podzielam twoją boleść, nieszczęśliwy bracie!
Lecz może jest nadzieja? Są różne sposoby...
Słuchaj, czy już od dawna doświadczasz choroby?

PUSTELNIK.

Choroby?

KSIĄDZ.

Czy dawno płaczesz po twej stracie?

PUSTELNIK.

Jak dawno? Dałem słowo, powiedzieć nie mogę.
Kto inny powie tobie. Mam ja towarzysza,
Zawszy z nim razem odbywamy drogę...
(Ogląda się).

Ach, tu tak ciepło, wygodna zacisza,
A na podwórzu wicher, gromy, burza sroga;
Mój towarzysz zapewne, biedny, drży u proga.
Gdy nas razem wyroki nielitośne pędzą,
Dobry księżę, i jego przyjmij na gospodę!

KSIĄDZ.

Nigdy nie zamykałem drzwi moich przed nędzą.

PUSTELNIK.

Ale stój, stój, mój bracie, ja sam go przywiodę.
(Odcodzi).

DZIECIĘ.

Cha cha cha! Tato, co się jemu dzieje?
Biega i gada ani to, ani owo.
Jakie dziwaczne ubiory!

KSIĄDZ.

Dzieci, będzie ten płakał, kto się z płaczu śmieje!
Nie śmiejcie się! To człowiek bardzo biedny, chory.

DZIECI.

Chory? A on tak biega, wygląda tak zdrowo!

KSIĄDZ.

Zdrów na twarzy, lecz w sercu głębokie ma rany.

PUSTELNIK (ciągnąc gałąź jedliny).

Chodź, bracie, chodź tu!...

KSIĄDZ (do dzieci).

On ma rozum pomieszany.

PUSTELNIK (do jodły).

Chodź, bracie, nie lękaj się dobrego księżyny!

DZIECI.

Tato, ach, patrzaj, co on w ręku niesie!
Jak zbójca, z wielką gałęzią jedliny.

PUSTELNIK (do księdza, ukazując gałąź).

Pustelnik przyjaciela znajdzie chyba w lesie...
Może cię zdziwia jego postać?

KSIĄDZ.

Czyja?

PUSTELNIK.

Mego przyjaciela.

KSIĄDZ.

Jakto? Tego kija?

PUSTELNIK.

Niezgrabny — jak mówiłem, wychowany w lesie...
Przywitaj się.

(Poďnosi gałąź).

DZIECI.

Co robisz? Co robisz? Ach, zbójca!
Pójdźże precz, rozbójniku! Nie zabij nam ojca!

PUSTELNIK.

O, prawda, moje dziatki, jest to wielki zbójca —
Ale on tylko sam siebie rozbija!

KSIĄDZ.

Upamiętaj się, bracie! Do czego ta jodla?

PUSTELNIK.

Jodla? A ksiądz uczony! O, głowo ty, głowo!
Przypatrz się lepiej: poznaj gałąź cyprysową!
To pamiątka rozstania, mego losu godła.

(Bierze książkę).

Weź księgę i odczytaj dzieje zeszłych wieków!
Dwie były poświęcone krzewiny u Greków:

Kto kochał, od swej lubej ukochany wzajem,
 Błogie włosy mirtowym przyozdabiał majem.

(Po pauzie).

Jej ręką ułamana gałąź cyprysowa
 Zawsze mi przypomina ostatnie: „bądź zdrowa!”
 Przyjąłem ją, schowałem; dotąd wiernie służy:
 Nieczuła, lepsza od tych, niby czułych, ludzi.
 Jej płacz mój nie rozśmiesza i skarga nie nudzi;
 Jedna mi pozostała z przyjaciół tak wielu...
 Wszystkie tajniki serca mojego posiada;
 Jeśli chcesz o mnie wiedzieć, pytaj, przyjacielu,
 Zostawię was sam na sam, niech resztę wygada!

(Do gości).

Powiedz, jak dawno płacę lubej straty!
 Dawno to być musiało... przed dawnemi laty!
 Pamiętam, kiedy cyprys przyjąłem z jej ręki,
 Był to listeczek taki, ot, taki maleńki...
 Zaniósłem, posadziłem na piasku, daleko
 I gorącą łez moich polewałem rzeką.
 Patrz, jaka z liścia gałązka urosła,
 Jaka gęsta i wyniosła!
 Kiedy mię boleść ostatnia dotłoczy,
 Nie chcąc na zagniewane poglądać niebiosą,
 Okryłem mój grobowiec cieniem tych warkoczy.

(Z łagodnym uśmiechem).

Ach, taki właśnie był kolor jej włosa,
 Jak te cyprysu gałązki!

Nie mogę odpiąć tej zawiązki.

(Z coraz większem sileniem się).

Zawiązka miękka... z warkocza dziewczicy...
 Lecz, skorem tylko położył na łonie,
 Opasała mię wkoło, naksztalt włosiennicy —
 Piers przejada... w ciało tonie!...
 Tonie, tonie i wkrótce przetnie mi oddechy!
 Wiele cierpię! Ach, bo też wielkie moje grzechy!
 Chcesz? Pokażę. *(Szuka i ciągnie od piersi).*

KSIĄDZ.

Uspokój się, uspokój! Przyjm słowo pociechy!
 Ach, tak okropne bóle, moje dziecię,
 Za twe na ziemi jakieżkolwiek grzechy,
 Przyjmie w rachunku Bóg na tamtym świecie!

PUSTELNIK.

Grzechy? I, proszę, jakież moje grzechy?
Czyliż niewinna miłość wiecznej godna męki?
Ten sam Bóg stworzył miłość, który stworzył wdzięki,
On dusze obie łańcuchem uroku
Powiązał na wieki z sobą!
Wprzód, nim je wyjął ze światłości stoku,
Nim je stworzył i okrył cielesną żalobą.
Wprzód, nim je wyjął ze światłości stoku,
Teraz, kiedy złych ludzi odłącza nas ręka,
Rozciąga się ten łańcuch, ale się nie pęka!
Czucia nasze, dzielącej uległe przeszkodzie,
Chociaż nigdy nie mogą napotkać się z bliska,
Przecież zawsze po jednym biegają obwodzie,
Łańcuchem od jednego skreślone ogniska.

KSIĄDZ.

Jeżeli Pan Bóg złączył, ludzie nie rozłączają!
Może się troski wasze pomyślnie zakończyć.

PUSTELNIK.

Chyba tam, gdy nad podłem wzbijemy się ciałem,
Złączy się znowu jedność, dusza z duszą zleje —
Bo tutaj wszelkie dla nas umarły nadzieje,
Tutaj ja się z mą lubą na wieki rozstałem!

(Po pauzie).

Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi.
Pamiętam, śród jesieni... przy wieczornym chłodzie...
Jutro miałem wyjechać... Błądę po ogrodzie;
W rozmyślaniu, w modlitwach szukałem tej zbroi,
Którąbym odział serce, miękkie z przyrodzenia,
I wytrzymał ostatni pocisk jej spojżenia.
Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.
Noc była najpiękniejsza. Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwej wylały się deszcze;
Cała ziemia kroplistą polyskała rosą,
Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;
Z tej strony chmura gruba napędzała lawy,
A z tamtej strony księżyc przezierał bladawy;
Gwiazdy toną w błękicie po nocnym obiegu...
Spojrzę... jak raz nade mną świeci gwiazdka wschodnia;
O, znam ją odtąd dobrze, witamy się co dnia!
Spojrzę na dół... na szpaler... patrz, tam, przy altanie,
Ujrzałem ją niespodzianie!

Suknią między ciemnymi bielejąca drzewy,
 Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie.
 Potem biegła, jak lekkie zefiru powiewy,
 Oczy zwrócone w ziemię... Nie spojrzała ku mnie!...

A lica jej bardzo blade...

Nachylałam się, zajrzę z boku —

I dojrzałam łezkę w oku:

„Jutro — rzekłam — jutro jadę!“

„Bądź zdrow!“ — odpowie z cicha; ledwie posłyszałam. —

„Zapomnij!...“ Ja zapomnę? O, rozkazać snadno!

Rozkaż, luba, twym ceniom, niechaj wraz przepadną

I niech zapomną biegać za twem ciałem!

Rozkazać snadno!

Zapomnij!!

(*Śpiewa*).

Przestań płakać, przestań szlochać,

Idźmy każdy w swoją drogę:

Ja cię wiecznie będę... (*Urywa śpiewanie*) wspominać,
 (*tkwią głową*).

(*Śpiewa*).

Ale twoją być nie mogę!

Wspominać tylko?... „Jutro, jutro jadę!“

Chwytam za rączki i na piersi kładę.

(*Śpiewa*).

Najpiękniejsza, jak aniołek raj,

Najpiękniejsza ze wszystkich dziewica!

Wzrok niebieski, jako słońce w maju,

Odstrelone od modrych wód lica.

Pocałunek jej, ach, nektar boski!

Jako płomień chytyła się z płomieniem,

Jako dwóch lutni zlewają się głoski,

Harmonijnem ożenione brzmieniem.

Serce z sercem zbiega, zlatuje się, ściska,

Lica, usta łączą się, drżą, palą,

Dusza wionie w duszę... niebo, ziemia pryska

Roztopioną dokoła nas falą!

Księżu! O, nie, ty tego nie czujesz obrazu!

Ty cukrowych ust lubej nie tknąłeś ni razu!

Niech ludzie świeccy bluźnią, szaleją młokosy —

Serce twoje skamieniało na natury głosy.

O, luba! Zginałem w niebie,
Kiedym raz pierwszy pocałował ciebie!

(Śpiewa).

Pocałunek jej, ach, nektar boski!
Jako płomień chwyta się z płomieniem,
Jak dwóch lutni zlewają się głoski,
Harmonijnem ożenione brzmieniem.
(Chwyta dziecię i chce pocałować; dziecko ucieka).

KSIĄDZ.

Czegoż boisz się sobie równego człowieka?

PUSTELNIK.

Przed nieszczęśliwym, ach, wszystko ucieka,
Jakby przed straszydłem z piekła!
Ach, tak! I ona przede mną uciekła!
... „Bądź zdrow!” ... i w długiej ulicy
Niknie naksztalt błyskawicy. *(Do dzieci).*

I czegoż ona przede mną uciekła?
Czyli ją śmiałem przeraził wejrzeniem?
Czyli słówkiem, lub skinieniem?
Muszę przypomnieć!... *(Przypomina).* Tak się w głowie
[kręci!...]

Nie, nie! Ja wszystko widzę, jak na dłoni,
Nie zgubiłem żadnego wyrazu z pamięci:
Dwa tylko słowa powiedziałem do niej.
(Z talem).

Księżu, dwa tylko słowa:

„Jutro! Bądź zdrowa!”

„Bądź zdrow!” ... Gałązkę odrywa, podaje:

„Oto jest — rzekła — co nam tu *(na ściemę pokazuje)* zostaje!”

„Bądź zdrow!” — i w długiej ulicy

Niknie, naksztalt błyskawicy!

KSIĄDZ.

Młodzieńcze, ja głęboko czuję, co cię boli!
Lecz, słuchaj: są tysiące biedniejszych od ciebie.
Ja sam już nie na jednym płakałem pogrzebie:
Po ojcu i po matce już mówię pacierze,
Dwoje małych dziateczek aniołkami w niebie,
Ach, i moja współniczka szczęścia i niedoli,
Małżonka moja, którą kochałem tak szczerze!...
Ale cóż robić? Pan Bóg daje, Pan Bóg bierze!
Niechaj się dzieje według Jego świętej woli!...

PUSTELNIK (*mocno*).

Żona?

KSIĄDZ.

Ach, to wspomnienie serce mi rozdarło!

PUSTELNIK.

Jakto? Gdzie się obróćę, wszyscy płaczą żony!
Lecz ja nie winien, twojej nie widziałem żony...

(*Spostrzega się*).

Słuchaj, przyjmij pociechę, małżonku strapiiony:
Żona twoja przed śmiercią już była umarłą.

KSIĄDZ.

Jakto?

PUSTELNIK (*mocniej*).

Gdy na dziewczynę zawołają: „Żono!“ —
Już ją żywcem pogrzebiono!
Wyrzeka się przyjaciół, ojca, matki, brata,
Nawet... słowem: całego wyrzeka się świata,
Skoro stanęła na cudzym progu.

KSIĄDZ.

Chociaż wyznania twoje mgła żalu pokrywa,
Wszakże ta, której płaczesz, jest podobno żywa?

PUSTELNIK (*z ironją*).

Żywa? Właśnie jest za co podziękować Bogu!
Żywa! Jakto? Nie wierzysz? Cóż się tobie zdaje?
Poprząsę, uklękę, palce na krzyż złożę:
Ona umarła i ożyć nie może!...

(*Po pauzie, zwolna*).

Ależ bo różne są śmierci rodzaje
Jedna śmierć jest pospolita:
Śmiercią tą starzec, kobieta,
Dziecię, mąż, słowem — tysiące
Ludzi umiera co chwila —
I taką śmiercią Maryla,
Którą widziałem na łące...

(*Śpiewa*).

Tam u Niemnowej odnogi,
Tam u zielonej rozłogi,
Jaki to sterczy kurhanek?
Spodem uwieńczon, jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi...

(*Przestaje śpiewać*).

Ach, i to jest widok srogi,
Kiedy piękność w życia kwiecie,
Ledwie wschodząca na świecie,
Żegnać się musi z lubym jeszcze światem!...
Patrz, patrz: blada na pościeli,
Jak na obłoczkach mglisty poranek!
Z płaczem dokoła stanęli:
I smutny ksiądz u łóżka,
I smutniejsza czeladka,
I smutniejsza od niej družka,
I smutniejsza od nich matka,
I najsmutniejszy kochanek.
Patrz: uchodzi z lica krasa,
Wzrok zapada i zagasa,
Ale jeszcze, jeszcze świeci;
Usta, gdzie się róża kwieci,
Wiedna, gubia blask szkarłatu —
I jak z piwonii kwiatu
Wycięty wąski listeczek,
Taka siność jej usteczek.
Podniosła głowę nad łóżko,
Rzuciła na nas oczyma —
Głowa opada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka,
Ręce stygną, a serduszko
Bije z cicha, bije z rzadka —
Już stanęło... już jej niema;
Oko to, niegdyś podobne słońku...
Czy widzisz, księżu, pierścienie?
— Smutna pamiątka została! —
Jak w pierścionku
Brylant pała,
Takie jaśniały w oczach płomienie...
Lecz iskra duszy już się nie pali!
Błyszcza one, jak rdzeni spróchniałej świećka.
Jak na gałązkach wody perełka,
Kiedy ją wicher skryształili.
Podniosła głowę nad łóżko,
Rzuciła na nas oczyma —
Głowa upada na łóżko,
W twarzyczce bladość opłatka,
Ręce stygną, a serduszko

Bije z cicha, bije z rzadka —
Już stanęło... już jej niema!

DZIECIĘ.

Umarła! Ach, jaka szkoda!
Słuchając, płakałem szczerze.
Czy to znajoma twoja, czy siostrzyczka młoda?
Ale nie płacz! Niechaj jej wieczny pokój świeci!
Będziemy za nią codzień mówili pacierze.

PUSTELNIK.

To jedna śmierć, moje dzieci —
Ale jest straszniejsza druga,
Bo nie umarza od razu:
Powolna, bolesna, długa
Śmierć ta dwie społem osoby ugodzi,
Lecz moje tylko zabija nadzieje,
Drugiej bynajmniej nie szkodzi.
Ona żyje, ona chodzi,
Kilka drobnych łez wyleje,
Potem w niej czucie rdzawieje,
I została nakształt glazu.
Ach, dwie osoby uderza od razu,
Lecz moje tylko zabiła nadzieje,
A jej bynajmniej nie szkodzi:
Kwitnie życiem, kwitnie zdrowiem...
Taką śmiercią umarła... Kto? O, nie!... Nie powiem!
Nieprawdaż, dzieci? Straszniejsza daleko,
Gdy trup z rozwartą, ot tak, powieką...

(Dzieci uciekają).

Jednak umarła!... Kiedy płaczę, ręce łamię,
Zbiegli się ludzie dokoła,
Wyciągają długie szyje —
Jeden mówi, że ja kłamię,
Drugi potrąca i woła:
„Patrz, szaleńcze, ona żyje!”

(Do księdza).

Nie wierz, choćby ci szyderce
Po tysiąc razy mówili!
Słuchaj, co mówi to serce:
Nie masz, nie masz Maryli!

(Po pauzie).

Jeszcze rodzaj śmierci trzeci:
Śmierć wieczna, jak Pismo mówi.
Biada, biada człowiekowi,
Którego ta śmierć zabierze!
Tą śmiercią może ja umrę, dzieci...
Ciężkie, ciężkie moje grzechy!

KSIĄDZ.

Przeciwko światu i przeciwko sobie
Cięższe twoje, niżeli przeciw Bogu grzechy.
Człowiek nie jest stworzony na łyzy i uśmiechy,
Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi.
Jakkolwiek w twardej Bóg doświadcza próbie,
Zapomnij o swym proszku, zważ na ogrom świata;
Ta myśl wielka pomniejsze zapala przystudzi.
Sługa boży pracuje do późnego lata;
Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie,
Nim go Pan trąbą straszliwą przebudzi.

PUSTELNIK (zdziwiony).

Księżu! A, to są czary! Sztuka niepojęta!

(Na stronie).

Musi posiadać czarodziejskie sztuki,
Albo też nas podsłuchał i wszystko pamięta.

(Do księdza).

Wszak ja od niej słyszałem też same nauki!
Cała rzecz słowo w słowo, jak z ust jej wyjęta,
Przy owem pożegnaniu, owego wieczora...

(Z ironją).

Właśnie, właśnie to była do kazania pora!
Słyszałem od niej słówek pięknobrzmiących wiele:
Ojczyzna i nauki, sława, przyjaciele...
Lecz teraz groch ten całkiem od ściany odpada —
Ja sobie spokojnie drzemię.
Kiedyś duch mój przy wieszczym zapalał się rymie,
Kiedyś budził mię ze snu triumf Milcyada...

(Śpiewa).

Młodości, ty nad poziomym
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkość całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Już tchnienie jej rozwiało te kształty olbrzymie!
 Został się lekki cienik, mara blada,
 Drobnouchne żdźbła odłamki,
 Które lada motyl spasa.
 Któreby ona mogła wciągnąć z odetchnieniem —
 A ona chce budować na tym proszku zamki!
 Zrobiwszy mnie komarem, chce zmienić w Atlasa,
 Dźwigającego nieba kamiennem ramieniem.
 Napróżno! Jedna tylko iskra jest w człowieku,
 Raz tylko, w młodocianym zapala się wieku.
 Czasem ją oddech Minerwy roznieci —
 Wtenczas nad ciemne plemiona
 Powstaje mędrzec, i gwiazda Platona
 W długie wieki wieków świeci.
 Iskrę tę jeśli duma rozżarzy w pochodnie,
 Wtenczas zagrzmie bohater, pnie się do szkarłatu
 Przez wielkie cnoty i przez wielkie zbrodnie,
 I z pastuszego kija robi berło światu,
 Albo skinieniem oka stare trony wali.

(Po pauzie, zwolna).

Czasem tę iskrę oko niebianki zapali —
 Wtenczas trawi się w sobie, świeci sama sobie,
 Jako lampa w rzymskim grobie.

KSIĄDZ.

O nieszczęśliwy zapaleńcze młody!
 W żalach, które, tak mocno zraniona, pierś jaką,
 Że nie jesteś zbrodniarzem, odkrywam dowody,
 I że piękność, za którą twój się rozum błąka,
 Nie z samej tylko powabna urody.
 Jak z zapalem kochałeś, tak naśladowaj godnie
 Myślenia i uczucia niebieskiej istoty!
 Zbrodniarz, ją kochający, wróciłby do cnoty,
 A ty, niby cnotliwy, puszczasz się na zbrodnie!
 Jakakolwiek przeszkoda tutaj was rozdwoi,
 Idą ku sobie gwiazdy, choć je mgły zaciemnia;
 Mgła zniknie, gwiazda z gwiazdą na wieki się spoi,
 Łańcuchy, tu wiążące, prysną razem z ziemią,
 A tam, nad ziemią, znowu poznają się swoi,
 I namiętność, choć zbytnią, Pan Bóg wam przebaczy.

PUSTELNIK.

Jakto? Ty wiesz o wszystkim? Co to wszystko znaczy?

(Udaje głos księdza).

Jej serce równie święte, jak powabne lice!

Łańcuch, który tu wiąże, nad ziemią opadnie!

Ty wiesz o wszystkim, ty nas podsłuchałeś zdradnie!

Wyłudziłeś tajemnicę,

Ukrywaną w sercu na dnie,

O której przyjaciele nie wiedzą najszczerzy,

Bo, jedną rękę na cyprysu drzewie

A drugą kładąc na piersi,

Zaprzysięgliśmy milczeć — i nikt o tem nie wie.

Ale tak, przypominam... tak, jednego razu,

Kiedy przez czarodziejski pędzla wynalazek

Odkradzione jej wdzięki przeniosłem w obrazek,

Przyjaciółom okazać chciałem cud obrazu —

Lecz to, co mnie unosi, ich nawet nie ruszy:

Czułość dla nich zabawą, która nam — potrzebą.

Nie mają oka duszy, nie przejrzą do duszy!

Zimnym cyrklem chcą mierzyć piękności zalety,

Jak wilk, lub jak astronom patrzą na niebo.

Inny jest wzrok pasterza, kochanka, poety.

Ach, ja tak ją na martwym ubóstwiam obrazku,

Że nie śmiem licem skazić jej bezbronnych ustek

I, gdy dobranoc daję przy księżycu blasku,

Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,

Nie śmiem rozkryć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,

Nim jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię!

A moi przyjaciele!... Żałuję pośpiechu!...

Jeden, gdy ubóstwienie w oku mojem czyta,

Ledwie zgryzioną wargą nie upuścił śmiechu,

I rzekł, ziewając: „At, sobie kobieta!”

Drugi przydał: „Jesteś dziecko!”...

Ach, ten to starzec, z swoim przeklętym rozumem,

Pewnie wydał nas zdradziecko!

(Z coraz większem pomieszaniem).

Opowiedział na rynku przed dziećmi, przed tłumem,

A ktoś z tych dziatek albo z gawiedzi

Przyszedł i księdzu wyznał na spowiedzi...

(Z największem obłąkaniem).

Możesz ty mnie podstępnie badał na spowiedzi?

KSIĄDZ.

I nacóż nam te zdrady, spowiedź i podstęp?
 Chociaż się dziwnym kłębkim twoja żalność gmatwa,
 Lecz, czyj wzrok na bieg czucia nie jest całkiem tępy,
 Temu do wywikłania tajemnica łatwa.

PUSTELNIK.

Prawda! Lecz to są ludzkiej własności narowy,
 Że, co dzień cały w sercu tkwi boleśnie,
 Na noc przychodzi do głowy:
 Wtenczas człowiek sam nie wie, co rozplecie we śnie.
 Dawno, dawno... raz miałem przypadek ten samy.
 Po pierwszym z nią widzeniu wróciwszy do domu,
 Poszedłem spać, ni słówka nie mówiąc nikomu.
 Nazajutrz, gdy „dzień dobry“ przyniosłem dla mamy:
 „Co to jest — mówi do mnie — żeś taki pobożny?
 Modlisz się przez noc całą, wzdychasz nieustannie,
 I litanję mówisz o Najświętszej Pannie?“
 Zrozumiałem i na noc zamknąłem podwoje.
 Ale teraz nie mogę być równie ostrożny:
 Nie mam domu; gdzie przyjdę, tam posłanie moje —
 A często przez sen gadam... W myślach, jak na fali,
 Ustawna burza, zawieja,
 Błyśnie i zmierzchnie,
 Mnóstwo się zarysów skleja,
 W jakieś tworzydło ocali
 I znowu pierzchnie;
 Jeden tylko obrazek na zawsze wyryty,
 Czy rzucam się na piasek i patrzę w głąb ciemną,
 Błyszczący, jak księżyc, w wodzie odbity:
 Nie mogę dostać, lecz błyszczący przede mną;
 Czyli wzrokiem od ziemi strzelę na błękity —
 Za moim wzrokiem dokoła
 Płynie i postać anioła,
 Aż na górne nieba szczyty —
 Potem, jak orlik na żaglach pierza,
 (Patrząc w górę).
 Stanie w chmurze i z wysoka,
 Nim sam upadnie na zwierza,
 Już go zabił strzałą oka —

Nie wzrusza się i z lekka w jednym miejscu chwieje,
Jakby uplątany w sidło,
Albo do nieba przybity za skrzydło —
Tak właśnie ona nade mną jaśnieje!

(*Śpiewa*).

Czyli słońce światu płonie,
Czy noc wciąga szatę ciemną,
Jej wyglądam, za nią gonię,
Zawsze przy mnie, lecz nie ze mną!

Otóż, gdy ona stanie przed memi oczyma,
A sam jestem na polu, albo w gajów cieniu,
Naprawdę każę milczeć: język nie dotrzyma.
Przemówię do niej słówko, nazwę po imieniu,
A zły człowiek podsłucha! Tak właśnie dziś rano
Zdradliwie mnie podsłuchano.
Ranek był... wraz opiszę. Pamiętam dziś jeszcze:
Na kilka godzin pierwszej wylały się deszcze;
W dolinach tuman, nakształt proszącego śniegu,
A na łąkach zaranna polyska się rosa;
Gwiazdy w błękit tonęły po nocnym obiegu —
Jedna tylko nade mną świeci gwiazdka wschodnia,
Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia.
Tam, przy altanie... (*Spostrzega się*).

Cha! Cha! Pobiegłem z ukosa!...

To nie o tym poranku! Ha! Szał romansowy!
Przekłęty zawrocie głowy!...

(*Po pauzie, przypomina*).

Był ranek; kiedy dumam, narzekam i jęczę.
Deszcz lał, jak z wiadra, tęgi wichher dmuchał;
Utuliłem głowę w krzaczek:

(*Z łagodnym uśmiechem*).

Ten ladaco mnie podsłuchał...
Lecz nie wiem, czy tylko jęki,
Czy nawet imię podsłuchał,
Bo bardzo blisko był krzaczek —

KSIĄDZ.

O biedny, biedny młodzieńcze!
Co mówisz? Kto cię podsłuchał?

PUSTELNIK (*powołanie*).

Kto? Oto pewny robaczek maleńki,
Który pełzał tuż przy głowie:
Świętojański to robaczek.
Ach, jakie ludzkie stworzenie!
Przypelznął do mnie i powie:
(Zapewne mię chciał pocieszyć)
„Biedny człowieku, poco to jęczenie?
Ej, dosyć rozpaczą grzeszyć!
Kto temu winien, że piękna dziewczyna,
Ześ czuły? Nie twoja wina!
Patrz — mówił dalej robaczek —
Na iskry, co ze mnie strzela
I cały objaśnia krzaczek:
Zrazu szukałem z niej chluby;
Teraz widzę, że będzie przyczyną mej zguby
I zwabi nieprzyjaciela.
Iluż to braci moich złe jaszczurki spasyły!
Kląłem więc ozdobę własną,
Która na mnie śmierć sprowadza;
Chcę, żeby te iskry zgasły —
Ale coż robić? Nie moja w tem władza
I, póki żyję, te iskry nie zgasną“.
(*Po pauzie, pokazując na serce*).
Tak, póki żyję, te iskry nie zgasną!

DZIECI.

A, posłuchajcie... A, jaki cud, jaki!
Tato, słyszałeś o cudzie?
(*Ksiądz odchodzi, ściskając ramionami*).
Czy można, żeby robaki
Rozmawiały tak, jak ludzie?

PUSTELNIK.

Czemuż nie? Chodź tu, malcze, pod kantorek,
Nachyl się i przyłóż uszko!
Tu biedna duszka prosi o troje paciorek.
Aha, słyszysz, jak kołata?

DZIECKO.

Tak, tak!... Tak, tak!... Tata, tata!...
A dalibóg, że kołata,
Jak zegarek pod poduszką!
Co to jest? Tata, tek, ta tek!

PUSTELNIK.

Mały robaczek, kołatek,
A niegdyś wielki lichwiarz! (*Do kołatka*).
Czego żadasz, duszko?

(Udaje głos).

„Proszę o troje paciorek”.
A tuś mi, panie sknero! Znałem się z tym dziadem,
Był moim bliskim sąsiadem;
Zakopawszy się do złota,
Zawaliwszy chatę dragiem,
Nie dbał, że w progu jęczy wdowa i sierota,
Nikogo nie obdarzył chlebem ni szelagiem.
Za życia dusza jego przy pieniądzy worku
Leżała na dnie w kantorku —
Za to i teraz, po śmierci,
Nim słuszną karę odbierze w piekle,
Słyszycie, jak gryzie wściekle,
Jak świdruje i jak wierci?
Przecież, jeśli łaska czyja,
Mówcie trzy „Zdrowaś Maryja”.

*(Ksiądz wchodzi z szklanką wody).*PUSTELNIK (*coraz mocniej pomieszany*).

A co, słyszałeś pisk złego ducha?

KSIĄDZ.

Przebóg! Co się tobie plecie?

(Ogląda się).

Nic niema, wszędzie noc głucha!

PUSTELNIK.

Nadstaw tylko lepiej ucha.

(Do dziecięcia).

Chodź tu, chodź tu, moje dziecię!
Czy słyszałeś?

DZIECIĘ.

Prawda, tato!

Coś tam gada.

PUSTELNIK.

Cóż ty na to?

KSIĄDZ.

Pójdźcie spać, dzieci; co się wam marzy?
 Nic ani szalenie, cicho wokoło.

PUSTELNIK *(do dzieci z uśmiechem)*.

Nie dziw, głosu natury nie dosłyszają starzy!

KSIĄDZ.

Mój bracie, weź wody w dłonie,
 I zmyj trochę twoje czoło!
 Może ten zapal gwałtowny ochłonie.

PUSTELNIK *(bierze i myje, tymczasem zegar zaczyna bić;
 po kilku uderzeniach Pustelnik upuszcza wodę i patrzy nie-
 poruszony poważnie i ponuro)*.

Oto dziesiąta wybija,

(Kur pije).

I kur pierwsze daje hasło.

Czas ucieka, życie mija,

(Świeca jedna na stoliku gaśnie).

I pierwsze światło zagasło.

Jeszcze, jeszcze dwie godziny...

(Zaczyna drzeć).

Jak mnie zimno!

(Ksiądz tymczasem patrzy zdziwiony nieco na świecę).

Wiatr zimny świszcze przez szczeliny;

Jak tu zimno!

(Idzie do pieca).

Gdzież jestem?

KSIĄDZ.

W przyjaciela domu.

PUSTELNIK *(przytomniej)*.

Pewnie cię nastraszyłem?... O niezwyklej porze,
 Do nieznanego miejsca, w dziwnym ubiorze...
 Musiałem wiele gadać? Ach, nie mów nikomu!
 Jestem biedny podróżny, z dalekich stron jadę.

(Ogląda się i przytomniej).

W młodości jeszcze, na środku gościńca

Napadł, odarł mię całkiem *(z uśmiechem)* skrzydlaty zło-
 [czyńca.

Nie mam sukien; co znajdę, to na siebie kładę.

(Obrywa liście i szaty poprawia; z żalem).

Ach, odarł mię, odebrał wszystkie skarby świata:
Została jedna przy mnie niewinności szata!

KSIĄDZ *(który ciągle patrzył na świecę, do Pustelnika).*

Uspokój się, dla Boga!

(Do dzieci).

Kto to zgasił świecę?

PUSTELNIK.

Każdy cud chcesz tłumaczyć... Biegaj do rozumu!...
Lecz natura, jak człowiek, ma swe tajemnice,
Które nie tylko chowa przed oczyma tłumu,

(Z zapalem).

'Ale żadnemu księdzu i mędrcom nie wyzna!

KSIĄDZ *(bierze za rękę).*

Synu mój!

PUSTELNIK *(poruszony i zdziwiony).*

Synu!... Głos ten, jakby blaskiem gromu,
Rozum mój z mrocącego wydobywa cienia!

(Wpatruje się).

Tak, poznaję, gdzie jestem, w czym jestem domu!
Tak, tyś mój drugi ojciec, to moja ojczyzna!
Poznaję luby domek!... Jak się wszystko zmienia!
Dziatki urosły, ciebie przyprósza siwizna!

KSIĄDZ *(pomieszany bierze świecę, wpatruje się).*

Jakto? Znasz mię... To on!... Nie... Tak!... Nie, być
[nie może!

PUSTELNIK.

Gustaw!

KSIĄDZ.

Gustaw! Ty Gustaw? *(ściska)* Gustaw! Wielki Boże!
Uczeń mój, syn mój!

GUSTAW *(ściska, patrząc na zegar).*

Ojcze, jeszcze ścisnąć mogę!

Bo potem... wkrótce... zaraz pójdę w kraj daleki!

Ach, i ty będziesz musiał wybrać się w tę drogę:

Uściśniemy się wtenczas, ale już na wieki!

KSIĄDZ.

Gustaw! Skąd? Kędyś? Przebóg, tak długa wędrówka!
Gdzie ty bywałeś dotychczas, przyjacielu młody?
Nie wiedzieć, kędyś zniknął! Jakbyś wpadł do wody!
Literę nie napisać, nie nakazać słówka?
Wszak to lat tyle!... Gustaw! Cóż się z tobą dzieje?
Ty, niegdyś w mojej szkole ozdoba młodzieży —
Na tobie najpiękniejszym zakładał nadzieję —
Czy można tak się zgubić? W jakiejże odzieży?

GUSTAW (*z gniewem*).

Starcze, a gdy ja zaczęłam oskarżać nawzajem,
Przeklinać twe nauki, na sam widok zgrzytać?
Ty mnie zabiłeś — ty mnie nauczyłeś czytać!
W pięknych księgach i pięknym przyrodzeniu czytać!
Ty dla mnie ziemię piekłem zrobiłeś...

(*Z żalem i uśmiechem*).

i rajem!

(*Mocniej i ze wzgardą*).

A to jest tylko ziemia!

KSIĄDZ.

Co słyszysz? O Chryste!

Ja ciebie chciałem zgubić? Mam sumienie czyste!
Kochałem cię, jak syna!

GUSTAW.

I dlatego właśnie

Daruję ci.

KSIĄDZ.

Ach, o nic nie prosiłem Boga,
Jak, abym cię raz jeszcze na życiu obaczył!

GUSTAW (*uściska*).

Uściśnijmy się jeszcze, (*patrząc na świecę*) nim druga zagaśnie.
Pan Bóg do twojej prośby przychylić się raczył.
Lecz już późno, (*patrzy na zegar*) a długa do przebycia droga!

KSIĄDZ.

Chociaż mocno ciekawy słyszeć twe przygody,
Lecz teraz potrzebujesz spoczynku i czasu.
Jutro...

GUSTAW.

Dziękuję; przyjąć nie mogę gospody,
Bo już mi na zapłatę nie staje zapasu.

KSIĄDZ.

Jakto?

GUSTAW.

O, tak! Przekłęci, którzy nic nie płacą!
Za wszystko trzeba płacić: lub wzajemną pracą,
Albo wdzięcznem uczuciem, datkiem jednej łezki,
Za którą znowu Ojciec odplaci niebieski —
Ale ja, przeblądziwszy te kraje pamiątek,
Gdzie tyle łez zabiera każdy znany kątek,
I resztę uczuć i łzy wylałem ostatnie,
A nowych długów nie chcę zaciągać bezpłatnie.

(Po pauzie).

Niedawno odwiedziłem dom nieboszczki matki...
Ledwie go poznać mogłem! Już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz — rudera, pustka i zniszczenie!
Z plotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniac mech zarasta, piolun, ostu ziola —
Jak na cmentarzu w północ, milczenie dokoła!
O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy!
Po krótkiem oddaleniu gdy wracał do mamy,
Już mię dobre życzenia spotkały z daleka,
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka —
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali:
„Gustaw! Gustaw!” — wołają, pojazd zatrzymali,
Lecą nazad, gościńca wzięwszy po pierogu —
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu —
Wrzask spółuczniów, przyjaciół, ledwie nie zagłuszy!
Teraz pustka, noc, cichość, ani żywej duszy!
Słyszać tylko psa hałas i coś, naksztalt stuku:
Ach, tyż to, psie nasz wierny, nasz pocziwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny,
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny!
Choć głodem przemorzony i skurczony laty,
Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.
Kruku mój! Pójdź tu, Kruku!... Bieży, staje, słucha,
Skacze na piersi, wyje — i pada bez ducha!...
Ujrzałem światło w oknach; wchodzę — cóż się dzieje?
Z latarnią, z siekierami plądrują złodzieje,

Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!
 W miejscu, gdzie stało niegdyś łóże mojej matki,
 Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły:
 Schwycilem, zgmiotłem — czy na łeb mu wybiegły —
 Siadam na ziemi, płacząc... W przedporannym mroku
 Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku:
 Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła,
 Bardziej do czyścowego podobna widziadła.
 Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,
 Żegnając się i krzycząc, ślania się z przestrachu.
 Nie bój się! Pan Bóg z nami! Ktoś, moja kochana?
 Czego po domu pustym błądasz się tak z rana?
 „Jestem biedna uboga — ze łzami odpowie —
 W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie.
 Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
 Ale Pan Bóg nie szczęścił dla nich i dla dzieci:
 Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije —
 O paniezu nie słyhać, pewnie już nie żyje...“
 Krwią mnie serce zabiegło, wsparłem się u proga...
 Ach!.. Więc wszystko minęło?

KSIĄDZ.

Prócz duszy i Boga
 Wszystko minie na ziemi: szczęście i niedole.

GUSTAW.

Ileż znowu pamiątek w twoim domku, w szkole!
 Tu-m z dziećmi na dziedzińcu przesypywał piasek,
 Po gniazda ptasze w tamten biegaliśmy lasek,
 Kąpielą była rzeczka, u okien ciekąca,
 Po błoniach z studentami graliśmy w zajęcia...
 Tam, do gaju, chodziłem w wieczór lub przededniem,
 By odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem,
 Albo oglądać Jana zwycięstwo pod Wiedniem.
 Wnet zwolywam spółuczniów, szykuję pod lasem:
 Tu krwawe z chmur pogańskich świecą się księżyce,
 Tam Niemców potrwożonych następują rotę;
 Każę wodze ukrócić, w toku złożyć groty,
 Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice
 Przerzedzają się chmury, wrzask o gwiazdy bije,
 Gradem lecą turbany i obcięte szyje,
 Janczarów zgrają pierzchła, lub do piasku wbita —
 Zrabaną z koni jazdę rozniosły kopyta.

Aż pod wał trzebił drogę... ten wzgórek był wałem.
 Tam ona wyszła patrzeć na igraszkę dzieci;
 Tam, gdy ją przy chorągwi Proroka ujrzałem,
 Natychmiast umarł we mnie Godfred i Jan Trzeci.
 Odtąd wszystkich spraw moich, chęci, myśli pania,
 Ach, odtąd dla niej tylko, u niej, przez nią, za nią...
 Jej pełne dotąd jeszcze wszystkie okolice:
 Tu po raz pierwszy boskie obaczyłem lice,
 Tu mnie pierwszej rozmowy uczciła wyrazem,
 Tutaj, na wzgórku, Russa czytaliśmy razem;
 Altankę jej pod temi uwiązałem chłody,
 Z tych lasów przynosiłem kwiateczki, jagody,
 Z tych źródeł, stojąc przy mnie, wywabiała wędka
 Srebrnopiórego karpia, pstraga z krasną cętką —
 A dziś!...

(Placze).

KSIĄDZ.

Placz — lecz, niestety, boleść przypomnienia
 Nas samych trawi, a nic wkoło nas nie zmienia!

GUSTAW.

Dzisiaj, po latach tylu, po takiej przemianie,
 Na miejscach najszczęśliwszych — w najsmutniejszym
 [stanie!

Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię,
 I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie
 A potem, do Ojczyzny wróciwszy z daleka,
 Ten sam kamień dla tegoż samego człowieka,
 Co nim kiedyś, jak dziecko, igrał przy piastunie,
 Dziś, dla starca zmarłego, dał pod głowę w trunie,
 Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła —
 Księżu, kamień bez sądu rzuć prosto do piekła!

KSIĄDZ.

O, łza ta nie jest gorzka, gdy w obecne troski
 Przypomnianego szczęścia miesza nektar boski;
 Czułość ją u ludzkości wylewa ołtarza:
 Gorzką trucizną sączą tylko łzy zbrodniarza.

GUSTAW.

Śluchaj, powiem coś jeszcze!... Byłem i w ogrodzie
 Pod tę porę, w jesieni, przy wieczornym chłodzie.

Też same cieniowane chmurami niebiosą,
 Tenże bladawy księżyc i kroplista rosa,
 I tuman, nakształt z lekka prószącego śniegu,
 I gwiazdy toną w błękit po nocnym obiegu,
 I taż sama nade mną świeci gwiazda wschodnia,
 Którą wtenczas widziałem, którą widzę co dnia.
 W tychże miejscach toż samo uczucie paliło:
 Wszystko było, jak dawniej — tylko jej nie było!
 Podchodzę ku altance; jakiś szmer u wnijścia...
 To ona?... Nie! To wietrzyk żółtkie strząsał liścia.
 Altano, mego szczęścia kolebko i grobie!
 Tu-m poznał, tu-m pożegnał... Ach, com uczuł w tobie!
 To miejsce może wczora było jej siedzeniem,
 Ona wczora tem samem oddychała tchnieniem!
 Słucham, oglądam wkoło: próżno wzrok się błąka;
 Małgom tylko ujrzał nad sobą pajaka.
 Z listka wisząc, u słabej kołysał się nici...
 Ja i on, równie słabo do światła przybici!
 Oparłem się o drzewo. Wtem na końcu ławki
 Widzę bukiety, trawkę, listek pośród trawki:
 Tenże sam listek, listka mojego połowa,

(Dobryca listek).

Który mi przypomina ostatnie: „Bądź zdrowa!”
 To mój dawny przyjaciel! Czule-m go powitał
 Długo z nim rozmawiałem i o wszystko-m pytał:
 Jak ona rano wstaje? Czem się bawi z rana?
 Jaką piosnkę najczęściej gra u fortepjana?
 Do jakiego wybiega na przechadzkę zdroju?
 W jakim najczęściej lubi bawić się pokoju?
 Czy na moje wspomnienie rumieni się skromnie?
 Czy sama czasem, nie chcąc, nie wspomina o mnie?
 Lecz co słyszę! O straszna ciekawości karol!

(Ze złością uderza się w czoło).

Kobieta!

(Śpiewa).

Naprzód...

(Urywa i do dzieci).

Dzieci, znacie piosnkę stara?

(Śpiewa).

Naprzód ciebie wspomina
 Co chwila, co godzina.

CHÓR DZIECI.

Jakże kocha dziewczyna!
Co chwila przypomina!

GUSTAW.

Potem po raz co dnia,
A potem — co tygodnia.

CHÓR DZIECI.

Jakże czuła dziewczyna!
Co tydzień przypomina!

GUSTAW.

A potem co miesiąca,
Z początku albo z końca.

CHÓR DZIECI.

Jakże dobra dziewczyna!
Co miesiąc przypomina!

GUSTAW.

Biegą wody potoku,
Pamięć nie w naszej mocy:
Już tylko raz co roku,
Okolo Wielkiejnocy.

CHÓR DZIECI.

Jaka grzeczna dziewczyna!
Jeszcze co rok wspomina!

GUSTAW.

Więc *(pokazując listek)* ostatni przeszłości odrzuciła szczątek!
Więc już jej moich nosić nie wolno pamiątek!...
Wychodziłem z ogrodu; krok mię własny zdradza —
Pod pałac niewidoma ciągnęła mię władza.
Tysiąc ogniów północne rozpędza ciemnoty,
Słysząc wrzaski pojezdnych i karet turkoty.
Już jestem blisko ściany; skradam się pomału,
Wciskam oczy ciekawe w podwoje z kryształu:
Wszystkie stoły nakryto, wszystkie drzwi przemknięto —
Muzyka, śpiewy — jakieś obchodzono święto!
Toast!... Słyszałem imię... ach, nie powiem, czyje!
Jakiś głos nieznajomy wykrzyknął: „Niech żyje!”

„Niech żyje!“ — z ust tysiąca zabrzmiały te słowa;
Tak, niech żyją!... i z cicha przydałem: „Bądź zdrowa!“
Wtem (o, gdy mię wspomnienia same nie zabiją!)
Ksiądz wyrzekł drugie imię i krzyknął: „Niech żyją!“

(Wpatruje się jakby we drzwi).

Ktoś dziękuje z uśmiechem... znam głos... pewnie ona!
Nie wiem pewnie... nie mogę widzieć za zwierciadłem...
Wściekłość mię oślepiła... Podparłem ramiona —
Chciałem szyby rozsadzić... i bez duszy padłem...

(Po pauzie).

Myślałem, że bez duszy... Tylko bez rozumu!

KSIĄDZ.

Nieszczęsny, dobrowolnych szukałeś męczarni.

GUSTAW.

Jak trup samotny, obok weselnego tłumu
Leżałem na zroszonej gorzkim płaczem darni,
Sprzeczność ostatnich w świecie pieszczot i męczarni!
Przebudzony, ujrzałem krwawy promyk wschodu.
Czekam chwilę — już nigdzie blasku, ani szumu.
Ach, ta chwila, jak piorun, a, jak wieczność, długa!
Na strasznym chyba sądzie taka będzie druga!

(Po pauzie zwolna).

Wtem anioł śmierci wywiódł z rajskiego ogrodu!

KSIĄDZ.

I nacóż ból rozdrażniać w przygodnej ranie?
Synu mój, jest to dawna, lecz słuszna przestroga,
Że, kiedy co się stało i już nie odstanie,
Potrzeba w tem uznawać wolą Pana Boga.

GUSTAW *(z żalem).*

O, nie! Nas Bóg urządził ku wspólnemu życiu!
Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu,
Równi, choć różnych zdarzeń wykształceni ciekim,
Postawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem,
Ten sam powab we wszystkim, toż samo niechcenie,
Też same w myślach składnie i w czuciach płomienie...
Gdy nas wszędzie tożsamość łączy niedościgła,
Bóg osnuł przyszłe węzły, *(z żalem największym)* a tyś je roz-
[sirzygła!

(Mocniej gniewny).

Kobietę, puchu marny, ty wietrzna istoto!
Postaci twojej zazdroszczą anieli,
A duszę gorszą masz, gorszą, niżeli...
Przebóg! Tak ciebie oślepiło złoto
I honorów świecąca bańka, wewnątrz pusta!
Bodaj!... Niech, czego dotkniesz, przeleje się w złoto!
Gdzie tylko zwrócisz serce i usta,
Całuj, ściskaj zimne złoto!
Ja, gdybym równie był panem wyboru —
I najcudniejsza postać dziewicza,
Jakiej Bóg dotąd nie pokazał wzoru,
Piękniejsza, niżli aniołów oblicza,
Niżli sny moje, niżli poetów zmyślenia,
Niżli ty nawet... oddam ją za ciebie,
Za słodycz twego jednego spojrzenia!
Ach, i gdyby w posagu
Płynęło za nią wszystkie złoto Tagu,
Gdyby królestwo w niebie —
Oddałbym ją za ciebie!
Najmniejszych względów nie zyska ode mnie:
Gdyby za tyle piękności i złota
Prosiła tylko, ażeby jej luby
Poświęcił małą częśćkę żywota,
Którą dla ciebie całkiem poświęca daremnie,
Gdyby prosiła o rok, o pół roka,
Gdyby jedna z nią pieścizota,
Gdyby jedno mgnienie oka —
Nie chcę, i na takie nie zezwolę śluby!

(Surowo).

A ty — sercem oziębłem, obojętną twarzą
Wyrzekłaś słowo mej zguby
I zapaliłaś nieczne ogniska,
Którymi łańcuch, wiążący nas, pryska,
Które się wiecznem piekłem między nami żarzą
Na moje wieczne męczarnie!
Zabiłaś mię, zwodnico! Nieba cię ukarzą!
Sam ja... nie puszcze bezkarnie...
Idę! Zadrżycie, odmieńce!

(Dobrywa sztylet i ze wściekłą ironją).

Blyskotkę noszę dla jasnych panów!

Ot, tym wina utoczę na ślubne toasty...

Ha! Wyrodku niewiasty!

Śmiertelne ścisnę wokół szyi twojej wieńce!

Ide, jak moją własność, do piekła zagrabić, [ją zabić,

Ide... *(Wstrzymuje się i zamysła)*. O, nie, nie... nie... Żeby

Trzeba być trochę więcej, niż pierwszym z szatanów!

Precz to żelazo! *(Chowa)*. Niech ją własna pamięć goni,

(Ksiądz odchodzi).

Niech ją sumienia sztylety ranią!

Pójdę, lecz pójdę bez broni,

Pójdę tylko spojrzeć na nią.

W salach, gdzie te, od złota świecące, pijaki

Przy godowym huczą stole,

Ja w tej rozdartej sukni, z tem liściem na czole

Wniędę i stanę przy stole...

Zdziwiona zgraja od stołu powstała,

Przepijają do mnie zdrowiem,

Proszą mię siedzieć — ja stoję, jak skała,

Ani słowa nie odpowiem.

Plączą się skoczne kręgi przy śpiewach i brzęku,

Prosi mię w taniec družba godowa —

A ja z ręką na piersiach, z listkiem w drugim ręku,

Nie odpowiem ani słowa!

Wtem ona z swoim anielskim urokiem:

„Gościu mój — rzecze — pozwól, niech się dowiem,

Skąd przychodzisz, kto jesteś?” — Ja nic nie odpowiem,

Tylko na nią cisnę okiem —

Ha, okiem, okiem jadowitej żmije!

Całe piekło z mych piersi przywołam do oka;

Niech będzie ślepą, martwą, jak opoka,

Na wskroś okiem przebiję!

Wgryzę się, jak piekielny dym, pod jej powieki

I w głowie utkwię na wieki;

Będę jej myśli czyste przez cały dzień brudził

I w nocy ją ze snu budził.

(Powolnie, z czułością).

A ona tak jest czuła, tak łacno dotkliwa,

Jako na trawce wiosenne puchy,

Które lada zefiru zwiewają podmuchy

I lada rosa obrywa!

Każde wzruszenie moje natychmiast ją wzruszy,
Każdy przyostry wyraz zadraśnię —
Od cienia smutku mego jej wesołość gaśnie...
Tak znaliśmy nawzajem czucia wspólnej duszy!
Co jedno pomyślało, już drugie odgadło;
Całą istnością połączeni ścisło,
Spojrzawszy tylko na twarzy zwierciadło,
Serce nasze jak w czystym widzieliśmy stoku,
Jakie tylko uczucie na mych oczach błysło,
Natychmiast lotem promyka
Aż do jej serca przenika
I napowrót błyszczy w oku.
Ach, tak, tak ją kochałem!... Pójdę teraz trwożyć,
I na kochanka larwę potępieńca włożyć?
Poco? Czego chcę od niej? O, zazdrości podła!
I jakież są jej grzechy?
Czyli mię słówkiem dwuznacznem podwiodła?
Czy wabiącemi łowiła uśmiechy,
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzież są jej przysięgi? Jakie obietnice?
Miałemże od niej, choć przez sen, nadzieję?
Nie, nie! Sam urojone żywiłem mamidła,
Sam przyprawilem jady, od których szaleję!
Pocóż ta wściekłość? Jakie do niej prawa?
Co za moją wzgardzoną przemawia osobą?
Gdzie wielkie cnoty, świetne czyny, sława?
Nic, nic! Ach, jedną miłość mam za sobą!
Znam to; nigdy nie śmiałem nie zgrzeszył zapędy,
Nie prosiłem, żeby była mnie wzajemną:
Prosiłem tylko o maleńkie względy,
Tylko, żeby była ze mną,
Choćby jak krewna z krewnym, jak siostrzyczka z bratem!
Bóg świadkiem, przestałbym na tem!
Gdybym mówił: „Widzę ją, widziałem ją wczora,
I jutro widzieć będę;“
Z nią z rana, w dzień koło niej, koło niej z wieczora —
Oddam pierwszy „dzień dobry,“ u stołu z nią siędę —
Ach, jak byłbym szczęśliwy!

(Po pauzie).

Zapędzam się marnie:

Ty pod zazdrosnych oczu, chytrych żądał straż!

Ani obaczyć nie wolno bezkarnie!

Pożegnać, porzucić każą...

Umrzeć!... (Z żalem). Kamienni ludzie! Wy nie wiecie,

Jak ciężka śmierć pustelnika!

Konając, patrzy na świat, sam jeden na świecie;

Dłoń mu przychylna powiek nie zamyka,

Żalobne grono łoża nie otoczy,

Nikt nie pójdzie za trumną do wieczności domu,

Garsteczki piasku nie rzuci na oczy,

Zapłakać nie masz komu!

O, gdybym mógł choć przez sen pokazać się tobie,

Gdybyś na mojej pamiętkę męki

Jeden przynajmniej dzionek chodziła w żalobie,

Przypięła jedną czarną wstążkę do sukienki!...

Może spojrzysz ukradkiem... i lezka boleści...

I pomyślisz, westchnawszy: „Ach, on mię tak kochał!”

(Z dziką ironją).

Stój, stój, żalosne piskle! Precz, wrzasku niewieści!

Bedeż, jak dziecko szczęścia, umierając, szlochaj?

Wszystko mi, wszystko niebiosy wydarły,

Lecz reszty dumy nie mogą odebrać!

Zywy, o nie przed nikim nie umiałem żebrać —

Żebrać litości nie będę umarły!

(Z determinacją).

Rób, co chcesz — jesteś woli swojej pania!

Zapomnij!... Ja zapomnę! (Pomieszcany). Wszak już

[zapomniałem?

(Zamyślony).

Jej rysy... coraz ciemniej... tak już się zatary!

Już ogarniony wieczności otchłanią,

Doczesnym pogardzam szalem...

(Pauza).

Ach, wzdycham! Czegoż wzdycham? Ha, westchnałem

[za nią...

Nie, nie mogę zapomnieć o niej i umarły!

Wszakże ją widzę, wszak tu, o, tu stoi,

Placze nade mną... Jaka lezka szczerą!

(Z żalem).

Placz, moja luba! Twój Gustaw umiera!

(Z determinacją).

No, dalej, śmiało, Gustawie!

(Podnosi sztylet).

(Z żalem).

Nie bój się, luba! On się nic nie boi!
Czego żałujesz? On nic z sobą nie zabiera!
Tak! Wszystko, wszystko tobie zostawię,
Zostawię życie, i świat, i rozkosze

(Z wściekłością).

I twego!... wszystko... O nic... ani lzy nie proszę!

(Do księdza, który wchodzi ze służącymi).

Śluchaj ty... jeśli kiedy obaczy...

(Z obłąkaniem i wzmagającą się gwałtownością).

Pewna nadludzka dziewczica... kobieta,

I jeśli ciebie zapyta,

Z czego umarłem — nie mów, że z rozpacz!

Powiedz, że byłem zawsze rumiany, wesoły,

Żem ani wspomniał nigdy o kochance,

Że sobie grałem w karty, piłem z przyjaciół...

Że ta pijatyka... tańce...

Że mi się w tańcu... ot... (uderza nogą) skrzyła noga...

Z tego umarłem...

(Przebija się).

KSIĄDZ.

Jezus, Marja! Bój się Boga!

(Chwyta za rękę, Gustaw stoi; zegar zaczyna bić).

GUSTAW (pasując się ze śmiercią, patrzy na zegar).

Łańcuch szeleści... Jednasta wybija!...

KSIĄDZ.

Gustawie!

(Kur pieje drugi raz).

GUSTAW.

To drugie hasło!

Czas ucieka, życie mija,

(Zegar kończy bić, świeca druga gaśnie).

I drugie światło zagasło:

Koniec boleści!...

(Dobywa sztylet i chowa).

KSIĄDZ.

Ratujcie, przebóg! Może jaka rada!

Ach, już, już kona! Wbił do rękoleści!

Padł ofiarą szaleństwa!

GUSTAW (*z zimnym uśmiechem*).

Przecież nie upada!

KSIĄDZ (*chwytając za rękę*).

O zbrodni! Boże, odpuść!... Gustawie! Gustawie!

GUSTAW.

Zbrodnia taka nie może popełniać się codziennie.

Daj pokój próżnej obawie!

Stało się — osądzono — tylko dla nauki

Scenę boleści powtórzył zbrodzień.

KSIĄDZ.

Jakto? Co to jest?

GUSTAW.

Czary, omamienie, sztuki...

KSIĄDZ.

Ach, włosy mi się jeżą, drżą pod mną nogi...

W imię Ojca i Syna! Co to wszystko znaczy?

GUSTAW (*patrząc na zegar*).

Wybiło dwie godziny: miłości, rozpacz

A teraz następuje godzina przestrogi.

KSIĄDZ (*chcąc go sadzić*).

Usiądź, połóż się, oddaj zabójcze narzędzie!

Pozwól rany opatrzyć...

GUSTAW.

Daję tobie słowo,

Że aż do dnia sądnego sztylet w pochwach będzie.

O ranach próżna troska: wszak wyglądam zdrowo?

KSIĄDZ.

Jak Bóg na niebie, nie wiem, co to...

GUSTAW.

Skutki szalu,

Albo może kuglarstwo? — Są kosztowne bronie,

Których ostrze przenika i aż w duszy tonie —

Przecież widomie nie zaszkodzi ciału.

Taką bronią po dwakroć zostałem przebity...

(Po pauzie z uśmiechem).

Taką bronią za życia są oczy kobiety,

(Ponuro).

A po śmierci grzesznika cierpiącego skrucha!

KSIĄDZ.

W imię Ojca i Syna i świętego Ducha!

Czego stoisz, jak martwy? Zagiadasz na stronę?

Ach, oczy!... Przebóg, jakby bielmem powleczone!

Puls ustał... ręce twoje zimne, jak żelazo!

Co to wszystko ma znaczyć?

GUSTAW.

O tem inną razą!

Słuchaj, jakie mię na świat zamiary przywiodły?

Kiedy, wchodząc do ciebie, stanąłem u progu,

Pamiętam, że z dziatkami odprawiałeś modły,

Które-ś za dusze zmarłych ofiarował Bogu.

KSIĄDZ *(chwytając krucyfiks).*

Prawda, zaraz dokończym...

(Ciągnie dzieci do siebie).

GUSTAW.

No, przyznaj się szczerze,

Czy wierzysz w piekło, w czyściec?...

KSIĄDZ.

Ja we wszystko wierzę,

Cokolwiek w Piśmie świętem Chrystus nam ogłasza

I w co zaleca wierzyć Kościół, matka nasza.

GUSTAW.

I w co twoje pobożne wierzyły pradziady?

Ach, najpiękniejsze święto, bo święto pamiętek,

Zacóż zniosłeś, dotychczas obchodzone, Dziady?

KSIĄDZ.

Ta uroczystość ciągnie z pogaństwa początek.

Kościół mnie rozkazuje i nadaje władzę

„Oświecać lud, wytępiać reszty zabobonu.

GUSTAW (*pokazując na ziemię*).

Jednak proszą przeze mnie i ja szczerze radzę:
Przywróć nam Dziady! Tam, u Wszechmocnego tronu,
Kędy nasz żywot ścisłe odważają szale,
Tam większym jest ciężarem iza jednego slugi,
Którą szczerze wyleje nad tobą u zgonu,
Niż kłamliwe, po drukach rozgłaszane żale,
Płatny orszak i kirem powleczone cugi.
Jeśli, żalując śmierci dobrego dziedzica,
Lud zakupioną świecę stawia mu na grobie —
W cieniach wieczności jaśniej błyszczy się ta świeca,
Niż tysiąc lamp, w niechętniej palonych żałobie.
Jeśli przyniesie miodu plastr i skromne mleko
I garścią mąki grobowiec posypie —
Lepiej posili duszę, o, lepiej daleko,
Niż krewni modnym balem, wydanym na stypie.

ESIĄDZ.

Ani słowa. Lecz Dziady, te północne schadzki
Po cerkwiach, pustkach, lub ziemnych pieczarach,
Pelen guślarstwa obrzęd świętokradzki
Pospółstwo nasze w grubej utwierdza ciemnocie;
Stąd dziwaczne powieści, zabobonów krocie
O nocnych duchach, upiorach i czarach.

GUSTAW.

Więc żadnych niema duchów?

(*Z ironją*).

Świat ten jest bez duszy?!

Żyje, lecz żyje tylko, jak kościotrup nagi,
Który lekarz tajemną sprężyną rozruszy?
Albo jest to coś, nakształt wielkiego zegaru,
Który obiega popędem ciężaru?

(*Z uśmiechem*).

Tylko nie wiecie, kto zawiesił wagi!
O kołach, o sprężynach rozum was naucza,
Lecz nie widzicie ręki i klucza!
Gdyby z twych oczu ziemskie odpadło nakrycie
Obaczylbyś niejedno wkoło siebie życie,
Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu!

(*Do dzieci, które wchodzi*).

Dzieci, chodźcie pod kantorek!

(*Do kantorka*).

Czego potrzebujesz, duchu?

GŁOS Z KANTORKA.

Proszę o troje paciorek.

KSIĄDZ (*przeżony*).

W imię Ojca... Niech biega... altarystę zbudził!
Słowo stało się ciałem!... Zawołajcie ludzi!...

GUSTAW.

Wstydź się, wstydź się, mój ojczu! Gdzie rozum? Gdzie wiara?
Krzyż jest mocniejszy, niżli wszyscy ludzie twoi,
A kto się Boga boi, ten się nic nie boi.

KSIĄDZ.

Mów, czego potrzebujesz!... Ach, to upiór, mara!

GUSTAW.

Ja nic nie potrzebuję, jest potrzebnych tylu!...

(*Łowi koło świecy motyla*).

A tuś mi, panie motylu!

(*Do księdza, pokazując motyla*).

Ten migający wkoło ośmy rój skrzydlaty
Za życia gasił każdy prymyczek oświaty —
Za to po strasznym sądzie ciemność ich zagarnię;
Tymczasem, z potępioną błakając się duszą,
Chociaż nie lubią światła, w światło lecieć muszą.
To są dla ciemnych duchów najsrozsze męczarnie!
Patrzaj: ów motyl, strojny barwionemi szaty,
Był jakiś królik, albo pan bogaty
I wielkim skrzydeł roztworem
Zaciemniał miasta, powiaty.
Ten drugi, mniejszy, czarny i pękaty,
Był książek głupim cenzorem
I, przelatując sztuk nadobne kwiaty,
Oczerniał każdą piękność, którą tylko zoczył,
Każdą słodkość zatrutym wysysał ozorem,
Albo przebijał do ziemi środka
I nauk ziarno z samego zarodka
Gadziny zębem roztoczył...
Ci znowu, w licznym snujący się gwarze,
Są dumnych pochlebnisie, czernideł pisarze.
Na jakie pan ich gniewał się zagony,
Tam przekłeta chmura leci
I, czy ledwie wschodzące, czy dojrzałe plony,
Jako szarańcza, wybija.
Za tych wszystkich, moje dzieci,

Nie warto zmówić i „Zdrowaś Maryja”.
Są inne, słuszniej godne litości, istoty,
A między niemi twoi przyjaciele, uczniu,
Których ty wyobrażnia w górne pchnąłeś loty,
Których wrodzony ogień podniecałeś sztucznie...
Jaką, żyjąc, pokutę mieli za swe winy,
Oznajmiłem, wieczności przestąpiwszy prógi:
Życie moje ścisnąłem w krótkie trzy godziny,
I znowu wycierpiałem dla twojej przestrogi.
Im więc nieś ulgę prośbą i mszalną ofiarą!
Dla mnie, oprócz wspomnienia, nie więcej nie proszę.
Za grzech mój życie było dostateczną karą:
A dziś nie wiem, nagrodę czy pokutę znoszę.
Bo, kto na ziemi rajskie doznawał pieszczoty,
Kto znalazł drugą swojej połowę istoty,
Kto, nad świeckiego życia wylatując krańce,
Duszą i sercem gubi się w kochance,
Jej tylko myślą myśli, jej oddycha tchnieniem —
Ten i po śmierci również własną bytność traci
I, przyczepiony do łubej postaci,
Jej tylko staje się cieniem.
Jeśli, żyjąc, świętemu był uległy Panu,
Niebieską z nim chwałę dzieli;
Albo, ze złym do wiecznej strącony topieli,
Jest bolesnego współnikiem stanu.
Na szczęście, Bóg mię zrobił poddanym anioła,
Dla niej i dla mnie przyszłość śmieje się wesola.
Tymczasem, jak cień, błądząc przy kochanych wdziękach,
Bywam albo w niebiosach, albo w piekła mękach:
Gdy ona wspomni, westchnię i łezkę wyleje —
Zbliżam się do usteczek, biały włos rozwieję.
Zmieszam się z odetchnieniem i przeniknę ciebie
I jestem w niebie!
Lecz kiedy... Oh, czujecie, wy, coście kochali,
Jakim zawiść ogniem pali!?...
Długo jeszcze po świecie błąkać się potrzeba,
Aż ją Bóg w swoje objęcia powoła;
Natenczas śladem lubego anioła
I cień mój błędny wkradnie się do nieba.
(Zegar zaczyna bić).

(Śpiewa).

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Ze, według Bożego rozkazu,
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu.

(Zegar kończy bić, kur pieje, lampa przed obrazem gaśnie, Gustaw znika).

CHÓR.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Ze, według Bożego rozkazu,
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu.

CZEŚĆ III.

PRZEDMOWA.

Polska od pół wieku przedstawia widok z jednej strony tak ciągłego, niezmordowanego i niezblaganego okrucieństwa tyranów, z drugiej tak nieograniczonego poświęcenia się ludu i tak uporczywej wytrwałości, jakich nie było przykładu od czasu prześladowania chrześcijaństwa. Zdaje się, że królowie mają przecucie Herodowe o zjawieniu się nowego światła na ziemi i o bliskim swoim upadku, a lud coraz mocniej wierzy w swoje odrodzenie się i zmartwychwstanie.

Dzieje męczeńskiej Polski obejmują wiele pokoleń i niezliczone mnóstwo ofiar; krwawe sceny toczą się po wszystkich stronach ziemi naszej i po obcych krajach. — Poema, które dziś ogłaszamy, zawiera kilka drobnych rysów tego ogromnego obrazu, kilka wypadków z czasu prześladowania, podniesionego przez imperatora Aleksandra.

Okolo roku 1822 polityka imperatora Aleksandra, przeciwna wszelkiej wolności, zaczęła się wyjaśniać, gruntować i pewny brać kierunek. W ten czas podniesiono na cały ród polski prześladowanie powszechne, które coraz stawało się gwałtowniejsze i krwawsze. Wystąpił na scenę pamiętny w naszych dziejach senator Nowosilcow. On pierwszy instynktową i zwierzęcą nienawiść rządu rosyjskiego ku Polakom wyrozumował jako zbawienną i polityczną, wziął ją za podstawę swoich działań, a za cel położył zniszczenie polskiej narodowości. W ten czas całą przestrzeń ziemi, od P. rośny aż do Dniepru i od Galicji do Bałtyckiego morza, zamknięto i urządzono jako ogromne więzienie. Całą administrację nakrecono jako jedną wielką Polaków torturę, której koło obracali carewicz Konstanty i senator Nowosilcow. Systematyczny Nowosilcow wziął naprzód na męki dzieci i młodzież, aby nadzieję przyszłych pokoleń w zarodzie samym wytępić. Zakończył główną kwatere katostwa w Wilnie, w stolicy nauko-

wej prowincyj litewsko-ruskich. Były wówczas między młodzieżą uniwersytetu różne towarzystwa literackie, mające na celu utrzymanie języka i narodowości polskiej, kongresem wiedeńskim i przywilejami imperatora zostawionej Polakom. Towarzystwa te, widząc wzmagające się podejrzenia rządu, rozwiązały się wprzód jeszcze, nim ukaz zabronił ich bytu. Ale Nowosilcow, chociaż w rok po rozwiązaniu się towarzystw przybył do Wilna, udał przed imperatorem, że je znalazł działające; ich literackie zatrudnienia wystawił jako wyraźny bunt przeciwko rządowi, uwięził kilkaset młodzieży i ustanowił pod swoim wpływem trybunały wojenne na sądenie studentów. W tajemnej procedurze rosyjskiej oskarżeni nie mają sposobu bronięcia się, bo często nie wiedzą, o co ich powołano, bo zeznania nawet komisja według woli swojej jedne przyjmuje i w raporcie umieszcza, drugie uchyla. Nowosilcow, z władzą nieograniczoną od carewicza Konstantego zesłany, był oskarżycielem, sędzią i katem. Skasował kilka szkół w Litwie, z nakazem, aby młodzież, do nich uczęszczającą uważano za cywilnie umarłą, aby jej do żadnych posług obywatelskich, na żadne urzędy nie przyjmowano i aby jej nie dozwolono ani w publicznych, ani w prywatnych zakładach skończyć nauk. Taki ukaz, zabraniający uczyć się, nie ma przykładu w dziejach i jest oryginalnym, rosyjskim wymysłem. Obok zamknięcia szkół skazano kilkudziesięciu studentów do min sybirskich, do taczek, do garnizonów azjatyckich; w liczbie ich byli małoletni, należący do znakomitych rodzin litewskich. Dwudziestu kilku, już nauczycieli, już uczniów uniwersytetu, wysłano na wieczne wygnanie w głąb Rosji, jako podejrzanych o polską narodowość. Z tylu wygnañców jednemu tylko dotąd udało się wydobyć z Rosji.

Wszyscy pisarze, którzy uczynili wzmiankę o prześladowaniu ówczesnem Litwy, zgadzają się na to, że w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego. Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży, religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość młodych więźniów, kara Boża, sięgająca widomie prześladowców, zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń — a opisane zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów.

Kto zna dobrze ówczesne wypadki, da świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osób działających

skreślił sumiennie, nic nie dodając i nigdzie nie przesadzając. I pocóżby miał dodawać albo przesadzać? Czy dla ożywienia w sercu rodaków nienawiści ku wrogom? Czy dla obudzenia litości w Europie? — Czemże są wszystkie ówczesne okrucieństwa w porównaniu tego, co naród polski teraz cierpi i na co Europa teraz obojętnie patrzy! Autor chciał tylko zachować narodowi wierną pamiątkę z historii litewskiej lat kilkunastu; nie potrzebował ohydzać rodakom wrogów, których znają od wieków — a do litościwych narodów europejskich, które płakały nad Polską, jak niedołączone niewiasty Jeruzalem nad Chrystusem, naród nasz przemawiać tylko będzie słowami Zbawiciela: „Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nademną, ale nad samemi sobą!”

CZEŚĆ III.

LITWA.

ŚWIĘTEJ PAMIĘCI

JANOWI SOBOLEWSKIEMU, CYPRJANOWI DASZKIEWICZOWI, FELIKSOWI KÓŁAKOWSKIEMU.

SPOŁUCZNIOM, SPÓŁWIEŻNIOM, SPÓŁWYGNAŃCOM, ZA MIŁOŚĆ KU OJCZYŹNIE PRZEŚLADOWANYM Z TĘSKNOTY KU OJCZYŹNIE ZMARŁYM W ARCHANGELU, NA MOSKWIE, W PETERSBURGU.

NARODOWEJ SPRAWY MĘCZENNIKOM

Poświęca Autor.

A strzeżcie się ludzi, albowiem was będą wydawać do siedzącej rady i w bóżnicach swoich was biczować będą.

Mat., X. 17.

I do starostów i do królów będziecie wodzeni na świadectwo im i poganom.

18.

I będziecie w nienawiści u wszystkich dla imienia mego. Ale, kto wytrwa aż do końca, ten będzie zbawiony.

22.

PROLOG.

W Wilnie, przy ulicy Ostrobramskiej w klasztorze księży bazylianów, przerobionym na więzienie stanu. — Cella więźnia.

(Więzień, wsparty na oknie, śpi).

ANIOŁ STRÓŻ.

Niedobre, nieczułe dziecię!
Ziemskie matki twej zasługi,
Prośby jej na tamtym świecie
Strzegły długo wiek twój młody
Od pokusy i przygody —
Jako róża, anioł sadów,
We dnie kwitnie, w noc jej wonie
Bronią senne dziecka skronie
Od zarazy i owadów.

Nieraz ja, na prośbę matki
I za pozwoleniem Bożem,
Zstępowałem do twej chatki,
Cichy, w cichej nocy cieniu,
Zstępowałem na promieniu
I stawałem nad twem łóżem.

Gdy cię noc ukołysała,
Ja nad marzeniem namiętnem
Stałem, jak lilia biała,
Schylona nad źródłem mętne.
Nieraz dusza mnie twa zbrzydła!
Alem w złych myśli nacisku
Szukał dobrej, jak w mrowisku
Szukają ziarenek kadzidla.

Ledwie dobra myśl zaświeci,
Brałem duszę twą za rękę,
Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci,
I śpiewałem jej piosenkę,
Którą rzadko ziemskie dzieci
Słyszą, rzadko i w uśpieniu,
A zapomną w odecknieniu.
Jam ci przyszłe szczęście głosił,
Na mych rękach w niebo nosił —
A tyś słyszał niebios dźwięki,
Jako pjanych uczt piosenki.

Ja, syn chwały nieśmiertelnej,
Przybierałem wtenczas postać
Obrzydłej larwy piekielnej,
By cię straszyć, by cię chłostać;
Tyś przyjmował chłostę Boga,
Jak dziki męczarnie wroga,
I dusza twa w niepokoju,
Ale z dumą się budziła,
Jakby w niepamięci zdroju
Przez noc całą męty piła.
I pamiętki wyższych światów
W głąb ciągnąłeś, jak kaskada,
Gdy w podziemną przepaść wpada,
Ciągnie liście drzew i kwiatów.

Natenczas gorzko płakałem,
Oblicze tuląc w me dłonie;
Chciałem i długo nie śmiałem
Ku niebieskiej wracać stronie,
Bym nie spotkał twojej matki:
Spyta się: „Jaka nowina
Z kuli ziemskiej, z mojej chatki?
Jaki sen był mego syna?”

WIEZIEN (budzi się strudzony i patrzy w okno. — Ranek).

Nocy cicha! Gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta,
Skąd przychodzisz? Gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,
Kto z tych gwiazd tajnie przyszej drogi twej wyczyta?
„Zaszło słońce!” — wołają astronomy z wieży,
Ale dlaczego zaszło, nikt nie odpowiada.
Ciemności kryją ziemię, i lud we śnie leży:
Lecz dlaczego śpią ludzie, żaden z nich nie bada;
Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali.
Nie dziwi słońca dziwna, lecz codzienna głowa;
Zmienia się blask i ciemność, jako straż pułkowa —
Ale gdzież są wodzowie, co jej rozkazali?

A sen? — Ach, ten świat cichy, głuchy, tajemniczy,
Życie duszy, czyż nie jest warte badań ludzi?
Któż jego miejsce zmierzy, kto jego czas zliczy?
Trwoży się człowiek śpiący — śmieje się, gdy zbudzi.
Mędrcy mówią, że sen jest tylko przypomnienie.

Mędrcy przekleci!

Czyż nie umiem rozróżnić marzeń od pamięci?

Chyba mnie wmówią, że moje więzienie

Jest tylko wspomnienie!

Mówią, że senne czucie rozkoszy i kaźni

Jest tylko grą wyobraźni:

Głupi, zaledwie z wieści wyobraźnię znają

I nam, wieszczom, o niej bają!

Bywałem w niej, zmierzyłem lepiej jej przestrzenie

I wiem, że leży za jej granicą — marzenie.

Przedem dzień będzie nocą, rozkosz będzie kaźnią,

Niż sen będzie pamięcią, mara wyobraźnią.

(Kładzie się i wstaje znowu — idzie do okna).

Nie mogę spocząć: te sny to strasza, to ludzą...

Jak te sny mię trudzą!

(Drzemie).

DUCHY NOCNE.

Puch czarny, puch miękki pod głowę podłożmy;
Śpiewajmy, a cicho: nie trwoźmy, nie trwoźmy;

DUCH Z LEWEJ STRONY.

Noc smutna w więzieniu; tam, w mieście, wesele,
U stołów tam muzyki huczą,
Przy pełnych kielichach śpiewają minstrele,
Tam nocą komety się wlecą —
Komety z oczkami i z jasnym warkoczem...

(Wiecień usypia).

Kto po nich kieruje łódź w biegu,
Ten zaśnie na fali, w marzeniu uroczem
Na naszym przebudzi się brzegu.

ANIOL.

My uprosiliśmy Boga,
By cię oddał w ręce wroga.
Samotność — mędrców mistrzyni
I ty, w samotnem więzieniu,
Jako prorok na pustyni,
Dumaj o twem przeznaczeniu.

CHÓR DUCHÓW NOCNYCH.

W dzień Bóg nam dokucza, lecz w nocy wesele,
W noc późną próżniaki się tuczą
I w nocy swobodniej śpiewają minstrele,
Szatany piosenek ich uczą.
Kto ranną myśł świętą przyniesie z kościoła,
Kto rozmów pocziwych smak czuje —
Noc-pjawka wyciągnie pobożną myśl z czoła,
Noc-wąż w ustach smaki zatruje.
Śpiewajmy nad sennym, my, nocy synowie,
Usłużmy, aż będzie nam sługą —
Wpadnijmy mu w serce, biegajmy po głowie
Nasz będzie — ach, gdyby spał długo!

ANIOL.

Modlono się za tobą na ziemi i w niebie;
Wkrótce muszą tyrani na świat puścić ciebie.

WIEZIEN *(budzi się i myśli).*

Ty, co bliźnich katujesz, więzisz i wyrzynasz
I uśmieciesz się we dnie i w wieczór ucztujesz.
Czy ty z rana choć jeden sen twój przypominasz?
A, jeśliś go przypomniał, czy ty go pojmujesz?

(Drzemie).

ANIOL.

Ty będziesz znowu wolny; my oznajmić przyszedli.

WIEZIEN *(budzi się).*

Będę wolny? — Pamiętam, ktoś mi wczora prawil...
Nie... Skądże to? Czy we śnie? Czy Bóg mi objawił?

(Zasypia).

ANIOŁOWIE.

Pilnujmy tylko, ach, pilnujmy myśli:
Między myślami bitwa już stoczona!

DUCHY Z LEWEJ STRONY.

Podwójmy napaść!

DUCHY Z PRAWEJ.

My podwójmy strażel!
Czy zła myśl wygra, czy dobra pokona,
Jutro się w mowach i w dziełach pokaże;
I jedna chwila tej bitwy wyrzeka
Na całe życie o losach człowieka.

WIEZIEN.

Mam być wolny! — Tak! Nie wiem, skąd przyszła nowina,
Lecz ja znam, co być wolnym z łaski Moskwicinal
Łotry zdejmą mi tylko z rąk i nóg kajdany,
Ale wtłoczą na duszę... Ja będę wygnany!
Błąkać się w cudzoziemców, w nieprzyjaciół tłumie...
Ja śpiewak — i nikt z mojej pieśni nie zrozumie
Nic — oprócz niekształtnego i marnego dźwięku.
Łotry, tej jednej broni z rąk mi nie wydarły,
Ale mi ją zepsuto, przełamano w rękę;
Żywy, zostanę dla mej ojczyzny umarły,
I myśl legnie, zamknięta w duszy mojej cieniu,
Jako diament, w brudnym zawarty kamieniu.

(Wstaje i pisze węglem z jednej strony):

D. O. M.
GUSTAVUS
OBIIT M. D. CCC. XXIII.
CALENDIS NOVEMBRIS.

(Z drugiej strony):

HIC NATUS EST
CONRADUS
M. D. CCC. XXIII.
CALENDIS NOVEMBRIS.
(Wspiera się na oknie — usypia).

DUCH.

Człowieku, gdybyś wiedział, jaka twoja władza!
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze,
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza
I tworzy deszcz rodzajny, lub gromy i burze —
Gdybyś wiedział, że, ledwie jedną myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,
Tak czekają twej myśli — szatan i anioły,
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz!...
A ty, jak obłok górny, ale błędny, pałasz
I sam nie wiesz, gdzie lecisz, sam nie wiesz, co zdziałasz!
Ludzie! Każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwać i podźwigać trony!

AKT I.

SCENA I.

*Korytarz. — Straż z karabinami stoi opodal. — Kilku więźniów
młodych ze świecami; wychodzą z cel swoich. — Północ.*

JAKÓB.

Czy można? — obaczym się?

ADOLF.

Straż gorzałkę pije

Kapral nasz...

JAKÓB.

Która bila?

ADOLF.

Północ niedaleko.

JAKÓB.

Ale, jak nas runt złowi, kaprała zasieką.

ADOLF.

Tylko zgaś świecę! — Widzisz — ogień w okna bije.

(Gaszą świecę).

Runt dzieciństwo! Runt musi do wrót długo pukać,

Dać hasło i odebrać, musi kluczków szukać —

Potem długi korytarz... Nim nas runt zacapi,

Rozbieżym się, drzwi zamkną, każdy padł i chrapi.

(Inni więźniowie, wywołani z celi, wychodzą).

ŻEGOTA.

Dobry wieczór!

KONRAD.

I ty tu?

KS. LWOWICZ.

I wy tu?

SOBOLEWSKI.

I ja tu.

FREJEND.

A wiecie co, Żegoto — idziem do twej celi!

Świeży więzień dziś wstąpił do nowicyatu

I ma komin; tam dobry ogień będziemy mieli;

SOBOLEWSKI.

Żegoto! A, jak się masz? I ty tu, kochany!

ŻEGOTA.

U mnie cela trzy kroki; was taka gromada...

FREJEND.

Wiecie co, pójdźmy lepiej do celi Konrada!

Najdalsza jest, przytyka do muru kościoła;

Nie słyhać stamtąd, choć kto śpiewa albo woła.

Myszę dziś głośno gadać i chcę śpiewać wiele;

W mieście pomyślą, że to śpiewają w kościele;

Jutro jest Narodzenie Boże. — Ech, koledzy,

Mam i kilka butelek...

JAKÓB.

Bez kaprała wiedzy?

FREJEND.

Kapral poczciwy i sam z butelek skorzysta.
 Przytem jest Polak, dawny nasz legjonista,
 Którego car przerobił gwałtem na Moskala.
 Kapral dobry katolik i więźniom pozwala
 Przepędzić wieczór świętej Wigilji razem.

JAKÓB.

Gdyby się dowiedzieli, nie uszłoby płazem.

*(Wchodzi do celi Konrada, nakładają ogień w kominku
 i zapalają świece. — Cella Konrada, jak w prologu).*

KS. LWOWICZ.

I skądże się tu wziąłeś, Żegoto kochany?
 Kiedy?

ŻEGOTA.

Dziś mię porwali, z domu, ze stodoły.

KS. LWOWICZ.

I ty byłeś gospodarz?

ŻEGOTA.

Jaki! Zawołany!

Żebyś ty widział moje merynosy, woly!

Ja, co pierwaj nie znałem, co owies, co słoma,
 Mam sławę najlepszego w Litwie ekonoma!

JAKÓB.

Wzięto cię mespodzianie?

ŻEGOTA.

Od dawna slyszalem

O jakimś w Wilnie śledztwie; dom mój blisko drogi:
 Widać było kibitki, latające czwałem,
 I co noc nas przerażał pocztą dźwięk złowrogi.
 Nieraz, gdyśmy wieczorem do stołu zasiedli
 I ktoś żartem uderzył w szklankę noża trzonkiem,
 Drżały kobiety nasze, staruszkowie bledli,
 Myśląc, że już zajeżdża feldjeger ze dzwonkiem.
 Lecz nie wiedziałem, kogo szukają i za co,
 Nie należałem dotąd do żadnego spisku;
 Sądzę, że rząd to śledztwo wynalazł dla zysku,
 Że się więźniowie nasi porządnie oplacą
 I powrócą do domu.

TOMASZ.

Taką masz nadzieję...

ŻEGOTA.

Jużci, przecież bez winy w Sybir nas nie wyślą —
A jakąż winę naszą znajdą lub wymyślą?
Milczycie? — Wytłumaczcież, co się tutaj dzieje!
O co nas oskarżono, jaki powód sprawy?

TOMASZ.

Powód — że Nowosilcow przybył tu z Warszawy.
Znasz zapewne charakter pana senatora,
Wiesz, że już był w niełasce u imperatora,
Że zysk dawniejszych łupiestw przepił i roztrwonił,
Stracił u kupców kredyt i ostatkiem gonił,
Bo, pomimo największych starań i zabiegów
Nie może w Polsce spisku żadnego wysledzić;
Więc postanowił świeży kraj, Litwę, nawiedzić —
I tu przeniósł się z całym głównym sztabem szpiegów.
Żeby zaś mógł bezkarnie po Litwie plondrować
I na nowo się w łaskę samodzierżcy wkreścić.
Musi z towarzystw naszych wielką rzecz wysnować
I nowych wiele ofiar carowi poświęcić.

ŻEGOTA.

Lecz my się uniewinnim!

TOMASZ.

Bronić się daremnie!

I śledztwo i sąd cały toczy się tajemnie;
Nikomui nie powiedzą, za co oskarżony;
Ten, co nas skarży, naszej ma słuchać obrony!
On gwałtem chce nas karać — nie unikniem kary.
Został nam jeszcze środek smutny — lecz jedyny:
Kilku z nas poświęcimy wrogom na ofiary
I ci na siebie muszą przyjąć wszystkich winy.
Ja stałem na waszego towarzystwa czele:
Mam obowiązek cierpieć za was, przyjaciele;
Dodajcie mi wybranych jeszcze kilku braci,
Z takich, co są sieroty, starsi, nieżonaci,
Których zguba niewiele serc w Litwie zakrwawi,
A młodszych, potrzebniejszych, z rąk wroga wybawi.

ZEGOTA.

Więc aż do tego przyszło!?!...

JAKÓB.

Patrz, jak się zasmucili!
Nie wiedział, że dom może na zawsze porzucił.

FREJEND.

Nasz Jacek musiał żonę zostawić w pologu,
A nie płacze...

FELIKS KOŁAKOWSKI.

Ma płakać? Owszem — chwala Bogu!
Jeśli powije syna, przyszłość mu wywieszczę.
Daj mi no rękę — jestem trochę chiromanta,
Wywrózę tobie przyszłość twojego infanta.
(*Patrząc na rękę*).
Jeśli będzie pocziwy, pod moskiewskim rządem
Spotka się niezawodnie z kibitką i sądem;
A kto wie, może wszystkich nas znajdzie tu jeszcze...
Lubię synów: to nasi przyszli towarzysze.

ZEGOTA.

Wy tu długo siedzicie?

FREJEND.

Skądże datę wiedzieć?
Kalendarza nie mamy, nikt listów nie pisze;
To gorsza, że nie wiemy, póki mamy siedzieć.

SUZIN.

Ja mam u okna parę drewnianych firanek
I nie wiem nawet, kiedy mrok, a kiedy ranek.

FREJEND.

Ale pytaj Tomasza, patriarchę biedy!
Największy szczupak — on też pierwszy wpadł do matni.
On nas tu wszystkich przyjął i wyjdzie ostatni;
Wie o wszystkich: kto przybył, skąd przybył i kiedy.

SUZIN.

To pan Tomasz! Ja poznać nie mogłem Tomasza!
Daj mi rękę! Znałeś mię krótko i niewiele:
Wtenczas tak była droga wszystkim przyjaźń wasza,
Otaczali was liczni, bliżsi przyjaciele —

Nie dojrzałeś mię w tłumie, lecz ja ciebie znałem:
Wiem, coś zrobił, coś cierpiał, żebyś nas ocalił;
Odtąd będę się z twojej znajomości chwalił
I w dzień zgonu przypomnę: z Tomaszem płakałem.

FREJEND.

Ale, dla Boga, poco te łyzy, płacze, zgroza!
Patrz: Tomasz, gdy był wolny, miał na swoim czole
Wypisano wielkimi literami „koza“;
Dziś w więzieniu, jak w domu, jak w swoim żywiole.
On był na świecie, jako grzyby kryptogamy:
Wiedniał i schnął od słońca; wsadzony do lochu,
Kiedy my, słoneczniki, błedniejem, zdychamy —
On rozwija się, kwitnie i tyje po trochu.
Ale też wziął pan Tomasz kurację modną,
Sławną teraz na świecie: kurację głodną.

ŻEGOTA (do Tomasza).

Głodem ciebie morzono?

FREJEND.

Dodawano strawy,

Ale gdybyś ją widział! — Widok to ciekawy!
Dość było taką strawą w pokoju zakadzić,
Ażeby myszy wytruć i świerszcze wygładzić.

ŻEGOTA.

I jakże ty jeść mogłeś?

TOMASZ.

Tydzień nic nie jadłem,

Potem jeść próbowałem, potem z sił opadłem;
Potem, jak po truciźnie, czułem bole, klucia,
Potem kilka tygodni leżałem bez czucia.
Nie wiem, ile i jakie-m choroby przebywał,
Bo nie było doktora, coby je nazywał.
Wreszcie jam wstał, jadł znowu i do sił przychodził,
I zdaje mi się, żem się do tej stawy zrodził.

FREJEND (z wymuszoną wesołością).

Wierzcie mi, tam, za kozą, same urojenia;
Kto tu był, sekret kuchni i mieszkań przeniknął:
Jeść, mieszkąć, źle czy dobrze — skutek przywyknienia.
— Pytał raz Litwin, nie wiem, djabła czy Pińczuka:
„Dlaczego siedzisz w błocie?“ — „Siedzę, bom przywyknął“.

JAKÓB.

Ależ przywyknąć, bracie!

FREJEND.

Na tem cała sztuka!

JAKÓB.

Ja tu siedzę podobno od ośmiu miesięcy,
A tak tęsknię, jak pierwaj, nie mniej...

FREJEND.

I nie więcej?

Pan Tomasz tak przywyknął, że mu powiew zdrowy
Zaraz piersi obciąża, robi zawrót głowy.
On odwyknął oddychać, nie wychodzi z celi —
Jeśli go stąd wypędzą, koza się opłaci:
Bo on potem ni grosza na wino nie straci,
Tylko łyknie powietrza i wnet się podchmieli.

TOMASZ.

Wolałbym być pod ziemią, w głodzie i chorobie
Znosić kije i gorsze, niżli kije — śledztwo,
Niż tu, w lepszym więzieniu, mieć was za sąsiedztwo!
Łotry! Wszystkich nas w jednym chcą zakopać grobie.

FREJEND.

Jakto, więc płaczesz po nas? — Masz kogo żałować!
Czy nie mnie, pytam? Jaka korzyść z mego życia?
Jeszcze w wojnie... Mam jakiś talencik do bicia —
I mógłbym kilku Dońcom grzbiety naszpikować —
Ale w pokoju! — Cóż stąd, że lat sto przeżyję
I będę kłat Moskalów, i umrę — i zgniję?
Na wolności wiek cały byłbym mizerakiem,
Jak proch, albo jak wino miernego gatunku:
Dziś, gdy wino zatknięto, proch przybito kłakiem,
W kozie mam całą wartość butli i ładunku.
Wytchnąłbym się, jak wino z otwartej konewki,
Spaliłbym, jak proch, lekko, z otwartej panewki;
Lecz, jeśli mię w łańcuchach stąd na Sybir wyślą,
Obaczą mię Litwini bracia i pomyślą:
„Wszak-ci to krew szlachecka, to młódź nasza ginie!
Poczekaj, zbójco caru, czekaj, Moskwicinie!“ —

Taki, jak ja, Tomaszu, dalby się powiesić,
Żebyś ty jedną chwilę żył na świecie dłużej.
Taki, jak ja, ojczyźnie tylko śmiercią służy:
Umarlbym dziesięć razy, byle cię raz wskrzesić,
Ciebie, lub ponurego poetę Konrada,
Który nam o przyszłości, jak cygan, powiada.
(Do Konrada).

Wierzę, bo Tomasz mówił, żeś ty śpiewak wielki,
Kocham cię, boś podobny także do butelki:
Rozlewasz pieśń, uczuciem, zapalem oddychasz,
Pijem, czuję, a ciebie ubywa — usychasz.
(Bierze za rękę Konrada i łyzy sobie ocietera).
(Do Tomasza i Konrada).

Wy wiecie, że was kocham — ale można kochać,
Nie płakać! Otóż, bracia, osuszcie łyzy wasze,
Bo, jak się raz rozczulę i jak zacznę szlochać,
I herbaty nie zrobię i ogień zagaszę.
(Robi herbatę).
(Chwila milczenia).

KS. LWOWICZ.

Prawda, źle przyjmujemy nowego przybysza.
(Pokazują Żegotę).
W Litwie zły to znak płakać we dniu inkrutowin...
Czy nie dosyć w dzień milczym? — He? — Jak długa cisza!...

JAKÓB.

Czy niema nowin z miasta?

WSZYSCY.

Nowin?

KS. LWOWICZ.

Żadnych nowin!

ADOLF.

Jan dziś chodził na śledztwo, był godzinę w mieście;
Ale milczy i smutny i, jak widać z miny,
Nie ma ochoty gadać.

KILKU Z WIEŻNIÓW.

No, Janie! Nowiny?

SOBOLEWSKI (ponuro).

Niedobre. — Dziś — na Sybir — kibitek dwadzieście
Wywieźli...

ZEGOTA.

Kogo? — Naszych?

JAN.

Studentów ze Żmudzi.

WSZYSCY.

Na Sybir?

JAN.

I paradnie! — Było mnóstwo ludzi.

KILKU

Wywieźli!

JAN.

Sam widziałem.

JACEK.

Widziałeś? — I mego

Brata wywieźli? — Wszystkich?

JAN.

Wszystkich — do jednego!

Sam widziałem. — Wracając, prosiłem kaprała
Zatrzymać się; pozwolił chwilę. Stałem zdala,
Skrzyłem się za słupami kościoła. W kościele
Właśnie msza była — ludu zebrało się wiele.
Nagle lud cały runął przeze drzwi nawalem —
Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przysionkiem —
I kościół tak był pusty, że w głębi widziałem
Księdza z kielichem w rękę i chłopca ze dzwonkiem.
Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,
Wojsko z bronią, z bębniemi, stało we dwa rzędy;
W pośrodku nich kibitki. — Patrząc, z placu sady
Policmajster na koniu; z miny zgadłbyś łatwo,
Że wielki człowiek, wielki triumf poprowadzi:
Triumf cara północy, zwycięzcy nad — dziatwą!
Wkrótce znak dano bębniem, i ratusz otwarty...
Widziałem ich... Za każdym z bagnietem szły warty...
Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy, jak rekruci,
Z golonemi głowami — na nogach okuci...
Biedne chłopcy! — Najmłodszy, dziesięć lat niebożę,
Skażył się, że łańcucha podźwignąć nie może

I pokazywał nogę skrwawioną i nagą.
Policmajster przejeżdża, pyta, czego żądał;
Policmajster człek ludzki, sam łańcuch oglądał:
„Dziesięć funtów, zgadza się z przepisaną wagą”.
Wywiedli Janczewskiego — poznałem: ospetniał,
Zczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał.
Ten, przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały,
Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały
Ów cesarz — okiem dumnym, suchem i pogodnym.
To zdawał się pocieszać spółników niewoli,
To lud żegnał uśmiechem gorzkim, lecz łagodnym,
Jak gdyby im chciał mówić: „Niebardzo mi boli!”
Wtem zdało mi się, że mnie napotkał oczyma
I, nie widząc, że kapral za suknię mię trzyma,
Myślał, że uwolniony; dłoń swą ucałował
I skinął ku mnie, jakby żegnał i winszował —
I wszystkich oczy nagle zwróciły się ku mnie,
A kapral ciągnął gwałtem, ażeby się schował.
Nie chciałem, tyłkom stanął bliżej przy kolumnie.
Uważałem na więźnia postawę i ruchy:
On postrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy —
Wstrząsnął nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt ciężył.
A wtem zacięto konia... Kibitka runęła —
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos nateżył
I trzykroć krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!” —
Wpadli w tłum — ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny, jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydną,
Głowa niezawstydzona, dumna, zdala widna,
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza
I wystaje z czarnego tyłu głów natłoku,
Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszcza —
Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku
I zostaną w mej myśli — i w drodze żywota,
Jak kompas, pokażą mi, powiodą, gdzie cnota;
Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie,
Zapomnij o mnie!

KS. LWOWICZ.

Amen za was.

KĄŻDY Z WIĘŹNIÓW.

I za siebie.

JAN SOBOLEWSKI.

Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim
Kibitki — ich wsadzano jednego po drugim.
Rzuciłem wzrok po ludu ściśnionego kupie,
Po wojsku: wszystkie twarze pobiadły, jak trupie,
A w takim tłumie taka była cichość głucha,
Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk łańcucha.
Dziwna rzecz! Wszyscy czuli, jak nieludzka kara:
Lud, wojsko czuje — milczy!... Tak boją się cara!
Wywiedli ostatniego. Zdało się, że wzbraniał,
Lecz on, biedny, iść nie mógł: co chwila się ślaniał,
Zwolna schodził ze schodów — i, ledwie na drugi
Szczebel stąpił — stoczył się i upadł, jak długi.
To Wasilewski; siedział tu, w naszym sąsiedztwie;
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.
Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało,
Niósł w kibitkę na rękę, ale ręką drugą
Tajemnie lży ocierał; niósł powoli, długo.
Wasilewski nie zemdlał, nie zwisnął, nie ciężał,
Ale, jak padł na ziemię prosto, tak oteżał;
Niesiony, jak słup sterczał i, jak z krzyża zdjęte,
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte,
Oczy straszne, zbielełe, szeroko rozwarłe.
I lud oczy i usta otworzył — i razem
Jedno westchnienie, z piersi tysiąca wydarte,
Głębokie i podziemne, jęknęło dokoła,
Jak gdyby jęły wszystkie groby z pod kościoła.
Komenda je zgłuszyła bębniem i rozkazem:
„Do bron! Marsz!” Ruszono — a środkiem ulicy
Puściła się kibitka lotem błyskawicy.
Jedna pusta: był więzień, ale niewidomy;
Rękę tylko do ludu wyciągnął z pod słomy
Sina, rozwartą, trupią; trząsł nią, jakby żegnał.
Kibitka w tłum wjechała. — Nim bicz tłumy przegnał,
Stanęli przed kościołem — i właśnie w tej chwili
Słyszałem dzwonek, kiedy trupa przewozili.
Spojrzałem w kościół pusty i rękę kapłańską
Widziałem, podnoszącą ciało i krew Pańską,
I rzekłem: „Panie! Ty, co sądami Piłata
Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata,

Przyjm tę z pod sądów cara ofiarę dziecinną,
Nie tak świętą, ni wielką, lecz równie niewinną
(*Długie milczenie*).

JÓZEF.

Czytałem ja o wojnach. — W dawnych, dzikich czasach,
Piszą, że tak okropne wojny prowadzono,
Że nieprzyjaciół drzewom nie przepuszczał w lasach,
I że z drzewami na pniu zasiewy palono;
Ale car mędrszy, srożej, głębiej Polskę krwawi:
On nawet ziarna zboża zabiera i dławil
Sam szatan mu metodę zniszczenia tłumaczy.

KÓŁAKOWSKI.

I uczniowi najlepszą nagrodę wyznacz. —
(*Chwila milczenia*).

KS. LWOWICZ.

Bracia, kto wie, ów więzień może jeszcze żyje;
Pan Bóg to sam wie tylko i kiedyś odkryje.
Ja, jak ksiądz, pomodlę się — i wam radę szczerze
Zmówić za męczennika spoczynek pacierze. —
Kto wie, jaka nas wszystkich czeka jutro doła.

ADOLF.

Zmów-że i po Ksawerym pacierz, jeśli wola;
Wiesz, że on, nim go wzięli, w łeb sobie wystrzelił...

FREJEND.

Łebski! — To z nami uczty wesole on dzielił:
Jak przyszło dzielić biedę, on w nogi ze świata.

KS. LWOWICZ.

Nieźle-by i za tego pomodlić się brata...

JANKOWSKI.

Wiesz, księżu, dalibóg-że, drwię ja z twojej wiary:
Cóż stąd, choćym był gorszym, niż Turki, Tatary,
Choćym został złodziejem, szpiegiem, rozbójnikiem,
Austriakiem, Prusakiem, carskim urzędnikiem?
Jeszcze tak prędko Bożej nie lękam się kary:
Wasilewski zabity, my tu — a są cary!

FREJEND.

Toż chciałem mówić; dobrze, żeś ty za mnie zgrzeszył;
Ale pozwól odetchnąć, bom całkiem osłupiał;
Słuchając twych powieści, człek splakał się, zgłupiał.
Ej, Feliksie, żebyś ty nas trochę pocieszył!
Ty, jeśli zechcesz, w piekle djabla byś rozśmieszył.

KILKU WIEŻNIÓW.

Zgoda, zgoda! Feliksie, musisz gadać, śpiewać!
Feliks ma głos! Hej, Frejend, hej, wina nalewać!

ŻEGOTA.

Stójcie na chwilę! Ja też szlachcie sejmikowy!
Choć ostatni przybyłem, nie chcę cicho siedzieć.
Józef nam coś o ziarnkach mówił; na te mowy
Gospodarz winien z miejsca swego odpowiedzieć.
Lubo car wszystkie ziarna naszego ogrodu
Chce zabrać i zakopać w ziemię, w swoim carstwie —
Będzie drożyzna, ale nie bójcie się głodu.
Pan Antoni już pisał o tem gospodarstwie.

JEDEN Z WIEŻNIÓW.

Jaki Antoni?

ŻEGOTA.

Znacie bajkę Goreckiego,
A raczej prawdę?

KILKU.

Jaką? Powiedz nam, kolego!

ŻEGOTA.

„Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,
Nie chciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu,
I rozkazał aniołom zboże przysposobić
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.
Przyszedł Adam, znalazł je, obejrzał z daleka
I odszedł, bo nie wiedział, co ze zbożem robić.
Aż w nocy przyszedł djabeł mądry i tak rzecze:
Nie daremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta —
Musi tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;
Schowajmy je, nim człowiek ich wartość docieczy!
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
Napłwał i ziemią nakrył i przybił kopytem;

Dumny i rad, że Boże zamiary przeniknął,
Całem gardłem rozśmiał się i ryknął i zniknął.
Aż tu wiosną, na wielkie djabła zadziwienie,
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosy i nasienie!...
O wy, co tylko na świat idziecie z północą,
Chydrość rozumem, a złość nazywacie mocą —
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,
Myśli Boga oszukać — oszuka sam siebie.“

JAKÓB.

Brawo, Antoni! Pewnie Warszawę nawiedzi
I za tę bajkę znowu z rok w kozie posiedzi.

FREJEND.

Dobre to — lecz ja znowu do Feliksa wracam.
Wasze bajki — i co mi to za poezye,
Gdzie muszę głowę trudnić, niżli sens namacam?
Nasz Feliks z piosenkami niech żyje i pije!

(Nalewa mu wino).

JANKOWSKI.

A Lwowicz co? — On pacierz po umarłych mówi!
Posłuchajcie! Zaśpiewam piosnkę Lwowiczowi.

(Śpiewa).

Mówcie, jeśli wola czyja,
Jezus Marya!
Nim uwierzę, że nam sprzyja
Jezus Marya!
Niech wprzód łotrów powybijają
Jezus Marya!

Tam car, jak dzika bestyja,
Jezus Marya!
Tu Nowosilcow, jak żmija,
Jezus Marya!
Póki cała carska szyja,
Jezus Marya!
Póki Nowosilcow pija,
Jezus Marya!
Nie uwierzę, że nam sprzyja
Jezus Marya.

KONRAD.

Słuchaj, ty — tych mnie imion przy kielichach wara!
Dawno nie wiem, gdzie moja podziła się wiara,
Nie mieszam się do wszystkich świętych z litanii,
Lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryi.

KAPRAŁ (*podchodząc do Konrada*).

Dobrze, że panu jedno to zostało imię!
Choć szuler zgrany wszystko wyrzuci z kalety —
Nie zgrał się, póki jedną ma sztukę monety;
Znajdzie ją w dzień szczęśliwy: więc z kalety wyjmie,
Więc da w handel na procent — Bóg pobłogosławi,
I większy skarb przed śmiercią, niżli miał, zostawi.
To imię, panie, nie żart! — Więc mnie się zdarzyło
W Hiszpanji, lat temu — o, to dawno było...
Więc byłem w legionach, naprzód pod Dąbrowskim,
A potem wszedłem w sławny pułk Sobolewskiego...

SOBOLEWSKI.

To mój brati!

KAPRAŁ.

O, mój Boże! Pokój duszy jego!
Walny żołnierz... Tak zginął... Od pięciu kul razem!
Nawet podobny panu. — Otóż — więc z rozkazem
Brata pana jechałem w miasteczko Lamego —
Jak dziś pamiętam — więc tam byli Francuziska:
Ten gra w kości, ten w karty, ten dziewczęta ściska —
Nuż becząć; każdy Francuz, jak podpije, beczy;
Jak zaczną tedy śpiewać wszyscy nic do rzeczy,
Siwobrode wasale takie pieśni tłuste —
Aż był wstyd mnie młodemu! — Z rozpusty w rozpustę,
Dalej bredzić na świętych. — Otóż, z większych w większe
Grzechy leżąc, nuż bluźnić na Pannę Najświętszą —
A trzeba wiedzieć, że mam patent sodalisa,
I z powinności bronię Maryi imienia.
Więc ja im persadować: „Stulcie pysk, do bisa!”
Więc umilkli, nie chcąc mieć ze mną do czynienia. —

(*Konrad zamysła się, inni zaczynają rozmowę*).

Ale no pan posłuchaj, co się stąd wyświecił
Po zwadzie poszliśmy spać, wszyscy dobrze cięci —
Aż w nocy trąbią na koń, zaczną obóz trwożyć:
Francuzi nuż do czapek — i nie mogą włożyć,

Bo nie było na co wdziąć, bo każdego główka
Była ślicznie odcięta nożem, jak makówka.
Szelma gospodarz porzwał, jak kury w folwarku.
Patrzę: więc moja głowa została na karku!
W czapce kartka łacińska, pismo, nie wiem, czyje:
„Vivat Polonus, unus defensor Mariae!”
Otóż, widzisz pan, że ja tem imieniem żyję.

JEDEN Z WIEŻNIÓW.

Feliksie, musisz śpiewać! Nalać mu herbaty
Czy wina! —

FELIKS.

Jednogłośnie decydują braty,
Że muszę być wesoly. Chociaż serce pęka,
Feliks będzie wesoly i będzie piosenka.

(Śpiewa).

Nie dbam, jaka spadnie kara:
Mina, Sybir, czy kajdany —
Zawsze ja, wierny poddany,
Pracować będę dla cara.

W minach, kruszec kując młotem,
Pomyślę: „Ta mina szara,
To żelazo — z niego potem
Zrobi ktoś topór na cara”.

Gdy będę na zaludnieniu,
Pojmę córeczkę Tatara:
Może w mojem pokoleniu
Zrodzi się Palen dla cara.

Gdy w koloniach osiedę,
Ogród zorzę, grzędy skopię,
A na nich co rok siać będę
Same lny, same konopie.

Z konopi ktoś zrobi nici —
Srebrem obwita nić szara
Może się kiedyś poszczyci,
Że będzie szarfą dla cara.

CHÓR ŚPIEWA.

Zrodzi się Palen dla cara.
Ra — ra — ra — ra — ra — ra —

SUZIN.

Lecz cóżto Konrad cicho, zasepiony siedzi,
 Jakby obliczał swoje grzechy do spowiedzi?
 Feliksie, on nie słyszał zgola twoich pieni.
 Konradzie! Patrzcie: zbladnął, znowu się czerwieni...
 Czy on słaby?

FELIKS.

Stój cicho! — Zgadłem, że tak będzie.
 O, my znamy Konrada; co to znaczy, wiemy.
 Północ jego godzina. — Teraz Feliks niemy —
 Teraz, bracia, piosenkę lepszą posłyszemy.
 Ale muzyki trzeba! — Ty masz flet, Frejendzie,
 Graj dawną jego nutę! A my cicho stójmy
 I, kiedy trzeba, głosy do chóru nastrójmy.

JÓZEF (*patrzac na Konrada*).

Bracia! Duch jego uszedł i błądzi daleko,
 Jeszcze nie wrócił: może przyszłość w gwiazdach czyta,
 Może się tam z duchami znajomemi wita,
 I one mu powiedzą, czego z gwiazd docieka?
 Jak dziwne oczy! Błyszczą ogień pod powieką,
 A oko nic nie mówi i o nic nie pyta;
 Duszy teraz w nich niema; błyszczą, jak ogniska,
 Zostawione od wojska, które w nocy cieniu
 Na daleką wyprawę ruszyło w milczeniu:
 Nim zgasną, wojsko wróci na swe stanowiska.

(*Frejend próbuje różnych nut*).KONRAD (*śpiewa*).

Pieśń ma była już w grobie, już chłodna —
 Krew poczuła, z pod ziemi wygląda
 I, jak upior, powstaje, krwi głodna,
 I krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda...
 Tak, zemsta, zemsta, zemsta na wroga,
 Z Bogiem — i choćby mimo Boga!

(*Chór powtarza*).

I pieśń mówi: „Ja pójdę wieczorem;
 Naprzód braci rodaków gryźć muszę;
 Komu tylko zapuszczę kły w duszę,
 Ten, jak ja, musi zostać upiorem”.
 Tak, zemsta, zemsta, etc., etc.

„Potem pójdziem, krew wroga wypijem!
Ciało jego rozrąbiem toporem,
Ręce, nogi gwoździami przybijem,
By nie powstał i nie był upiorem.
Tak, zemsta, zemsta, etc., etc.

Z duszą jego do piekła iść musim:
Wszyscy razem na duszy usiedziem,
Póki z niej nieśmiertelność wydusim,
Póki ona czuć będzie — gryźć będziemy!“
Tak, zemsta, zemsta, etc., etc.

KS. LWOWICZ.

Konradzie, stój, dla Boga! To jest pieśń pogańska!

KAPRAŁ.

Jak on okropnie patrzy! To jest pieśń szatańska!

(Przestają śpiewać).

KONRAD (z towarzyszeniem fletu).

Wznoszę się, lecę, tam, na szczyt opoki!

Już nad plemieniem człowieczem,

Miedzy proroki...

Stąd ja przyszłości brudne obłoki

Rozcinam moją żrenicą, jak mieczem —

Rękami, jak wichrami, mgły jej rozdieram.

Już widno — jasno. — Z góry na ludy spozieram:

Tam księga sybilińska przyszłych losów świata,

Tam, na dole!

Patrz, patrz: przyszłe wypadki i następne lata,

Jak drobne ptaki, gdy orła postrzegą,

Mnie, orła na niebie,

Patrz, jak do ziemi przypadają, biega,

Jak się stado w piasek grzebie!

Za niemi, hej, za niemi, oczy me sokole,

Oczy błyskawice!

Za niemi, szpony moje! — Dostrzegę je, schwycę!...

Cóż to? Jaki ptak powstał i roztacza pióra —

Zasłania wszystkich, okiem mię wyzywa?

Skrzydła ma czarne, jak burzliwa chmura,

A szerokie i długie, naksztalt tęczy łuku,

I niebo całe zakrywa...

To kruk olbrzymi! Ktoś ty? — Ktoś ty krukul!
 Ktoś ty? — Jam orzeł! — Patrzy kruk — myśl moją płacze...
 Ktoś ty? — Jam gromowładny! —
 Spojrzał na mnie: w oczy mię, jak dymem, uderzył,
 Myśli moje miesza — płacze...

KILKU WIEŹNIÓW.

Co on mówi? — Co? — Co to? Patrz, patrz, jaki błądy!
(Porywają Konrada).

Uspokój się!...

KONRAD.

Stój! Stójcie! Jam się z krukami zmierzył!...
 Stójcie! Myśli rozplączę —
 Pieśń skończę — skończę...
(Ślania się).

KS. LWOWICZ.

Dosyć tych pieśni!

INNI.

Dosyć!

KAPRAŁ.

Dosyć! Pan Bóg z nami!
 Dzwonek! Słyszycie dzwonek? Runt, runt pod bramami!
 Goście ogień — do siebie

JEDEN Z WIEŹNIÓW *(patrząc w okno).*

Bramę odemknęli...

Konrad osłabił... Zostawcie!... Sam, sam jeden w celu!
(Uciekają wszyscy).

SCENA II.

IMPROWIZACJA.

KONRAD *(po długim milczeniu).*

Samotność! — Cóż po ludziach? Czym śpiewak dla ludzi?
 Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,
 Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?
 Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trzyma!
 Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie;
 Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,

A słowa myśl pochłona — i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad polkniętą, niewidzialną rzeką;
Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieka?
Gdzie pędzi, czy się domyśla?

Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,
Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach:
Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegają w mych pieśniach,

Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata,
I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońcą,
Choć szklane weźmie skrzydła, ciebie nie dołata,
Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy;
Domyśla się, że to słońca,
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.

Wam pieśni, ludzkie oczy, uszy niepotrzebne!
Płynicie w duszy mej wnętrznościach,
Świećcie na jej wysokościach,
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne!

Ty Boże, ty naturo, dajcie posłuchanie!
Godna to was muzyka i godne śpiewanie.
Ja mistrz!

Ja, mistrz, wyciągam dłonie,
Wyciągam aż w niebiosy — i kładę me dłonie
Na gwiazdach, jak na szklanych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem
Kręcę gwiazdy moim duchem;
Milion tonów płynie; w tonów milonie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadza je, dzielę i łączę,
I w tęczę i w akordy i we strofy płacę —
Rozlewam je we dźwiękach i błyskawic wstęgach.

Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata krawędzie,
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie.

Sam śpiewam... słyszę me śpiewy;
Długie, przeciągłe, jak wichru powiewy,
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie —
Jęczą żalem, ryczą burzą,
I wieki im głucho wtórzają,

A każdy dźwięk ten razem gra i płonie.

Mam go w uchu, mam go w oku;
Jak wiatr, gdy fale kołysze —
Po świstach lot jego słyszę,
Widzę go w szacie obłoku.

Boga, natury godne takie pienie!
Pieśń to wielka, pieśń-tworzenie!
Taka pieśń jest siła, dzielność,
Taka pieśń jest nieśmiertelność!

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę,
Cóż Ty większego mogłeś zrobić — Boże?

Patrz, jak te myśli dobywam sam z siebie,

Wcielam w słowa: one lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą;
Już dalekie — czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję.
Kocham was, me dzieci wieszczę,
Myśli moje, gwiazdy moje,
Czucia moje, wichry moje!

W pośrodku was, jak ojciec wśród rodziny stoję —
Wy wszystkie moje!

Depczę was, wszyscy poeci,
Wszyscy mędrcy i proroki,
Których wielbił świat szeroki!

Gdyby chodzili dotąd śród swych dusznych dzieci.

Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski

Słyszeli, czuli i za słuszne znali,

I wszystkie sławy każdodzienniej blaski

Promieniami na wieńcach swoich zapalali —

Z całą pochwałą muzyką i wieńców ozdoba,

Zebraną z wieków tyla i z pokoleń tyla,

Nie czuliby własnego szczęścia, własnej mocy,

Jak ja dziś czuję w tej samotnej nocy,

Kiedy sam śpiewam w sobie,

Śpiewam samemu sobie!

Tak! Czuli jestem, silny jestem i rozumny! —

Nigdy nie czułem, jak w tej chwili:

Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesilił,

Dziś poznam, czym najwyższy, czyli tylko dumny;

Dziś jest chwila przeznaczona,
Dziś najsilniej wyteżę duszy mej ramiona —

To jest chwila Samsona,
Kiedy, więzień i ślepy, dumał u kolumny
Zrzucę ciało i tylko, jak duch, wezmę pióra —
Potrzeba mi lotu!

Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu —
Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórcy

I mam je, mam je, mam tych skrzydeł dwoje!
Wystarczą! Od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość uderzę
I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie

I zajrzę w uczucia Twoje!

O Ty, o którym mówią, że czujesz na niebie!
Jam tu, jam przybył! Widzisz, jaka ma potęga?
Aż tu moje skrzydło sięga!

Lecz jestem człowiek, i tam, na ziemi, me ciało;
Kochałem tam, w ojczyźnie serce me zostało.

Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku;
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu, do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić!

Nie mam sposobu — i tu przyszedłem go dociec.
Przyszedłem, zbrojny całą myśli władzą,
Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,
Śledziła chód Twych planet, głab morza rozwarła!
Mam więcej: tę moc, której ludzie nie nadadzą;
Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa,
Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa.

I mocy tej nie wziąłem z drzewa edeńskiego,
Z owocu wiadomości złego i dobrego,
Nie z ksiąg ani z opowiadań,
Ani z rozwiązywania zadań,
Ani z czarodziejskich badań

Jam się twórcą urodził!
Stamtąd przyszły siły moje,
Skąd do Ciebie przyszły Twoje,
Boś i Ty po nie nie chodził:
Masz, nie boisz się stracić — i ja się nie boję!
Czyś Ty mi dał, czy wzięłem, skąd i Ty masz, oko
Bystre, potężne — w chwilach mej siły, wysoko
Kiedy na chmur spojrzę szlaki
I wędrowne słyszę ptaki,
Zeglujące na ledwie dostrzeżonem skrzydle —
Zechcę, i wnet je okiem zatrzymam, jak w sidle.
Stado pieśń żalosną dzwoni,
Lecz, póki ich nie puszczę, Twój wiatr ich nie zgoni.
Kiedy spojrzę w komętę z całą mocą duszy,
Dopóki na nią patrzę — z miejsca się nie ruszy.
Tylko ludzie skazitelni,
Marni, ale nieśmiertelni,
Nie służą mi, nie znają — nie znają nas obu:
Mnie i Ciebie.
Ja na nich szukam sposobu
Tu, w niebie.
Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,
Chcę wyrzucić na ludzkie dusze:
Jak ptaki i jak gwiazdy rządzą mem skinieniem,
Tak bliźnich rozrządzać muszę!
Nie bronią — broń broń odbije,
Nie pieśniami — długo rosną,
Nie nauką — prędko gnije,
Nie cudami — to zbyt głośno.
Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie,
Rządzić, jak Ty, wszystkimi zawsze i tajemnie:
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tem się uszczęśliwią,
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną!
Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa! —
Mówią, że Ty tak władasz...
Wiesz, że myśli nie popsuł, mowy nie umorzył;
Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył

I większe, niżli Ty, zrobiłbym dziwo:
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!

Daj mi rząd dusz! — Tak gardzę tą martwą budową,
Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,
Żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo
Nie mogłoby jej wnet zwalić;
Lecz czuję w sobie, że, gdybym mą wolę
Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
Możebym sto gwiazd zgasił a drugie sto wzniecił!
Bo jestem nieśmiertelny — i w stworzenia kole
Są inni nieśmiertelni; wyższych nie spotkałem;
Najwyższy na niebiosach! — Ciebie tu szukałem.
Ja, najwyższy z czujących na ziemnym padole!
Nie spotkałem Cię dotąd — żeś Ty jest, zgaduję;
Niech cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję!
Ja chcę władzy! Daj mi ją, lub wskaż do niej drogę!
O prorokach, dusz władcach, że byli, słyszałem
I wierzę; lecz, co oni mogli, to ja mogę —
Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz,
Ja chcę duszami władać, jak Ty niemi władasz!...

(Długie milczenie).

(Z ironją).

Milczysz, milczysz! Wiem teraz, jam Cię teraz zbadał,
Zrozumiałem, coś Ty jest i jakieś Ty władał.

Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością:

Ty jesteś tylko mądrością!

Ludzie myślą, nie sercem, Twych dróg się dowiedzą

Myślą, nie sercem, składy broni Twojej wysłędzą!

Ten tylko, kto się wrył w księgi,

W metal, w liczbę, w trupie ciało,

Temu się tylko udało

Przywłaszczyć część Twojej potęgi:

Znajdzie truciznę, proch, parę,

Znajdzie blaski, dymy, huki,

Znajdzie prawność i złą wiarę

Na mędrki i na nieuki.

Myślom oddałeś świata użycie,

Serca zostawiasz na wiecznej pokucie.

Daleś mnie najkrótsze życie

I najmocniejsze uczucie.

(Milczenie).

Czem jest me czucie?

Ach, iskrą tylko!

Czem jest me życie?

Ach, jedną chwilką!

Lecz te, co jutro rykną, czemu są dzisiaj gromy?

Iskrą tylko.

Czem jest wieków ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?

Jedną chwilką.

Z czego wychodzi cały człowiek, mały światek?

Z iskry tylko.

Czem jest śmierć, co rozprószy myśli mych dostatek?

Jedną chwilką.

Czem był On, póki światy trzymał w swoim łonie?

Iskrą tylko.

Czem będzie wieczność świata, gdy On go pochłonie?

Jedną chwilką.

GŁOS Z LEWEJ STRONY.

Wsiaść muszę

Na duszę,

Jak na koń.

Goń! goń!

W cwał, w cwał!

GŁOS Z PRAWYJ.

Co za szal!

Brońmy go, brońmy!

Skrzydłem osłoniemy

Skroń!

Chwila i iskra, gdy się przedłuża, rozpala,

Stwarza i zwala.

Śmiało, śmiało! Tę chwilę rozdlużmy, rozdalmy!

Śmiało, śmiało! Tę iskrę rozniećmy, rozpalmy! —

Teraz — dobrze — tak. Jeszcze raz Ciebie wyzywam,

Jeszcze po przyjacielsku duszę ci odkrywam.

Milczysz? Wszakżeś z szatanem walczył osobiście?

Wyzywam Cię uroczyście!

Nie gardź mną: ja nie jeden choć sam tu wzniesiony!

Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,

Mam ja za sobą wojska, i mocy, i trony...

Jeśli ja będę bluźnierca,

Ja wydam Tobie krwawszą bitwę, niżli szatan:

On walczył na rozumy — ja wyzwę na serca!

Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem;

Kiedyś mnie wydarł osobiste szczęście,

Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,

Przeciw niebu ich nie wzniosłem!

GŁOS.

Rumaka
Przedzierzgnę w ptaka.
Orlemi pióry
Do góry!
W lot!

GŁOS.

Gwiazda spadająca!
Jaki szal
W otchłań cię strąca!

Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony;

(Ciałem polknąłem jej duszę:

Ja i ojczyzna — to jedno!

Nazywam się „Milion“ — bo za miliony

Kocham i cierpię katusze.

Patrzę na ojczyznę biedną,

Jak syn na ojca, wplecionego w koło —

Czuję całego cierpienia narodu,

Jak matka czuje w łonie bole swego płodu —

Cierpię, szaleję — a Ty mądrze i wesoło

Zawsze rządzisz,

Zawsze sądzisz —

I mówią, że Ty nie błędzisz!

Śluchaj! Jeśli to prawda, com z wiarą synowską
Słyszał, na ten świat przychodząc,
Że Ty kochasz — jeżeliś Ty kochał świat, rodząc,
Jeżeli ku zrodzonemu masz miłość ojcowską —
Jeżeli serce czule było w liczbie zwierząt,
Któręś Ty w arce zamknął i wyrwał z powodzi;
Jeżeli to serce nie jest potwór, co się rodzi
Przypadkiem, ale nigdy lat swych nie dochodzi;
Jeżeli pod rządem Twoim czułość nie jest bezrząd,
Jeżeli w milion ludzi, krzyczących: „Ratunku!“,
Nie patrzysz, jak w zawile zrównanie rachunku —
Jeżeli miłość jest na co w świecie Twym potrzebną
I nie jest tylko Twoją omyłką liczebną...

GŁOS.

Oria w hydrę!
Oczy mu wydrę.
Do szturm, dalej!
Dymi! Pali!
Ryk, grzmot!

GŁOS.

Z jasnego słońca
Kometo błędu!
Gdzie koniec twego pędu?
Bez końca, bez końca!

Milczysz! — Jam ci do głębi serce me otworzył.
 Zaklinam, daj mi władzę! — Jedna część jej licha,
 Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha —
 Z tą jedną cząstką ileż jabym szczęścia stworzył!
 Milczysz! — Nie dasz dla serca, dajże dla rozumu!
 Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumy,
 Ze Cię znam lepiej, niżli Twoje archanioly,
 Wart, żebyś ze mną władzą dzielił się na poly...
 Jeślim nie zgadł, odpowiedz! — Milczysz! — Ja nie kłamię.
 Milczysz i ufasz, że masz silne ramię...
 Wiedz, że uczucie spali, czego myśl nie złamie!
 Widzisz to moje ognisko: uczucie?
 Zbieram je, ściskam, by mocniej pałało,
 Wbijam w żelazne woli mej okucie,
 Jak nabój w burzące działo...

GŁOS.

Ognia! Pall

GŁOS.

Litość! Żal!

Odezwił się, bo strzelę przeciw Twej naturze!
 Jeśli jej w gruzy nie zburzę,
 To wstrząsnę całym państwem Twoich obszarem,
 Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia,
 Ten głos, który z pokoleń pójdzie w pokolenia:
 Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale...

GŁOS DJABŁA.

Carem!

(Konrad staje chwilę, slania się i pada).

DUCHY Z LEWEJ STRONY.

PIERWSZY.

Depe, chwyćtaj!

DRUGI.

Jeszcze dysze.

PIERWSZY.

Omdlał, omdlał, a nim

Przebudzi się, dodusim.

DUCH Z PRAWEJ STRONY.

Precz! — Modlą się za nim.

DUCH Z LEWEJ.

Widzisz, odpędzają nas.

PIERWSZY Z LEWEJ.

Ty, bestjo głupia!

Nie pomogłeś mu słowo ostatnie wyrzynać!

Chwila dumy — ta czaszka już byłaby trupia.

Być tak blisko tej czaszki — i nie można deptać!

Widzieć krew w jego ustach — i nie można chleptać!

Najgłupszy z djabłów, tyś go wypuścił w pół drogi!

DRUGI.

Wróci się, wróci...

PIERWSZY.

Precz stąd, bo wezmę na rogi,

I będę cię lat tysiąc niósł, i w paszczę samą

Szatana wbiję!

DRUGI.

Cha! Cha! Straszysz! Ciociu! Mamol

Jak dziecko będę płakać... (*Płacze*). Masz! —(*Uderza rogiem*).

A co! Nie chybił?

Leć i nie wylazł z piekła! — Aha, do dna przybił!

Rogi me, brawo, rogi!

PIERWSZY.

Sacrédieu!

DRUGI (*uderza*).

Masz.

PIERWSZY.

W nogi.

(*Słychać stukanie i klucz w drzwiach*).

DRUGI DUCH.

Pop, klecha! Przyczajmy się i schowajmy rogi!

SCENA III.

Wchodzi: KAPRAŁ, BRACISZEK BERNARDYN PIOTR,
JEDEN WIEZIEN.

KS. PIOTR.

W imię Ojca i Syna i świętego Ducha...

WIEZIEN.

On zapewne osłabiał... Konradzie! — Nie słucha.

KS. PIOTR.

Pokój temu domowi, pokój grzesznikowi!

WIEZIEN.

Dla Boga, on osłabiał! Patrz, miota się, dąsa!
To jest wielka choroba! Patrz, on usta kąsa!

*(Ks. Piotr modli się).*KAPRAŁ *(do więźnia).*

Mój panie, idźcie sobie, a nas tu zostawcie!

WIEZIEN.

Ale, dla Boga, próżnych modlitew nie prawcie!
Podejmijcie go z ziemi, połóżmy do łóżka!
Księżę Pietrze!

KS. PIOTR.

Tu zostaw!

WIEZIEN.

Oto jest poduszka.

(Kładzie Konrada).

E, ja wiem, co to znaczy. — Czasem nań napada
Takie szaleństwo: długo śpiewa, potem gada,
A jutro zdrów, jak ryba. Lecz kto wam powiedział,
Że on osłabiał?

KAPRAŁ.

Panie, ot-byś cicho siedział...

Niech brat Piotr pomodli się nad waszym kolegą.
Bo ja wiem, że tu było — coś tu niedobrego...
Gdy runt odszedł, w tej celi hałas posłyszałem.
Spojrzę dziurką od klucza — a co tu widziałem,
To mnie wiedzieć... Pobiegłem do mojego kmotra,
Bo on człowiek pobożny, do braciszka Piotra...
Patrz na tego chorego: niedobrze się dzieje!

WIEZIEN.

Dalibóg, nie pojmuję nic i oszaleję...

KAPRAŁ.

Oszaleć? — Ej, panowie, strzeżcie się, panowie!
U was usta wymowne, wiele nauk w głowie,

A, patrzcie, głowa mądra w prochu się tacała,
I z tych ust, tak wymownych, patrzaj — piana biała!
Słyszałem, co on śpiewał; ja słów nie pojąłem,
Lecz było coś u niego w oczach i nad czołem...
Wierz mi, że z tym człowiekiem niedobrze się dzieje!
Byłem ja w legjonach, nim wzięto w rekruty;
Brałem szturmem fortece, klasztory, reduty —
Wiecej dusz wychodzących z ciała ja widziałem,
Niżli waćpan przeczytał ksiązek w życiu całem —
A to jest rzecz niemąla widzieć, jak człek kona.
Widziałem ja na Pradze księży zarzynanych —
I w Hiszpanji żywcem z wieży wyrzucanych —
Widziałem matek szablą rozrywane łona,
I dzieci, konające na kozackich pikach,
I Francuzów na śniegu, i Turków na palu,
I wiem, co w konających widać męczennikach,
A co w złodzieju, zbójcy, Turku lub Moskału.
Widziałem rozstrzelanych, co patrzyli śmieje
W rurę broni, nie chcieli na oczy zasłony —
A jak padli na ziemię, widziałem w ich ciele
Strach, co, za życia wstydem i pychą więziony,
Wyszedł z trupa, jak owad, i pełzał wokoło —
Gorszy strach, niż ten, który tchórza w bitwie nęka,
Taki strach, że, dość spojrzeć na zamarłe czoło,
Aby widzieć, że dusza dąsa się i lęka,
Gardzi bolem i cierpi, i wieczna jej męka.
A więc, mój panie, myślę, że twarz umarłego
Jest, jak patent wojskowy do świata przyszłego,
I poznasz zaraz, jak on tam będzie przyjęty,
W jakiej randze i stopniu, święty czy przeklęty.
A więc tego człowieka i pieśń i choroba
I czoło i wzrok wcale mi się nie podoba.
Otóż waćpan spokojnie idź do swojej celi!
My z bratem Piotrem będziemy przy chorym siedzieli.

(*Więzień odchodzi*).

KONRAD.

Przepaść — tysiąc lat... Pusto... Dobrze... Jeszcze więcej!
Ja wytrzymam i dziesięć tysięcy tysięcy...
Modlić się? — Tu modlitwa nie przyda się na nic —
I byłaż taka przepaść bez dna i bez granic? —
Nie wiedziałem — a była.

KAPRAŁ.

Słyszysz, jak on szlocha?

KS. PIOTR.

Synu mój, tyś na sercu, które ciebie kocha.

*(Do kaprała).*Wyjdź stąd i patrz, ażeby nikt tędy nie chodził
I, póki stąd nie wyjdę, nikt mi nie przeszkodzi!*(Kaprał odchodzi).*KONRAD *(zrywa się)*.

Nie — oka mi nie wydarł! Mam to silne oko;
Widzę stąd i stąd nawet, choć ciemno, głęboko,
Widzę ciebie, Rollison! Bracie, cóż to znaczy?
I tyś w więzieniu, zbity, krwią cały obryzany?
I ciebie Bóg nie słuchał? I tyś już w rozpacz?
Szukasz noża, próbujesz głowę tłuc o ściany:
„Ratunku!” — Bóg nie daje — ja ci dać nie mogę!
Oko mam silne: spojrzę, może cię zabiję...
Nie — ale ci pokażę okiem — śmierci drogę.
Patrz, tam masz okno: wybij, skocz, zleć i złam szyję!
I ze mną tu leć w głębie, w ciemność — lećmy na dół!
Otcłoń — otcłoń ta lepsza, niżli ziemi padół:
Tu niema braci, matek, narodów, tyranów —
Pójdź tu!

KS. PIOTR.

Duchu nieczysty, znam cię po twym jądzie!
Znowuś tu, najchytrzejszy ze wszystkich szatanów,
Znowu w dom opuszczony leziesz, brzydki gadzie!
Tyś wpelznął w jego usta, na zgubęś tu wpelznął!
W imię Pańskie jam ciebie pojmał i okelznał.
Exorciso...

DUCH.

Stój, nie kluj — stój, odstaw od progu!

Wyjdę!

KS. PIOTR.

Nie wyjdiesz, aż się upodoba Bogu.
Lew z pokolenia Judy tu pan: on zwycięża.
Sieć na lwa zastawiłeś — i w twym własnym wnuku
Złowiłeś się — Bóg ciebie złowił w tym grzeszniku.
W jego ustach chcę tobie najsroższy cios zadać:
Kłamco, ja tobie każę, musisz prawdę gadać!

DUCH.

Parle-moi donc français, mon pauvre capucin!
J'ai pu dans le grand monde oublier mon latin;
Mais étant saint, tu dois avoir le don des langues —
Vielleicht sprechen Sie deutsch? Was murmeln Sie so bang?
What is it? — Cavalleros, rispondero Io...

KS. PIOTR.

Ty to z ust jego wrzeszczysz, stujężyczna żmijol!

DUCH.

C'est juste. Dans ce jeu, nous sommes de moitié;
Il est savant, et moi, diable de mon métier.
J'étais son précepteur et je m'en glorifie;
En sais-tu plus que nous, parle, je te défie.

KS. PIOTR.

W imię Ojca i Syna i Ducha świętego...

DUCH.

Ale stój, stój, mój księże, stój, już dosyć tego!
Tylko, księżuniu, nie męcz na próżno! — Czyś szatan,
Żeby tak męczyć?

KS. PIOTR.

Ktoś ty?

DUCH.

Lukrecy, Lewjatan,
Voltaire, alter Fritz, Legio sum.

KS. PIOTR.

Coś widział?

DUCH.

Zwierza.

KS. PIOTR.

Gdzie?

DUCH.

W Rzymie.

KS. PIOTR.

Nie słucha mię. — Wróćmy do pacierza!
(*Modli się*).

DUCH.

Ale słucham!

KS. PIOTR.

Gdzieś widział więźnia?

DUCH.

Mówię: w Rzymie.

KS. PIOTR.

Klamiesz.

DUCH.

Księżu, na honor, na kochanki imię,
Mej kochanki czarniutkiej, co tak do mnie wzdycha!
A wiesz ty, jak się zowie moja luba? — Pycha
Jakiś ty nieciekawym!

KS. PIOTR (*do siebie*).

Przeciwią się duchy:

Upokórzmy się Panu i zróbmy akt skruchy.

(*Modli się*).

DUCH.

Ale co tam masz robić! Ja sam stąd wyruszę
Przyznaję się, że wlałem niezgrabnie w tę duszę
Tu mnie kole — ta dusza jest, jak skóra jeża —
Włożyłem ją na wywrot, kołcami do kieszek.

(*Ksiądz modli się*).

Aleś bo i ty majster, choć prosty braciszek!
Osty, powinni ciebie obrać za papieża.
Głupstwo stawia w Kościele naprzód, jak kolumny,
A ciebie kryją w kątku, świecznik, gwiazd blasku!

KS. PIOTR.

Tyranie i pochlebco, i podły i dumny,
Żebyś pierś ugryzł, u nóg wlecześ się po piasku

DUCH (*śmiejąc się*).

A-ha, gniewasz się, pacierz przerwałeś — da capo —
Żebyś sam widział, jak ty śmiesznie kręcisz łapą:
Istny niedźwiadek, gdy się broni od komarów.
On trzepie swoje. — No — więc dosyć już tych swarów!
Znam twoją moc i chcę się tobie wypowiedać,
Będę ci o przeszłości i przyszłości gadać.
A wiesz ty, co o tobie mówią w całym mieście?

(*Ksiądz modli się*).

A wiesz ty, co to będzie z Polską za lat dwieście?
A wiesz, dlaczego tobie przeor tak nie sprzyja?
A wiesz, w Apokalipsie co znaczy bestya?

Milczy i trzępie; oczy, aż strach, we mnie wlepił.
Powiedz, księżuniu, czegoś do mnie się uczeplił?
Co ja winien, że takie mam odbierać chłosty?
Czyż ja jestem król djabłów? Wszak ja djabeł prosty!
Zważ, czy to prawnie, sługę ukarać za pana?
Wszakże ja tu przyszedłem z rozkazu szatana:
Trudno mu się tłumaczyć, bo z nim nie brat za brat...
Jestem, jako kreishauptman, gubernator, landrat —
Każą duszę brać w areszt — biore, sadzę w ciemność;
Zdarza się przytem duszy jaka nieprzyjemność,
Ale czyż z mojej winy? — Jam ślepe narzędzie:
Tyran, szelma, da ukaz, pisze: „Niech tak będzie!“
Czyż to mnie miło męczyć? Mnie samemu męka.
Ach, *(wzdycha)* jak to źle być czułym! Ach, serce mi pęka!
Wierz mi, gdy pazurami grzesznika odzieram,
Nieraz ogonem — ah! ah! — łyż sobie ocieram.
(Ksiądz modli się).

A wiesz, że jutro będziesz bity, jako Haman?

KS. PIOTR.

In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti, Amen.
Ego, te exorciso, spiritus immunde —

DUCH.

Księżę, stój! Słucham, gadam... Stój jedną sekundę!

KS. PIOTR.

Gdzie jest nieszczęsny więzień, co chce zgubić duszę?
Milczysz? Exorciso te...

DUCH.

Gadam, gadam — muszę.

KS. PIOTR.

Kogo widziałeś?

DUCH.

Więźnia.

KS. PIOTR.

Jakiego?

DUCH.

Grzesznika.

KS. PIOTR.

Gdzie?...

DUCH.

Tam, w drugim klasztorze.

KS. PIOTR.

W jakim?

DUCH.

Dominika

Ten grzesznik już przeklęty, prawem mnie należy.

KS. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

On już umarły.

KS. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

Chory leży.

KS. PIOTR.

Exorciso te...

DUCH.

Gadam, gadam, skacze, śpiewam —
Tylko nie klinij! Jak gadać? Dusisz, ledwie ziewam.

KS. PIOTR.

Mów prawdę!

DUCH.

Grzesznik chory, lata bez pamięci
I jutro rano szyję niezawodnie skreśli.

KS. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

Poświadczy godny świadek, kmotr Belzebub:
Pytaj go, męcz — niewinnej duszy mojej nie gubi!

KS. PIOTR.

Jak ratować grzesznika?

DUCH.

Bodajżeś zdechł, klecho!

Nie powiem!

KS. PIOTR.

Exorciso...

DUCH.

Ratować pociechę.

KS. PIOTR.

Dobrze. Gadaj wyraźnie: czego mu potrzeba?

DUCH.

Mam chrypkę — nie wymówię.

KS. PIOTR.

Mów!

DUCH.

Mój panie! Królu!

Daj odpocząć!...

KS. PIOTR.

Mów, czego potrzeba!

DUCH.

Księżulu,

Ja tego nie wymówię!

KS. PIOTR.

Mów!

DUCH.

He — wina — chleba...

KS. PIOTR.

Rozumiem: chleba Twego i krwi Twojej, Panie!

Pójdę, i daj mi spełnić Twoje rozkazanie.

(Do ducha).

A teraz zabierz z sobą twe złości i błędy,

Skąd wszedłeś i jak wszedłeś, idź tam i tamtędy!

(Duch uchodzi).

KONRAD.

Dźwigasz mię! Ktoś ty? Strzeż się, sam spadniesz w te doły!

Podaje rękę... Lećmy! — W górę, jak ptak, lecę —

Mile oddycham wonią — promieniami świecę...

Któż mi dał rękę? Dobrzy ludzie i anioły!

Skądże litość wam do mnie schodzić do tych dołów?

Ludzie? — Ludźmi gardziłem, nie znałem aniołów!

KS. PIOTR.

Módl się, bo strasznie Pańska dotknęła cię ręka.
 Usta, któremiś wieczny majestat obraził,
 Te usta zły duch słowy szkaradnemi skaził;
 Słowa głupstwa — najsroższa dla mądrych ust męka —
 Oby ci policzone były za pokutę,
 Obyś o nich zapomniał!

KONRAD.

Już są tam — wykute.

KS. PIOTR.

Obyś, grzeszniku, nigdy sam ich nie wyczytał,
 Oby cię o znaczenie ich Bóg nie zapytał!
 Módl się! Myśl twoja, w brudne obleczone słowa,
 Jak grzeszna, z tronu swego strącona królowa,
 Gdy w żebraczej odzieży, okryta popiołem,
 Odstoi czas pokuty swojej przed kościołem,
 Znowu na tron powróci, strój królewski wdzieje
 I większym, niżli pierwej, blaskiem zajaśnieje.
 Usnął... (*Kłątka*). — Twe miłosierdzie, Panie, jest bez granic!

(*Padła krzyżem*).

Panie, otom ja, sługa dawny, grzesznik stary,
 Sługa już spracowany i niegodny na nic:
 Ten młody — zrób go za mnie sługą Twojej wiary,
 A ja za jego winy przyjmę wszystkie kary!
 On poprawi się jeszcze, on wsławi Twe Imię...
 Módlmy się! Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie!

(*Modli się*).

(*W bliskim kościele, za ścianą, zaczynają śpiewać pieśń Bożego
 Narodzenia. Nad księdzem Piotrem chór aniołów na nutę:
 „Anioł pasterzom mówił“*).

CHÓR ANIOŁÓW (*głosy dzieciinne*).

Pokój temu domowi,
 Spoczynek grzesznikowi!
 Sługo, sługo pokorny, cichy,
 Wniosłeś pokój w dom pychy!
 Pokój temu domowi!

ARCHANIÓŁ PIERWSZY

(*na nutę „Bóg nasz ucieczką“*).

Panie, on zgrzeszył, przeciwko Tobie zgrzeszył on bardzo.

ARCHANIÓŁ DRUGI.

Lecz płaczą nad nim, modlą się za nim Twoi anieli!

ARCHANIÓŁ PIERWSZY.

Tych zdepc, o Panie, tych złam, o Panie, którzy Twe święte
[sady pogardzą!

ARCHANIÓŁ DRUGI.

Ale tym daruj, co świętych sądów Twych nie pojęli!

ANIOŁ.

Kiedym z gwiazdą nadziei
Leciał, świecąc Judei,
Hymn Narodzenia śpiewali anieli:
Mędrcy nas nie widzieli,
Królowie nie słyszeli —
Pastuszkowie postrzęgli
I do Betlejem biegli:
Pierwsi wieczną mądrość witali,
Wieczną władzę uznali,
Biedni, prości i mali.

ARCHANIÓŁ PIERWSZY.

Pan, gdy ciekawość, dumę i chytrość w sercu aniołów, sług
[swych, obaczył,
Duchom wieczystym, aniołom czystym, Pan nie przebaczył:
Runęły z niebios, jak deszcz gwiazdzisty, aniołów tłumy,
I deszczem lecą za nimi codzień mędrców rozumy.

CHÓR ANIOŁÓW.

Pan maluczkim objawia,
Czego wielkim odmawia.
Litość, litość nad synem ziemi!
On był między wielkimi:
Litość nad synem ziemi!

ARCHANIÓŁ DRUGI.

On sądów Twoich nie chodził badać, jako ciekawy,
Nie dla mądrości ludzkiej on badał ani dla sławy,

ARCHANIÓŁ PIERWSZY.

On Cię nie poznał, on cię nie uczył, Panie nasz wielki!
On Cię nie kochał, on cię nie wezwał, nasz Zbawicielu!

ARCHANIOL DRUGI.

Lecz on szanował imię Najświętszej Twej Rodzicielki!
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu!

ANIOL.

Krzyż, w złoto oprawiony,
Zdobí królów korony,
Na piersi mędrców błyszczy, jak zorze. —
A w duszę wnijść nie może.
Oświeć, oświeć ich, Boże!

CHÓR ANIOŁÓW.

My tak ludzi kochamy,
Tak z nimi być żądamy!
Wyniani od mędrków i króli —
Prostaczek nas przytuli:
Nad nim dzień, noc, śpiewamy.

CHÓR ARCHANIÓŁÓW.

Podnieś tę głowę, a wstanie z prochu, niebios dosięże
I dobrowolnie padnie i uczi krzyża podnoże!
Wedle niej cały świat u stóp krzyża niechaj położy
I niech Cię wsławi, żeś sprawiedliwy i litościwy Pan nasz,
[o Boże!

OBADWA CHÓRY.

Pokój, pokój prostocie,
Pokornej, cichej cnocie!
Sługo, sługo pokorny, cichy,
Wzniosłeś pokój w dom pychy!
Pokój grzesznemu sierocie!

SCENA IV.

Dom wiejski pod Lucowem.

(Pokój sypialny. — EWA, młoda panienka, wbiega, poprawia kwiaty przed obrazem Najśw. Panny, klęka i modli się. — Wchodzi MARCELINA).

MARCELINA.

Modlisz się jeszcze dotąd! — Czas spać, północ biła.

EWA.

Jużem się za ojczyznę moją pomodliła,
Jak nauczono, i za ojca i za mamę —
Zmówmy jeszcze i za nich pacierze też same!

Choć oni tak daleko, ale to są dziatki
Jednej ojczyzny naszej, Polski, jednej matki.
Litwin, co dziś tu przybył uciekł od Moskali;
Strach słyszeć, co tam oni z nimi wyrabiali.
Zły car kazał ich wszystkich do ciemnicy wsadzić
I, jak Herod, chce całe pokolenie zgładzić.
Litwin ten bardzo ojca naszego zasmucił;
Poszedł w pole i dotąd z przechadzki nie wrócił.
Mama na msze posłała i obchód żałobny,
Bo wielu z nich umarło. — Ja pacierz osobny
Zmówię za tego, co te piosenki ogłosił;

(Pokazując książkę).

I on także w więzieniu, jak nam gość donosił,
Te piosenki czytałam: niektóre są piękne...
Jeszcze pójdę, przed Matką Najświętszą uklęknę,
Pomodłę się za niego; kto wie, czy w tej chwili
Ma rodziców, żeby się za nim pomodlili.

(Marcelina odchodzi).

(Ewa modli się i usypia).

ANIOŁ.

Lekko i cicho, jak lekkie sny, zlećmy!

CHÓR ANIOŁÓW.

Braciszka miłego sen rozweselmy,
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Oczami, gwiazdami, twarz mu oświećmy,
Śpiewając i grając, latajmy wiankiem
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem!
Rączęta liljowe za liście splećmy,
Za róże kwitnące czoła rozniećmy,
Z pod wstążek gwiazdzistych włos nasz rozwiążmy,
Rozpuśćmy w promienie, rozlejmy w wonie!
Kwitnącym, pachnącym, żyjącym wiankiem
Kochanka naszego piersi okrażmy,
Kochanka naszego otulmy skronie!
Śpiewając i grając, latajmy wiankiem
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem!

EWA, *(widzenie).*

Deszczyk tak świeży, miły, cichy, jak rosa...
I skąd ten deszczyk? Tak czyste niebiosa,
Jasne niebiosa!

Krople zielone, krasne: trawki, równianki,

Róże, lilje, wianki

Obwijają mię wkoło. — Ach, jaki sen wonny,

Sen lekki, słodki!... Oby był dozgonny!

Różo błyszcząca, słoneczna,

Liljo przezzysta, mleczna!

Ty nie z ziemi! Tam roślaś, nad białym obłokiem!

Narcyzie, jakim śnieżnem patrzysz na mnie okiem!

A te błękitne kwiaty pamiętek,

Jak żrenice niewiniątek,

Poznałam: kwiatki moje; sama polewalam,

W moim ogródku wczora nazbierałam

I uwieńczyłam Matki Boskiej skronie

Tam, nad łóżkiem, na obrazku...

Widzę — to Matka Boska! — Cudowny blasku!

Pogląda na mnie, bierze wianek w dłonie,

Podaje Jezusowi, a Jezus-dziecię

Z uśmiechem rzuca na mnie kwiecie!

Jak wypiękniały kwiatki — jak ich wiele — krocie —

A wszystkie w przelocie

Szukają na powietrzu siebie.

Moje kochanki!

I same plotą się w wianki!

Jak tu mnie miło, jak w niebie!

Jak tu mnie dobrze! Mój Boże!

Niech mię na zawsze ten wianek otoczy,

Niech zasną, umrę, patrząc w te róże,

W te białe narcyzu oczy!

Róża... ta róża żyje!

Wstąpiła w nią dusza:

Główną lekko rusza —

Jaki ogień z niej bije!

To rumieniec żyjący, jak zorzy wnijscie!

Śmieje się — jak na uśmiech, rozwija liście,

Roztula między liściem dwoje ust z koralu,

Mówi, coś mówi — jak cicho, jak skromnie!...

Co ty, różo, szepcesz do mnie?

Zbyt cicho, smutnie... Czy to głos żalu?

Skarżysz się, żeś wyjęta z rodzinnej trawki?

Nie wzięłam ciebie dla mojej zabawki:

Jam tobą poświęciłam Matki Najświętszej wieniecyla,

Jam po spowiedzi wczora łzami cię poila!...

A z twoich ust koralu
Wylatuje promieniem
Iskierka po iskierce...
Czy taka światłość jest twojem pieniem?
Czego chcesz, różo miła?

RÓŻA.

Weź mnie na serce!

ANIOŁOWIE.

Rozwiążmy, rozplećmy anielski wianek!

RÓŻA.

Odwijam me skrzydła, wyplatam czoło.

ANIOŁOWIE.

My w niebo, do domu lećmy wesoło!

RÓŻA.

Ja będę ją bawił, nim błyśnie ranek:
Na sennem jej sercu złożę me skronie —
Jak święty apostoł, Pański kochanek,
Na Boskiem Chrystusa spoczywał łonie.

SCENA V.

Cela księdza Piotra.

KS. PIOTR.

(Modli się, leżąc krzyżem).

Panie, czemuż ja jestem przed Twojem obliczem?

Prochem i niczem!

Ale, gdym Tobie moją nicość wypowiedział,

Ja, proch, będę z Panem gadał.

WIDZENIE.

Tyran wstał — Herod! — Panie, cała Polska młoda

Wydana w ręce Heroda!

Co widzę? — Długie, białe dróg krzyżowych biegi —

Drogi długie — nie dojrzeć — przez puszcze, przez śniegi,

Wszystkie na północ!... Tam, tam, w kraj daleki

Płyną jak rzeki...

Płyną... Ta droga prosto do żelaznej bramy,

Tamta, jak strumień, wpadła pod skałę, w te jamy.

A tamtej ujście w morzu... Patrz! Po drogach leci
Tłum wozów — jako chmury, wiatrami pędzone,

Wszystkie tam, w jedną stronę...

Ach, Panie, to nasze dzieci!

Tam, na północ — Panie, Panie!

Takiż to los ich — wygnanie!?

I dasz ich wszystkich wygubić za młodu,

I pokolenie nasze zatracisz do końca? —

Patrz! — Ha! — To dziecię uszło — rośnie — to obrońca!

Wskresziciel narodu! —

Z matki obcej; krew jego: dawne bohaterzy,

A imię jego będzie: czterdzieści i cztery.

Panie! Czy przyjscia jego nie raczysz przyspieszyć?

Lud mój pocieszyć?

Nie: lud wycierpi. — Widzę ten motłoch: tyrany,

Zbójce — biegą — porwali — mój naród związany

Cała Europa wlecze, nad nim się uraga!...

„Na trybunał!” — Tam zgraja niewinnego wciaga.

Na trybunałę gęby bez serc, bez rąk: sędzie —

To jego sędzie!

Krzyczą: „Gal, Gal sądzić będzie!”

Gal w nim winy nie znalazł i — umywa ręce,

A króle krzyczą: „Potęp i wydaj go męce!

Krew jego spadnie na nas i na syny nasze.

Krzyżuj syna Maryi, wypuść Barabasze!

Ukrzyżuj! On cesarza koronę znieważa!

Ukrzyżuj, bo powiemy, żeś ty wróg cesarza!”

Gal wydał. — Już porwali — już niewinne skronie

Zakrwawione, w szyderskiej, cierniowej koronie

Podnieśli przed świat cały — i ludy się zbiegły...

Gal krzyczy: „Oto naród wolny, niepodległy!”

Ach, Panie, już widzę krzyż... Ach, jak długo, długo

Musi go nosić!... Panie, zlituj się nad sługą!

Daj mu siły, bo w drodze upadnie i skona!

Krzyż ma długie na całą Europę ramiona,

Z trzech wyschłych ludów, jak z trzech twardych drzew, ukuty.

Już wleka — już mój Naród na tronie pokuty...

Rzekł: „Pragne” — Rakus octem, Borus żółcią poi,

A matka Wolność u nóg zapłakana stoi.

Patrz — oto żołdak Moskal z kopją przyskoczył

I krew niewinną mego narodu wytoczył.

Cóżeś zrobił, najgłupszy, najśroźszy z siepaczy?
On jeden poprawi się, i Bóg mu przebaczy!
Mój kochanek już głowę konającą spuścił,
Wołając: „Panie, Panie, zaco-ś mię opuścił!”
On skonał!...

*(Słychać chóry aniołów, daleki śpiew wielkanocnej pieśni,
na koniec słychać „Alleluja, alleluja!”)*

I od stóp jego wionęła
Biała, jak śnieg, szata —
Spadła — szeroko — cały świat się w nią obwinał...
Mój kochanek na niebie z przed oczu nie zginął:
Jako trzy słońca, błyszczą jego trzy żrenice,
I ludom pokazuje przebitą prawicę.
Któż ten mąż? — To namiestnik na ziemskim padole.
Znałem go — był dzieckiem — znałem...
Jak urosł duszą i ciałem!
On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę.

Mąż straszny — ma trzy oblicza,
On ma trzy czoła.
Jak baldakim, rozpięta księga tajemnicza
Nad jego głową — osłania lice;
Podnóżem jego są trzy stolice —
Trzy końce świata drżą, gdy on woła.
I słyszę z nieba głosy, jak gromy:
„To namiestnik wolności na ziemi widomy!”
On-to na sławie zbuduje ogromy

Swego kościoła!”
Nad ludy i nad króle podniesiony,
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony;
A życie jego — trud trudów,
A tytuł jego — lud ludów;
Z matki obcej; krew jego: dawne bohaterzy,
A imię jego: czterdzieści i cztery.
Sława! Sława! Sława!

(Zasyppia).

ANIOŁOWIE *(schodzą widomie)*

Usnął. — Wyjmijmy z ciała duszę, jak dziecinę
Senną z kolebki złotej, i zmysłów sukienkę
Lekko zwleczmy; ubierzmy w światło, jak jutrzeńkę,
I lećmy! Jasną duszę nieśmy w niebo trzecie
Ojcu naszemu złożyć na kolanach dziecię!

Niech uświęci sennego ojcowską pieśczętą!
A przed ranną modlitwą duszę wrócim życiu,
I znowu w czystych zmysłów otulim powiciu,
I znowu złożym w ciało, jak w kolebkę złotą.

SCENA VI.

*Pokój sypialny wspaniały. — SENATOR obraca się na łożu
i wzdycha. — DWÓCH DJABLÓW nad głową.*

DJABEL I.

Spłł się, a nie chce spać;
Muszę tak długo stać...
Łajdaku, cicho leż!
Czy go tam kole jeź?

DJABEL II.

Syp mu na oczy mak!

DJABEL I.

Zasnął — wpadnę jak zwierz.

DJABEL II.

Jako na wróbla ptak.

OBADWAJ.

Duszę do piekła wlec,
Wężami smagać, piec!

BELZEBUB.

Wara!

DWAJ DJABŁY.

Coś ty za kmostr?

BELZEBUB.

Belzebub.

DWAJ DJABŁY.

No, i cóż?

BELZEBUB.

Zwierzyny mi nie plosz!

DJABEL I.

Ale, gdy zaśnie lotr,
Do mnie należy sen!

BELZEBUB.

Jak ujrzy noc i żar,
Srogość i mnogość kar,
Złęknie się naszych scen;
Przypomni jutro sen,
Może poprawić się:
Jeszcze daleko zgon.

DJABEŁ II, *(wyciągając szpony)*.

Pozwól zabawić się!
Czy ty o niego drżysz?
Gdy poprawi się on
Ja każę święcić się
I wezmę w ręce krzyż.

BELZEBUB.

Jak zbyt nastraszysz raz,
Gotów przypomnieć sen,
Gotów oszukać nas;
Wypuścisz ptaka z rąk.

DJABEŁ I, *(pokazując sennego)*.

Ależ braciszek ten,
Ten mój najmilszy syn,
Będzie on spał bez mąk?
Nie chcesz? — Ja męcę sam.

BELZEBUB.

Łotrze, a znasz mój czyn?
Od cara zwierzchność mam!

DJABEŁ I.

Pardon! — Cóż każesz waść?

BELZEBUB.

Możesz na duszę wpaść,
Możesz ją w pychę wzdać,
A potem w hańbę pchnąć,
Możesz w pogardzie wlec
I szyderstwami siec —
Ale o piekle cyt!
My lećmy! — Fit, fit, fit!
(Odlatuje).

DJABEL I.

Więc ja za duszę cap!
Aha, łajdaku, drżysz!

DJABEL II.

Tylko ja bierz do łap
Lekko, jak kotek mysz!

WIDZENIE SENATORA.

SENATOR (*przez sen*).

Pismo! — To do mnie — reskrypt Jego Carskiej Mości!
Własnoręczny... Ha, ha, ha! — Rubli sto tysięcy!
Order! — Gdzie lokaj? Przypnij tu! Tytuł książęcy!
A — a! — Wielki marszałku! A... pękna z zazdrości!

(*Przewraca się*).

Do cesarza! — Przedpokój: oni wszyscy stoją;
Nienawidzą mnie wszyscy, kłaniają się, boją.
Marszałek-grand-controlleur — ledwie poznasz, w masce.

Ach, jakie lube szemrania —

Dokoła lube szemrania:

„Senátor w łasce, w łasce, w łasce!...”

Ach, niech umrę, niech umrę wśród tego szemrania,
Jak wśród nalożnic moich laskotania!

Każdy się kłania,

Jestem duszą zebrania.

Patrz na mnie, zazdroszczą — nos w górę zadzieram...
O rozkoszy! Umieram, z rozkoszy umieram!

(*Przewraca się*).

Cesarz! Jego imperatorska mość! — A! Cesarz wchodzi...

A! — Co? Nie patrzy! Zmarszczył brwi — spojrzał ukosem?

Ach, najjaśniejszy panie! Ach! — Nie mogę głosem —

Głos mi zamarł... — Ach, dreszcz, pot — ach, dreszcz ziębi,
[chłodzi...

Ach, marszałek... Co? Do mnie odwraca się tytem!

Tytem! A! Senatory, dworskie urzędniki!...

Ach, umieram, umarłem — pochowany, zgnilem,

I toczą mię robaki, szyderstwa, żarciki...

Uciekają ode mnie!... Ha! Jak pusto, głucho...

Szambelan szelma, szelma — patrz, wyszczerza zęby...

Dbrum! Ten uśmiech, jak pajak, wleciał mi do gęby.

(*Splunęła*).

Jaki dźwięk! — To kalambur. — O brzydka mucho!

(Opędza koło nosa).

Lata mi koło nosa,

Jak osa.

I epigramy, zarciki, przytyki,

Te szmery... Ach, to świerszcze wlaży mi w ucho...

Moje ucho, moje ucho!

(Wyrzasa palcem ucho).

Jaki szmer! Kamerjunktury świszczą, jak puszczyki,

Damy ogonem skrzeczą, jak grzechotniki...

Jaki okropny szmer! Śmiechy, wrzaski:

„Senator wypadł z łaski, z łaski, z łaski!”

(Pada z łóżka na ziemię).

DJABŁY *(zstępują widomie).*

Teraz duszę ze zmysłów wydrzem, jak z okucia

Psa złego, lecz nie całkiem; nałożym kaganiec,

Na wpół zostawim w ciele, by nie tracił czucia,

Drugą połowę wlecemy, aż na świata kraniec,

Gdzie się doczesność kończy, a wieczność zaczyna.

Gdzie z sumieniem graniczy piekielna kraina —

I złe psisko uwiążem tam, na pograniczu:

Tam pracuj, ręko moja, tam świstaj, mój biczu!

Nim trzeci kur zapieje, musim z tej męczarni

Wrócić zmordowanego, skalanego ducha,

Znowu przykuć do zmysłów, jako do łańcucha,

I znowu w ciele zamknąć, jako w brudnej psiarni.

SCENA VII.

SALON WARSZAWSKI.

(Kilku wielkich urzędników, kilku wielkich literatów, kilka dam wielkiego tonu, kilku generałów i oficerów sztabowych; wszyscy incognito, piją herbatę przy stoliku. Blżej drzwi kilku młodych ludzi i dwóch starych Polaków. Stojący rozmawiają z żywością. — Towarzystwo stolikowe mówi po francusku, przy drzwiach po polsku). * 11

Przy drzwiach.

ZENON NIEMOJEWSKI *(do Adolfa).*

To i u was, na Litwie, toż samo się dzieje?

ADOLF.

Ach, u nas gorzej jeszcze, u nas krew się leje.

NIEMOJEWSKI.

Krew?

ADOLF.

Nie na polu bitwy, lecz pod ręką kata;
Nie od miecza, lecz tylko od pałki i bata.
(*Rozmawiają ciszej*).

Przy stoliku.

HRABIA.

To bal był taki świetny, i wojskowych wiele?

FRANCUZ.

Ja słyszałem, że było pusto, jak w kościele.

DAMA.

Owszem, pełno.

HRABIA.

I świetny?

DAMA.

O tem mówić długo...

KAMERJUNKIER.

Służono najniezgrabniej, choć z liczną usługą;
Nie miałem szklanki wina, ułamku pasztetu,
Tak zawałono całe wnijsie do bufetu.

DAMA I.

W sali tańców zgola nic nie ugrupowano,
Jak na raucie angielskim, po nogach deptano.

DAMA II.

Bo to był tylko jeden z prywatnych wieczorów.

SZAMBELAN.

Przepraszam, bal proszony — mam dotąd bilety.

(Wyjmuje invitacje i pokazuje; wszyscy przekonywują się).

DAMA I.

Tem gorzej. Pomieszano grupy, toalety —
Nie można było zgola ocenić ubiorów.

DAMA II.

Odtąd, jak Nowosilcow wyjechał z Warszawy,
Nikt nie umie gustownie urządzić zabawy;
Nie widziałam pięknego balu ani razu.
On umiał ugrupować bal nakształt obrazu.

(Słychać między mężczyznami śmiech).

DAMA I.

Śmiejcie się państwo, mówcie, co się wam podoba,
A była to potrzebna w Warszawie osoba.

Przy drzwiach.

JEDEN Z MŁODYCH.

Cichowski uwolniony?

ADOLF.

Ja znam Cichowskiego.
Właśnie byłem, chciałem się dowiedzieć od niego,
Żeby między naszymi na Litwie rozgłosić.

NIEMOJEWSKI.

My powinniśmy z sobą łączyć się i znosić,
Inaczej, rozdzieleni, wszyscy zginieć marnie.
(Gadają ciszem).

MŁODA DAMA (przy nich stojąca).

A jakie on okropne wycierpiał męczarnie!
(Rozmawiają).

Przy stoliku.

JENERAŁ (do literata).

Ale przeczytaj wreszcie — dajże się uprosić!

LITERAT.

Ja nie umiem na pamięć.

JENERAŁ.

Zwykleś z sobą nosić.
Masz przy sobie pod frakiem — a — widzę okładki;
Damy chcą słyszeć.

LITERAT.

Damy? — A, to literatki!
Więcej wierszy francuskich na pamięć umieją,
Niżli ja!

JENERAŁ (idzie mówić z damami).

Tylko niechaj panie się nie śmieją!

DAMA.

Macie robić lekturę? — Przepraszam, choć umiem
Po polsku, ale polskich wierszy nie rozumiem.

JENERAŁ (*do oficera*).

Ma rację po części, bo nudne po trochu.

(*Pokazuje na literata*).

Opiewa tysiąc wierszy o sadzeniu grochu.

(*Do literata*).

Czytajże! Jeśli ciebie nie będziemy słuchali,

To, patrz —

(*Pokazując na drugiego literata*).

ten tam gazeciarz swe rymy wypali.

Śliczna byłaby wszystkim słuchaczom przysługa...

Patrz, jak się on zaprasza, jak śmieje się, mruga,

I usta już otworzył, jak zdechłą ostrygę,

I oko zwrócił wielkie i słodkie, jak figę.

LITERAT (*do siebie*).

Wychodzą...

(*Do jenerała*).

Długie wiersze... jabym piersi strudził...

JENERAŁ (*do oficera*).

Dobrze, że nie chce czytać, boby nas zanudził.

MŁODA DAMA.

(*Oddzielając się od grupy młodszej ode drzwi do stolika*).

A, to jest rzecz okropna! — Słuchajcie, panowie!

(*Do Adolfa*).

Niechaj pan tym ichmościom o Cichowskim powie!

OFICER WYŻSZY.

Cichowski wypuszczony?

HRABIA.

Przesiedział lat tyle

W więzieniu —

SZAMBELAN.

Ja myślałem, że leżał w mogile.

(*Do siebie*).

O takich rzeczach słuchać nie bardzo bezpiecznie,

A wyjść w środku powieści byłoby niegrzecznie.

(*Wychodzi*).

HRABIA.

Wypuszczony? — To dziwna...

ADOLF.

Nie znaleźli winy.

MISTRZ CEREMONJI.

Któż tu mówi o winach? Są inne przyczyny...
Kto długo był w więzieniu, widział, słyszał wiele —
A rząd ma swe widoki, ma głębokie cele,
Które musi ukrywać. — To jest rzecz rządowa —
Tajniki polityczne — myśl gabinetowa...
To się tak wszędzie dzieje — są tajniki stanu.
Ale pan z Litwy — a! a! — to jest dziwno panu...
Panowie na wsi, to tak chcecie o cesarstwie
Wiedzieć wszystko, jak gdyby o swem gospodarstwie.
(Uśmiecha się).

KAMERJUNKIER.

Pan z Litwy i po polsku? Nie pojmuję wcale!
Ja myślałem, że w Litwie to wszystko Moskale.
O Litwie, dalibógże, mniej wiem, niż o Chinach,
Constitutionel coś raz pisał o Litwinach,
Ale w innych gazetach francuskich ni słowa.

PANNA (do Adolfa).

Niech pan opowie: to rzecz ważna, narodowa:

STARY POLAK.

Znałem starych Cichowskich. Uczciwa rodzina;
Oni są z Galicji. Słyszałem, że syna
Wzięli i zamorzyli... Mój krewny daleki!
Nie widziałem go dawno... O ludzie, o wieku!
Trzy pokolenia przeszły, jak nas przemoc dręczy;
Mężczyła ojców naszych — dzieci, wnuków mężczy!

ADOLF.

(Wszyscy zbliżają się i słuchają).

Znałem go, będąc dzieckiem. — Był on wtenczas młody,
Żywy, dowcipny, wesół i sławny z urody;
Był duszą towarzystwa: gdzie się tylko zjawił,
Wszystkich opowiadaniem i żartami bawił,
Lubił dzieci i często brał mię na kolana;
U dzieci miał on tytuł „wesołego pana”.
Pamiętam włosy jego: nieraz ręce moje
Płatałem w jasnych włosów kędzierzawe zwoje;
Wzrok pamiętam: musiał być wesół, niewinny,
Bo, kiedy patrzył na nas, zdawał się dziecinny,
I, patrząc na nas, wabił nas do swej żrenicy.
Patrząc nań, myśleliśmy, żeśmy równienny.

On wtenczas miał się żenić; pomnę, że przynosił
Dzieciom dary swej przyszłej i na ślub nas prosił.
Potem długo nie przyszedł, i mówiono w domu,
Że, nie wiedzieć gdzie, zniknął, umknął pokryjomu;
Szuka rząd, ale śladu dotąd nie wytropił.
Nakoniec powiedziano: „Zabił się, utopił...”
Policja dowodem stwierdziła domysły:
Znaleziono płaszcz jego nad brzegami Wisły.
Przyniesiono płaszcz żonie; poznała: on zginął...
Trupa nie znaleziono — i tak rok przeminął.
Dlaczegoż on się zabił? Pytano, badano,
Żalowano, płakano, wreszcie — zapomniano.
I minęło dwa lata. — Jednego wieczora
Więźniów do Belwederu wiedziono z klasztora.
Wieczór ciemny i dżdżysty; nie wiem, czy przypadkiem,
Czy umyślnie ktoś był tej procesji świadkiem —
Może jeden z odważnych warszawskich młodzieńców,
Którzy śledzą pobytu i nazwiska jeńców;
Warty stały w ulicach, głucho było w mieście —
Wtem ktoś z za muru krzyknął: „Więźnie, kto jesteście?”
Sto ozwało się imion; wśród nich dosłyszano
Jego imię — i żonie nazajutrz znać dano.
Pisała i lała, prosiła, błagała,
Lecz, prócz tego imienia, nic nie posłyszała.
I znowu lat trzy przeszło bez śladu, bez wieści
Lecz, nie wiedzieć, kto, szerzył w Warszawie powieści,
Że on żyje, że męczy, że przyznać się wzbrania
I że dotąd nie złożył żadnego wyznania,
Że mu przez wiele nocy spać nie dozwolano,
Że karmiono śledziami i pić nie dawano,
Że pojono opjum, nasyłano strachy,
Larwy, że loskotano w podeszwy, pod pachy...
Lecz wkrótce innych wzięto, o innych zaczęli
Mówić; żona płakała, wszyscy zapomnieli.

Aż niedawno przed domem żony w nocy dzwonią.
Otworzono: oficer i żandarm pod bronią,
I więzień. — On! — Każą dać pióra i papieru —
Podpisać, że wrócony żywy z Belwederu.
Wzięli podpis i, palcem pogroziwszy: „Jeśli
Wydasz...” i nie skończyli; jak weszli, odeszli.

To on był. Biegnę widzieć — przyjaciel otręga:
„Nie idź dzisiaj, bo spotkasz pod wrotami szpiegal”
Idę nazajutrz — w progu policyjskie draby;
Idę w tydzień: on sam mię nie przyjmuje, słaby.
Aż niedawno za miastem w pojeździe spotkałem —
Powiedziano, że to on, bo go nie poznałem.
Utył — ale to była okropna otyłość:
Wydeła go zła strawa i powietrza zgnilość,
Policzki mu nabrzmiały, poźółkły i zbladły,
W czole zmarszczki pół wieku, włosy wszystkie spadły.
Witam — on mię nie poznał, nie chciał mówić do mnie;
Mówię, kto jestem — patrzy na mnie bezprzytomnie.
Gdym dawnej znajomości szczegóły powiadał,
Wtenczas on oczy we mnie utopił i badał.
Ach, wszystko, co przecierpiał w swych męczarniach dziennych,
I wszystko, co przemyślił w swych nocach bezsennych,
Wszystko poznałem w jednej chwili z jego okal
Bo na tem oku była straszliwa powłoka:
Żrenice miał podobne do kawałków szklanych,
Które zostają w oknach więzień kratowanych,
Których barwa jest szara, jak tkanka pajęczą,
A które, patrząc z boku, świecą się, jak tęcza,
I widać w nich rdzę krwawą, iskry, ciemne plamy.
Ale ich okiem na wskroś przebić nie zdołamy;
Straciły przezroczystość, lecz widać po wierzchu,
Że leżały w wilgoci, w pustkach, w ziemi, w zmierzchu.

W miesiąc poszedłem znowu. Myślałem, że zdoła
Rozpatrzeć się na świecie i pamięć przywoła.
Lecz tyle tysięcy dni był pod śledztwa próbą,
Tyle tysięcy nocy rozmawiał sam z sobą,
Tyle lat go badały mękami tyrany,
Tyle lat otaczały słuch mające ściany,
A całą jego było obroną — milczenie,
A całem jego były towarzystwem — cienie —
Że już się nie udało wesołemu miastu
Zgłądzić w miesiąc naukę tych lat kilkunastu.
Słońce zda mu się szpiegiem, dzień donosicielem,
Domowi jego — strażą, gość — nieprzyjacielem.
Jeśli do jego domu przyjdzie kto nawiedzić,
Na klamki trzask on myśli zaraz: „Idą śledzić!”

Odwraca się i głowę na rękę opiera;
 Zdaje się, że przytomność, moc umysłu zbiera,
 Ścina usta, by słowa same nie wypadły,
 Oczy spuszcza, by szpiegi z oczu co nie zgadły.
 Pytany, myśląc zawsze, że jest w swym więzieniu,
 Ucieka w głąb pokoju i tam pada w cieniu.
 Krzycząc zawsze dwa słowa: „Nie nie wiem, nie powiem!”
 I te dwa słowa jego stały się przysłowiem.
 I długo przed nim płacze na kolanach żona
 I dziecko, nim on bojaźń i wstręt swój pokona.

Przeszłą niewolę lubią opiewać więźniowie;
 Myślałem, że on ją nam najlepiej opowie,
 Wyda na jaw z pod ziemi i z pod straży zbiorów
 Dzieje swe, dzieje wszystkich Polski bohaterów;
 Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach.
 Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach...
 I cóż on na pytanie moje odpowiedział?
 Że o swoich cierpieniach sam już nic nie wiedział,
 Nie pomniał! — Jego pamięć, zapisana cała,
 Jak księga herkulańska, pod ziemią spróchniała:
 Sam autor zmartwychwstały nie umie w niej czytać!
 Rzekł tylko: „Będę o to Pana Boga pytać:
 On to wszystko zapisał, wszystko mnie opowie”.

(Adolf łyżeciera — długie milczenie).

DAMA MŁODA (*do literata*).

Czemu to o tem pisać nie chcecie panowie?

HRABIA.

Niech to stary Niemcewicz w pamiętniki wsadzi;
 On tam, słyszałem, różne szpargały gromadzi.

LITERAT I.

To historia!

LITERAT II.

Straszna.

KAMERJUNKIER.

Dalibóg, wyśmienita.

LITERAT I.

Takich dziejów słuchają, lecz kto je przeczyta?
 I proszę, jak opiewać społeczne wypadki?
 Zamiast mitologii są naoczne świadki —

Potem, jest to wyraźny, święty przepis sztuki,
Ze należy poetom czekać, aż — aż —

JEDEN Z MŁODZIEŻY.

Póki?

Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży,
Jak figa, ucukruje, jak tytuń, uleży?

LITERAT I.

Niema wyraźnych reguł...

LITERAT II.

Ze sto lat...

LITERAT I.

To mało!

LITERAT III.

Tysiąc, parę tysięcy...

LITERAT IV.

A mnieby się zdało,

Że to wcale nie szkodzi, że przedmiot jest nowy;

Szkoda tylko, że nie jest polski, narodowy.

Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,

Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi;

Śpiewać, naprzykład, wiejskich chłopców zalecanki,

Trzody, cienie... Sławienie, my lubim sielanki.

LITERAT I.

Spodziewam się, że panu przez myśl nie przejedzie,

Aby napisać wierszem, że ktoś jadał śledzie.

Jak mówię, że poezji niema bez poloru,

A polor być nie może tam, gdzie niema dworu.

Dwór to sądzi o smaku, piękności i sławie!

Ach, ginie Polska! — Dworu nie mamy w Warszawie!

MISTRZ CEREMONJI.

Niema dworu! A, to mię dziwi niepomahu!

Przecież ja jestem mistrzem ceremoniału!

HRABIA (*cicho do mistrza*).

Gdybyś namiestnikowi wyrzekł za mną słówko.

Moja żona byłaby pierwszą pokojówką.

(*Ołośno*).

Ale próżno, nie dla nas wysokie urzędy!...

Arystokracja tylko ma u dworu względy.

DRUGI HRABIA (niedawno kreowany z mieszczan).
 Arystokracja zawsze swobód jest podporą...
 Niech państwo przykład z Wielkiej Brytanii biorą.
 (Zaczyna się kłótnia polityczna. — Młodzież wychodzi).

PIERWSZY Z MŁODYCH.

A lotry! O, to kija!...

A*** G**

O, to stryczka, haku!
 Jabym im dwór pokazał, nauczyłbym smakul

N***

Patrzcie! Cóż my tu pocznem? Patrzcie, przyjaciele,
 Otóż to jacy stoją na narodu czele!

WYSOCKI.

Powiedz raczej: na wierzchu! Nasz naród, jak lawa:
 Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
 Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębił
 Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi!

(Odchodzą).

X SCENA VIII.

PAN SENATOR.

(W Wilnie. Sala przedpokojowa; na prawo drzwi do sali komisji śledczej, gdzie prowadzą więźniów i widać ogromne pliki papierów. W głębi drzwi do pokojów Senatora, gdzie słychać muzykę. Czas: po obiedzie. U okna siedzi sekretarz nad papierami; dalej, nieco na lewo, stolik, gdzie grają w wiska. Nowosilcow pije kawę; koło niego szambelan Bajków, Petkan i jeden doktor. U drzwi wartka i kilku lokajów nieruchomych).

SENATOR (do Szambelana).

Diable! Quelle corvée! Przecież po obiedzie!
 La princesse nas zwiodła i dziś nie przyjedzie;
 Zresztą, *en fait des dames*, stare, albo głupie:
 Gadać, *imaginez-vous*, o sprawach przy supiel
Je jure, tych patryotków nie mieć *à ma table*,
Avec leur franc parler et leur ton détestable.
Figurez vous: ja gadam o strojach, kasynie —
 A moja kompania o ojcu, o synie:
 „On stary, on zbyt młody, panie senatorze...”
 „On kozy znieść nie może, panie senatorze...”

„On prosi spowiednika...” „On chce widzieć żonę...”
„On...” — *Que sais-je!* Piękny dyskurs w obiady proszone.
Il y a de quoi oszaleć! Muszę skończyć sprawę
I uciec z tego Wilna w kochaną Warszawę.
Monseigneur mnie napisał *de revenir bientôt*;
On się beze mnie nudzi, a ja z tą holotą —
Je n'en puis plus...

DOKTOR (*podchodząc*).

Mówilem właśnie, jaśnie panie,
Że ledwie rzecz zaczęła i sprawa w tym stanie,
W jakim jest chory, kiedy lekarz go nawiedzi
I robi anagnosin. Mnóstwo uczniów siedzi,
Tyle było śledzenia — żadnego dowodu!
Jeszcześmy nie trafili w samo jądro wrzodu.
Cóż odkryto? Wierszyki! *Ce sont de maux légers*,
Ce sont, można powiedzieć, *accidens passagers*:
Ale osnowa spisku dotąd jest tajemną
I...

SENATOR (*z urazą*).

Tajemną? — To, widzę, panu w oczach ciemno!
I nie dziw, po obiedzie. — Więc, *signor dottore*.
Adio bona notte — dzięki za perorę!
Tajemną! Sam śledziłem — i ma być tajemną?
I vous osez, docteur, mówić tak przede mną?
Któż kiedy widział u nas formalniejszye śledztwa?

(*Pokazując papiery*).

Wyznania dobrowolne, skargi i świadectwa —
Wszystko jest; i tu cały spiszek świętokradzki
Stoi spisany jasno, jak ukaz senacki.
Tajemną! — Za te nudy owóż, co mam w zysku!

DOKTOR.

Jaśnie panie, *excusez*, któż wątpi o spisku!
Właśnie mówię, że...

LOKAJ.

Człowiek kupca Kanissyna
Czeka i jakiś panu rejestr przypomina.

SENATOR.

Rejestr? — Jaki tam rejestr? Kto?

LOKAJ.

Kupiec Kanissyn.
Co mu pan przyjąć rozkazał...

SENATOR.

Idźże precz, sukisyn!
Widzisz, że ja zajęty.

DOKTOR (do lokajów).

A, głupie bestye,
Przychodźcie!... — Pan senator, widzisz, kawę pije.

SEKRETARZ (wstając od stołka).

On powiada, że jeśli pan zapłatę zwleka,
On zrobi proces.

SENATOR.

Napisz grzecznie, niechaj czeka!

(Zamyśla się).

A propos... Ten Kanissyn... Trzeba mu wziąć syna
Pod śledztwo! — Oj, to ptaszek!

SEKRETARZ.

To mały chłopczyzna.

SENATOR.

Oni to wszyscy mali — ale patrz w ich serce!...
Najlepiej ogień zgasić, dopóki w isierce.

SEKRETARZ.

Syn Kanissyna w Moskwie.

SENATOR.

W Moskwie? A, *voyez vous*,
Emisarjusz klubów? — Czas zabieżeć temu,
Wielki czas...

SEKRETARZ.

On podobno u kadetów służy.

SENATOR.

U kadetów? — *Voyez vous*? On tam wojsko burzy!

SEKRETARZ

Dzieckiem z Wilna wyjechał.

SENATOR.

Oh, cet incendiaire.

Ma tu korespondentów.

*(Do sekretarza).**Ce n'est pas ton affaire;*

Rozumiesz! — Hej, dyżurny! — We dwadzieścia cztery

Godzin wysłać kibitkę i zabrać papiery!

Zresztą — ojciec lękać się nas niema przyczyny,

Jeśli syn dobrowolnie przyzna się do winy...

DOKTOR.

Właśnie, jak miałem honor mówić jaśnie panu,

Są tam ludzie różnego i wieku i stanu:

To najniebezpieczniejsze jest spisku symptoma,

A wszyskiem rusza pewna sprężyna kryjoma,

Którą...

SENATOR *(z urazą).*

Kryjoma?

DOKTOR.

Mówię: tajemnie skrywana,

Odkryta dzięki przezorności jaśnie pana.

*(Senator odwraca się).**(Do siebie).*

To szatan niecierpliwy! Z tym człowiekiem bieda!

Mam tyle ważnych rzeczy — wymówić mi nie da!

PELIKAN *(do senatora).*

Co pan senator każe z Rolissonem robić?

SENATOR.

Jakim?

PELIKAN.

Co to na śledztwie musiano go obić.

SENATOR.

Eh bien!

PELIKAN.

On zachorował.

SENATOR.

Wieleż kijów dano?

PELIKAN.

Byłem przy śledztwie, ale tam nie rachowano.

Pan Botwinko śledził go.

BAJKOW.

Pan Botwinko! Cha, chal
 O, nieprędko on kończy, gdy się raz rozmacha!
 Ja zaręczam, że on go opatrzył nieszpętnie —
 Parions, że mu wyliczył najmniej ze trzy setnie!...

SENATOR (*zadziwiony*).

Trois cents coups, et vivant? Trois cents coups, le coquin!
Trois cents coups, sans mourir? — Quel dos de jacobin!
 Myślałem, że w Rosyi *la vertu culannée*
Surpasse tout: ten łotr ma une peau mieux tannée!
Je n'y conçois rien! Ha, ha, ha, ha, mon ami,
 (*Do grającego w wiska, który czeka na swego kompana*).
 Polaki nam odbiorą nasz handel skórami!
Un honnête soldat en serait mort dix fois! —
Quel rebelle!

(*Podchodzi do stolika*).

Dla pana mam *un homme de bois*:
 Chłopiec drewniany; dał mu *sam* Botwinko kije,
 Trzysta kijów dziecięciu — *figurez vous?* — Żyję!
 (*Do Pelikana*).

Nic nie wyznał?

PELIKAN.

Prawie nic. Żęby tylko zaciął;
 Krzyczy, że nie chce skarżyć niewinnych przyjaciół —
 Ale z tych kilku słówek odkrywa się wiele;
 Widać, że ci uczniowie jego przyjaciele.

SENATOR.

C'est juste. Jaki upór!

DOKTOR.

Właśnie powiadałem
 Jaśnie panu, że młodzież zarażają szaleńcem,
 Ucząc ich głupstw... — Naprzykład starożytne dzieje!...
 Któż nie widzi, że młodzież od tego szaleje?

SENATOR (*wesolo*).

Vous n'aimez pas l'histoire? Ha, ha, un satirique.
Aurait dit, że boisz się devenir historique.

DOKTOR.

I owszem, uczyć dziejów: niech się młodzież dowie,
 Co robili królowie, wielcy ministrowie...

C'est juste.

SENATOR.

DOKTOR (*ucieszony*).

Właśnie mówię, widzi pan dobrodziej,
Że jest sposób wyklądać dzieje i dla młodzi:
Lecz poco zawsze prawić o republikańach,
Zawsze o Ateńczykach, Spartanach, Rzymianach?

PELIKAN (*do jednego ze swych towarzyszków, pokazując doktora*).

Patrz, patrz, jak za nim łązi, pochlebca przeklęty!
I wścibi mu się w łaskę... Co to za wykręty!

(*Podchodzi do doktora*).

Ale cóż o tem mówić, czy to teraz pora?
Zważ-no, czy można nudzić pana senatora?

LOKAJ (*do senatora*).

Czy pan rozkaże wpuścić te panie — kobiety —
Pan wie — co wysiadają tu codzień z karety?
Jedna ślepa, a druga...

SENATOR.

Ślepa? Któż to ona?

LOKAJ.

Pani Rollison.

PELIKAN.

Matka tego Rollisona.

LOKAJ.

Codzień tu są.

SENATOR.

Odprawić było —

DOKTOR.

Z Panem Bogiem!

LOKAJ.

Odprawiamy, lecz siada i skwierczy pod progiem.
Kazaliśmy brać w areszt: ze ślepą kobietą
Trudno iść; lud się skupił, żołnierza wybito...
Czy mam wpuścić?

SENATOR.

E, rady sobie dać nie umiesz!
Wpuścić, tylko aż do pół schodów — czy rozumiesz?

A potem ją sprowadzić... aż w dół... o, tak (z gościem) 1880,
Zeby nas nie nudziła więcej swą włóczęgą.

(Drugi lokaj wchodzi i oddaje list Bajkowowi).

No, czegoż stoisz, pójdźże —

BAJKOW.

Elle porte une lettre.

(Oddaje list).

SENATOR.

Któżby to za nią pisał?

BAJKOW.

La princesse peut-être.

SENATOR (czyta).

Księżna! Skąd jej to przyszło? Na kark mi ją wpycha!

Avec quelle chaleur! — Wpuścić ją do licha!

(Wchodzi dwie damy i ksiądz Piotr).

PELIKAN (do Bajkowa).

To stara czarownica, *mère de ce fripon*

SENATOR (grzecznie).

Witam, witam. Któraż z pań jest pani Rollison?

P. ROLLISON (z płaczem).

Ja. — Mój syn! Panie dobrodzieju...

SENATOR.

Proszę — chwilę.

Pani masz list, a pocóż przyszło tu pań tyle?

DRUGA DAMA.

Nas dwie.

SENATOR (do drugiej).

I pocóż panią mam tu honor witać?

DRUGA.

Pani Rollison trudno drogi się dopytać:

Nie widzi.

SENATOR.

Ha, nie widzi — a to wacha może?

Bo codzień do mnie trafia.

DRUGA.

Ja tu ją przywożę;

Ona sama i stara i nie bardzo zdrowa.

Na Boga...

P. ROLLISON.

SENATOR.

Cicho. *(Do drugiej)*. Pani któż jesteś?

DRUGA.

Kmitowa.

SENATOR.

Lepiej siedź w domu i miej o synach staranie!
Jest na nich podejrzenie...

KMITOWA *(bladnąc)*.

Jakto, jakto? Paniel
(Senator śmieje się).

P. ROLLISON.

Paniel! Litość! — Ja wdowa! Panie senatorze!
Słyszałam, że zabili... — Czyż można, mój Boże!
Moje dziecko!... Ksiądz mówi, że on jeszcze żyje,
Ale go biją... Paniel! Któż dzieci tak bije!
Jego zbito — zlituj się — po katowsku zbito!...
(Płacze).

SENATOR.

Gdzie? Kogo? — Gadaj przecie po ludzku, kobieto!

P. ROLLISON.

Kogo? Ach, dziecko moje! Mój panie — ja wdowa —
Ach, wieleż to lat, póki człek dziecko wychowa!
Mój Jaś już drugich uczył; niech pan wszystkich spyta,
Jak on uczył się dobrze!... — Ja biedna kobieta,
On mnie żywił ze swego szczupłego dochodu —
Ślepa — on był mnie okiem!... Panie, umrę z głodu...

SENATOR.

Kto popłół, że go bili, nie wyjdzie na sucho.
Kto mówił?

P. ROLLISON.

Kto mnie mówił?... Ja mam matki ucho.
Ja ślepa — teraz w uchu cała moja dusza,
Dusza matki. — Wiedli go wczora do ratusza...
Słyszałam...

SENATOR.

Wpuszczono ją?

P. ROLLISON.

Wypehneli mię z progu,
 I z bramy, i z dziedzina... Siadłam tam, na rogu,
 Pod murem; mury grube — przyłożyłam ucho —
 Tam siedziałam od rana. — W północ w mieście głucho —
 Słucham — w północ, tam, z muru — nie, nie zwodzę siebie,
 Słyszałam go... słyszałam, jak Pan Bóg na niebie,
 Ja głos jego słyszałam uszami własnymi —
 Cichy, jakby z pod ziemi, jak ze środka ziemi...
 I mój słuch wszedł w głąb muru, daleko, głęboko —
 Ach, dalej poszedł, niżli najbystrzejsze oko...
 Słyszałam — męczono go! —

SENATOR.

Jak w gorączce bredził!
 Ale tam, moja pani, wielu innych siedzi!

P. ROLLISON.

Jakto? — Czyż to nie był głos mojego dziecięcia?
 Niema owca pozna głos swojego jagnięcia
 Śród najliczniejszej trzody... Ach, to był głos taki!
 Ach, dobry panie, żebyś słyszał raz głos taki,
 Tybyś już nigdy w życiu spokojnie nie zasnął!...

SENATOR.

Syn pani zdrów być musi, gdy tak głośnie wrzasnął.

P. ROLLISON (*pada na kolana*).

Jeśli masz ludzkie serce...

(*Otwierają się drzwi od sali. Słychać muzykę.*
Wbiega panna, ubrana jak na bal).

PANNA.

Monsieur le sénateur —
 Oh! Je vous interromps... On va chanter le choeur
 De „Don Juan“, et puis le concerto de Herz...

SENATOR.

„Herz!“ Coeur! Tu także była mowa około serc.
 Vous venez à propos, vous, belle comme un coeur!
 Moment sentimental! Il pleur ici des coeurs.

(Do Bajkowa).

Żeby le grand-duc Michel ten kalambur wiedział,
 Ma foi, to jużbym dawno w Radzie Państwa siedział...

(Do panny).

J'y suis — dans un moment.

P. ROLLISON.

Panie, nie rzucaj nas

W rozpacz! Ja nie puszcze...

(*Chwyta za suknię.*)

PANNA.

Faites-lui donc grâces!

SENATOR.

Diable m'emporte, jeśli wiem, czego chce ta jędra!

P. ROLLISON.

Chcę widzieć syna.

SENATOR (*z przyciskiem*).

Cesarz nie pozwala.

KS. PIOTR.

Księżda!

P. ROLLISON.

Księżda przynajmniej poślij! Syn mój prosi księdza...
Może kona! — Gdy ciebie płacz matki nie wzruszy —
Bój się Boga! — dręcz ciało, ale nie gub duszy!

SENATOR.

C'est drôle! Kto to po mieście wszystkie plotki nosi?
Kto waćpani powiedział, że on księdza prosi?

P. ROLLISON (*pokazując księdza Piotra*).

Ten ksiądz pocciwy mówił. On tygodni tyle
Biega, błaga... lecz nie chcą wpuścić i na chwilę;
Spytaj księdza, on powie...

SENATOR (*patrząc bystro na księdza*).

To on wie? Pocciwy...

No zgoda, zgoda — dobrze! — Cesarz sprawiedliwy:
Cesarz księży nie wzbrania — owszem, sam posyła,
Aby do moralności młodzież powróciła...
Nikt, jak ja, religii nie ceni, nie lubi...

(*Wzdycha*).

Ach, ach! Brak moralności, to, to młodzież gubi!
Eh bien, zęgnam więc panie.

P. ROLLISON (*do panny*).

Ach, panienko droga!
Wstaw się ty jeszcze za mną, ach, na rany Boga!
Mój syn mały! — Rok siedzi o chlebie i wodzie
W zimnem, ciemnem więzieniu, bez odzieży, w chłodzie...

PANNA.

Est-il possible?

SENATOR (*w ambarasie*).

Jakto? Jakto? On rok siedział?
Jakto? *Imaginez-vous* — jam o tem nie wiedział!
(*Do Pelikana*).

Słuchaj, trzeba tę sprawę najpierwej rozpatrzyć:
Jeśli to prawda, uszy komisarzom natrzeć.
(*Do Rollisonowej*).

Soyez tranquille, przyjdź tu o siódmej godzinie.

P. KMITOWA.

Nie płacz tak, pan senator nie wie o twym synie:
Jak się dowie, obaczysz, może oswobodzi...

P. ROLLISON (*uradowana*).

Nie wie?... Chce wiedzieć? O, niech mu Pan Bóg nagrodził
Ja to zawsze mówiłam ludziom: być nie może
Tak okrutny, jak mówią — on stworzenie Boże,
On człowiek, jego matka mlekiem wykarmiła...
Ludzie śmieli się: widzisz, jam prawdę mówiła!
(*Do senatora*).

Tyś nie wiedział! Te łotry wszystko tobie tają...
Wierz mi, panie, tyś łotrów otoczony zgrają!
Nie ich pytaj, nas pytaj: my wszystko powiemy,
Całą prawdę...

SENATOR (*śmiejąc się*).

No, dobrze, o tem pomówimy:
Dziś nie mam czasu... Adieu! — Księżnej powiedz pani,
Ze, co można, to wszystko każę zrobić dla niej!
(*Grzecznie*).

Adieu, madame Kmit, adieu! — Co mogę, to zrobię.
(*Do księdza Piotra*).

Waćć, księżu, zostań! Parę słów mam szepnąć tobie.
(*Do panny*).

Ty suis dans un moment.

(*Wszyscy odchodzą, prócz dawnych osób*).

SENATOR (*po pauzie do lokajów*).

A szelmy, łajdaki!

Lotry! Stoicie przy drzwiach — i porządek taki? —
Skórę wam zedrę, szelmy, służby was nauczę:

(*Do jednego lokaja*).

Sluchaj — ty idź za babą...

(*Do Pelikana*).

Nie, panu poruczę:

Skoro wyjdzie od księżnej, daj jej pozwolenie
Widzieć syna i prowadź aż tam — tam, w więzienie;
Potem osobno zamknij — tak, na cztery klucze.
C'en est trop!... — A, łajdaki! Służby was nauczę!

(*Rzuca się na krzesło*).

LOKAJ (*ze drżeniem*).

Pan kazał wpuścić...

SENATOR (*schwytyując się*).

Co? Co? — Ty śmiesz, ty, mnie?... gadać?

Toś wyuczył się w Polsce panu odpowiadać?...
Stój, stój, — ja cię oduczę! — Wieść go do kwatery
Policmajstra — sto kijów i tygodni cztery
Na chleb i wodę!

PELIKAN.

Niech pan senator uważy,

Iż, mimo tajemnicy i czujności straży,
O biciu Rollisona niechętnie osoby
Wieść roznoszą i może wynajdą sposoby
Oczernić przed cesarzem nasze czyste chęci,
Jeśli się temu śledztwu prędko łeb nie skręci.

DOKTOR.

Właśnie ja rozmyślałem nad tem, jaśnie panie.
Rollison od dni wielu cierpi pomieszanie,
Chce sobie życie odjąć, do okien się rzuca,
A okna są zamknięte...

PELIKAN.

On chory na płuca —
Nie należy w zamkniętym powietrzu go morzyć;
Rozkażę mu więc okna natychmiast otworzyć.
Mieszka na trzecim piętrze — powietrza użyje...

SENATOR (*roztrgniony*).

Wpuszczać mi na kark babę, gdy ja kawę piję!
Nie dadzą chwili...

DOKTOR.

Właśnie mówię, jasnie panie,
Że potrzeba mieć większe o zdrowiu staranie.
Po obiedzie, mówiłem zawsze, niechaj pan te
Sprawy odłoży na czas... *Ça mine la santé*

SENATOR (*spokojnie*).

Eh, mon docteur, przed wszystkiem służba i porządek!
Potem, to, owszem, dobrze na słaby żołądek,
To żółć porusza, a żółć *fait la digestion*.
Po obiedzie ja mógłbym *voir donner la question*,
Kiedy tak każe służba... *En prenant son café*,
Wiesz co, to chwila właśnie widzieć auto-da-fé.

PELIKAN (*odpychając doktora*).

Jakże pan z Rollisonem każe decydować?
Jeżeli on dziś jeszcze... umrze, to?...

SENATOR.

Pochować!

I pozwalam, jeżeli zechcesz, balsamować.
A *propos* balsam: Bajkow, tobieby się zdało
Trochę balsamu, bo masz takie trupie ciało,
A żenisz się!... Czy wiecie? On ma narzeczoną.

(*Drzwi z jednej strony odmykają się. Lokaj wchodzi.*
Senator, pokazując drzwi):

Tę panienkę tam, patrzaj, białą i czerwoną...
E, pan młody, *avec un teint si délabré*!
Powinienbyś brać ślub twój, jak Tyber *à Capré*...
Nie pojmuję, jak oni mogli pannę zmusić
Pięknemi usteczkami słowo „tak“ wykształcić.

BAJKOW.

Zmusić? — *Parions*, że ja z nią za rok się rozwiode
I potem co rok będę brał żoneczki młode,
Bez przymusu. Dość spojrzeć na tę lub na ową:
C'est beau małej szlachciance być jenerałową.
Spytaj księdza, jeżeli zapłacze przy ślubie!

A *propos* księdza —

SENATOR.

(Do księdza).

Pójdźno, mój czarny Cherubie!

Patrzcie, *quelle figure!* — *On m'a l'air d'un poète* —

Czy ty widziałeś kiedy *un regard aussi bête?*

Potrzeba go ożywić. — Masz rumu kieliszek,

KS. PIOTR.

Nie piję.

SENATOR.

No, kapłanie, pij!

KS. PIOTR.

Jestem braciszek.

SENATOR.

Braciszek czy stryjasek, skądże to waszeci
Wiedzieć, co po więzieniach robią cudze dzieci?
Czy to waszec chodzilesz z wieściami do matki?

KS. PIOTR.

Ja.

SENATOR (do sekretarza).

Zapisz to wyznanie — a oto są świadki.

(Do księdza).

A skądżeś o tem wiedział, he? Ptaszek nie lada!

Spostrzegł się, że notują, i nie odpowiada...

W jakim klasztorze bractwo twe?

KS. PIOTR.

U bernardynów.

SENATOR.

A u dominikanów pewnie masz kuzynów?

Bo u dominikanów ten Rollison siedział.

No, gadajże! Skąd ty wiesz, kto ci to powiedział?

Słyszysz! Ja tobie każę. — Nie szepc mi po cichu!

Ja w imieniu cesarza każę — słyszysz, mnichu?

Mnichu! Czy ty słyszałeś o ruskim batogu?

(Do sekretarza).

Zapisz, że milczał!

(Do księdza).

Wszak ty służysz Panu Bogu —

Znasz ty teologję? — Słuchaj teologu:

Wiesz ty, że wszelka władza od Boga pochodzi?
Gdy władza każe mówić, milczeć się nie godzi.

(*Ksiądz milczy*).

A czy wiesz, mnichu, że ja mógłbym cię powiesić?
I obaczym, czy przeor potrafi cię wskresić.

KS. PIOTR.

Jeśli kto władzę cierpi, nie mów, że jej słucha:
Bóg czasem daje władzę w ręce złego ducha.

SENATOR.

Jeżeli cię powieszę, a cesarz się dowie,
Żem zrobił nieformalnie — a wiesz, co on powie?
„Ej, senatorze, widzę, że się już ty bisisz“.
A ty, mnichu, tymczasem, jak wisisz, tak wisisz!
Pójdźno bliżej, ostatni raz będę cię badał!
Wyznaj, kto tobie o tem biciu rozpowiadał!
He? — Milczysz? Już od Boga ty się nie dowiedział...
Któż mówił? — Co? — Bóg? — Anioł? — Djabeł?

KS. PIOTR.

Tyś powiedział.

SENATOR (*obruszony*).

Tyś! — Mnie mówić „tyś“ — Tyś — tyś... Ha, mnich!

DOKTOR.

Ha, kapcanie!

Mówi się panu: jaśnie oświecony panie.

(*Do Pelikana*).

Naucz go tam, jak mówić! Ten mnich, widzę, z chlewa...
Daj mu — tak!

(*Pokazuje ręką*).

PELIKAN (*daje księdzu policzek*).

Widzisz, ośle, senator się gniewa!

KSIĄDZ (*do doktora*).

Panie, odpuść mu, Panie — on nie wie, co zrobił!
Ach, bracie, tą złą radą tyś sam się już dobił!
Dziś ty staniesz przed Bogiem.

SENATOR.

Co to?

BAJKOW.

On błaznuje,

Daj mu jeszcze raz w papę, niech nam prorokuje!

(Daje mu szczutkę).

KS. PIOTR.

Bracie! I ty poszedłeś za jego przykładem!

Policzone dni twoje: pójdziesz jego śladem.

SENATOR.

Hej, posłać po Botwinkę! Zatrzymać tu klechę!

Ja sam będę przy śledztwie, będziem mieć uciechę —

Obaczym, czy on będzie milczał tak upornie:

Ktoś go namówił.

DOKTOR.

Właśnie przedstawiam pokornie:

To jest rzecz umówiona i te wszystkie spiski

Kieruje, jak wiem pewnie, książę Czartoryski.

SENATOR (schwytywa się z krzesła).

Que me dites vous là, mon cher, o książęciu?

Impossible...

(Do siebie).

Kto wie? — Eh! — Śledztwo lat dziesięciu,

Nim się książę wypłacze, jeśli ja go splećam.

(Do doktora).

Skądże wiesz?

DOKTOR.

Dawno, czynnie sprawą się zaprzętam..

SENATOR.

I pan mnie nie mówileś?

DOKTOR.

Jaśnie pan nie słuchał:

Ja mówiłem, że ktoś to ten pożar rozdmuchał.

SENATOR.

Ktoś ktoś! Ale czy książę?

DOKTOR.

Mam ślad oczywisty,

Mam doniesienia, skargi i przejęte listy.

SENATOR.

Listy księcia?

DOKTOR.

Przynajmniej jest mowa o księciu
W tych listach i o całym jego przedsięwzięciu,
I wielu profesorów — a głównym ogniskiem
Jest Lelewel. On tajnie kieruje tym spiskiem.

SENATOR (*do siebie*).

Ach, gdyby jaki dowód, choćby podejrzenie,
Ślad dowodu, cień śladu, choćby cieniów cienie!...
Nieraz już mi o uszy obila się mowa:
„To Czartoryski wyniósł tak Nowosilcowa“.
Obaczym teraz, kto z nas będzie mógł się chwalić:
Czy ten, co umiał wynieść, czy ten, co obalić.

(*Do doktora*).

Pójdź, *que je vous embrasse!* A — a! To rzecz inna!
Ja wraz zgadnałem, że to sprawa nie dziecinna;
Ja wraz zgadnałem, że to jest ksiątęcia sztuka...

DOKTOR (*poufale*).

I pan zgadnął? Zje djabła, kto pana oszuka.

SENATOR (*poważnie*).

Choć ja wiem o tem wszystkim, panie radco stanu,
Jeśli odkryć dowody udało się panu,
Ecoutez — daję panu senatorskie słowo:
Naprzód pensję roczną powiększą połową
I tę skargę za dziesięć lat służby policzę —
Potem może starostwo, dobra kanonicze,
Order — kto wie? Nasz cesarz z wspaniałe opłaca...
Ja go sam będę prosił — już to moja praca.

DOKTOR.

Mnie też to kosztowało niemało zabiegów:
Ze szczupłej mojej płacy opłacałem szpiegów...
A wszystko z gorliwości o dobro cesarza.

SENATOR (*biorąc go pod rękę*).

Mon cher, idź zaraz, weźmij mego sekretarza!

(*Do sekretarza*).

Wziąć te wszystkie papiery i opieczetować!

(*Do doktora*).

Wieczorem będziem wszystko razem trutynować.

(Do siebie).

Ja pracowałem, śledztwo prowadziłem całe,
A on z tego odkrycia miałby zysk i chwałę!...

(Zamyśla się).

(Do sekretarza w ucho).

Przyaresztuj Doktora razem z papierami!

(Do Bajkowa, który wchodzi).

To ważna sprawa, musim zatrudnić się sami.

Doktor wymknął się z pewnem słówkiem nieumyślnie —
Zbadałem go, a śledztwo ostatek wyciśnie.

(Pelikan, widząc względy senatora, odprowadza doktora
i kłania mu się nisko).

DOKTOR (do siebie).

Niedawno mię odpychał — ho, ho, Pelikanie!
I ja go zepchnę — i tak, że już nie powstanie

(Do senatora).

Zaraz wracam.

SENATOR (nieśbale).

O ósmej ja wyjeżdżam z miasta

DOKTOR (patrzac na zegarek).

Co to? Na mym zegarku godzina dwunasta?

SENATOR.

Już piąta.

DOKTOR.

Co, już piąta? — Ledwie oczom wierzę
Mój indeks na dwunastej, na samym numerze
Staął, i na dwunastej sam indeksu nosek;
Żeby choć o sekundę ruszył, choć o włos!

KS. PIOTR.

Bracie, i twój już zegar stanął i nie ruszy
Do drugiego południa. — Bracie, myśl o duszy!

DOKTOR.

Czego ty chcesz?

PELIKAN.

Proroctwo tobie jakieś burczy.
Patrz, jak oczy mu błyszczą: istny wzrok jaszczurczy!

KS. PIOTR.

Bracie, Pan Bóg różnemi znakami ostrzega.

PELIKAN.

Ten braciszek coś bardzo wygląda na szpiega... —
(Otwierają się drzwi z lewej strony. Wchodzi mnóstwo dam
wystrojonych, urzędników, gości. Za nimi muzyka).

P. GUBERNATOROWA.

Czy można?

P. SOWIETNIKOWA.

C'est indigne!

P. JENERAŁOWA.

Ah — *mon cher sénateur!*

Czekamy, posyłamy!

P. SOWIETNIKOWA.

Vraiment, c'est un malheur.

WSZYSTKIE (razem).

Wreszcie przyszyliśmy szukać...

SENATOR.

Cóż to? Jaka gala!

DAMA.

I tu możemy tańczyć; dość obszerna sala.
(Stają i szykują się do tańca).

SENATOR.

*Pardon, mille pardons, j'étais très occupé.
Que vois-je? Un menuet? Parfaitement groupé!
Cela m'a rappelé les jours de ma jeunesse!*

KSIEŻNA.

Ce n'est qu'une surprise.

SENATOR.

*Est-ce vous, ma déesse!
Que j'aime cette danse! Une surprise? Ah, dieux!*

KSIEŻNA.

Vous danserez, j'espère.

SENATOR.

Certes, et de mon mieux.

(Muzyka gra menueta z „Don Juana”. Z lewej stoją czymornicy czyli
urzędnicy i urzędniczkę; z prawej — kilku z młodzieży, kilku młodych
oficerów rosyjskich, kilku starych, ubranych po polsku, i kilka młodych
dam. — Na środku menuet. Senator tańczy z narzeczoną Bajkowa;
Bajkow z księżną).

BAL.
SCENA ŚPIEWANA.

DAMA (*z prawej strony*).

Patrz, patrz starego: jak się wije,
Jak sapie. Oby skręcił szyję!

(*Do senatora*).

Jak ślicznie, lekko tańczysz pan!
(*Na stronie*).

Il crévera dans l'instant.

MŁODY CZŁOWIEK.

Patrz, jak on lasi się i liże!
Wczora mordował, — tańczy dziś!
Patrz, patrz, jak on oczyma strzyże,
Skacze, jak w klatce ryś.

DAMA.

Wczora mordował i katował,
I tyle krwi niewinnej wylał;
Patrz — dzisiaj on pazury schował
I będzie się przymilał.

(*Z lewej strony*)

KOLLESKI REGESTRATOR (*do sowietnika*).

Tańczy senator, czy widzicie?
Ej, sowietniku, pójdźmy w tan!

SOWIETNIK.

Uważaj, czy to przyzwolicie,
Byś ze mną tańczył pan!

REGISTRATOR.

Ale tu znajdziem kilka dam.

SOWIETNIK.

Ale nie o to idzie rzecz:
Ja sobie wolę tańczyć sam,
Niż z tobą! Pójdźże precz!

REGISTRATOR.

Skądże to?

SOWIETNIK.

Jestem sowietnikiem!

REGISTRATOR.

Ja jestem oficerski syn!

SOWIETNIK.

Mój panie, ja nie tańczę z nikim,
Kto ma taki niski czyn.

(*Do pułkownika*).

Pójdź, pułkowniku, pójdźże w taniec!
Widzisz, że tańczy sam senator.

PULKOWNIK.

Jaki tam gadał oszarpaniec?

(*Pokazując registratora*).

SOWIETNIK.

Kolleski registrator!

PULKOWNIK.

Ta szuja, istne jakóbiny!

DAMA (*do senatora*).

Jak słicznie, lekko tańczysz pan.

SOWIETNIK (*z gniewem*).

Jak tu pomieszały się czyny!

DAMA.

Il crévera dans l'instant.

Lewa strona (*chórem*):

DAMY.

Ah quelle beauté, quelle grace!

MĘŻCZYŹNI.

Jaka to świetność, przepych jaki!

Prawa strona (*chórem*):

MĘŻCZYŹNI.

Ach, lotry, szelmy, ach, lajdaki!
Żeby ich piorun trząsł!

SENATOR (*tańcząc, do gubernatorowej*).

Chcę zrobić znajomość starosty.
On piękną żonę, córkę ma:
Ale zazdrosny —

GUBERNATOR (*biegąc za senatorem*).

To człek prosty,

Niech pan to na nas zda.

(*Podchodzi do starosty*).

A żona pańska?

STAROSTA.

W domu siedzi.

GUBERNATOR.

A córki?

STAROSTA.

Jedną tylko mam.

GUBERNATOROWA.

I córka balu nie odwiedzi?

STAROSTA.

Nie.

GUBERNATOROWA.

Pan tu sam?

STAROSTA.

Ja sam.

GUBERNATOR.

I żona nie zna senatora?

STAROSTA.

Dla siebie tylko żonę mam.

GUBERNATOROWA.

Chciałam wziąć córkę pańską wczora.

STAROSTA.

Usłużność pani znam.

GUBERNATOR.

Tu w menuecie para zbywa:

Senator potrzebuje dam.

STAROSTA.

Moja córka w parach nie bywa:

Jej parę znajdę sam.

GUBERNATOROWA.

Mówiono, że tańczy i grywa...

Senator chciał zaprosić sam.

STAROSTA.

Widzę, że pan senator wzywa
Naraz po kilka dam.

LEWA STRONA (*chórem*):

Jaka muzyka, jaki śpiew!
Jak pięknie meblowany dom!

PRAWA STRONA (*chórem*):

Te szelmy z rana piją krew,
A po obiedzie rum.

SOWIETNIK (*pokazując senatora*).

Drze ich, to prawda, lecz zaprasza:
Takiemu dać się drzeć nie żal.

STAROSTA.

Po turmach siedzi młodzież nasza —
Nam każą iść na bal!!

OFICER ROSYJSKI (*do Bestużewa*).

Nie dziw, że nas tu przeklinają:
Wszak to już mija wiek,
Jak z Moskwy w Polskę nasyłają
Samych lajdaków stek.

STUDENT (*do oficera*).

Patrz, jak się Bajkow, Bajkow rucha:
Co to za mina, co za ruch?
Skacze, jak po śmieciach ropucha...
Patrz, patrz, jak nadał brzuch!
Wyszczерzył zęby — nazbyt lyknął...
Patrz, jak otwiera gębę on!
Słuchaj, ach, słuchaj — Bajkow ryknął!

(*Bajkow nuci*).

(*Do Bajkova*).

Mon général, quelle chanson!

BAJKOW (*śpiewa pieśń Berangera*).

Quel honneur, quel bonheur!
Ah, monsieur le sénateur!
Je suis votre humble serviteur, etc. etc.

STUDENT.

Général, ce sont vos paroles?

BAJKOW.

Oui,

STUDENT.

*Je vous en fais mon compliment.*JEDEN Z OFICERÓW (*śmiejąc się*).*Ces couplets sont vraiment fort drôles;
Quel ton satirique et plaisant!*

MŁODY CZŁOWIEK.

*Pour votre muse sans rivale,
Je vous ferais académicien.*BAJKOW (*w ucho, pokazując księżnę*).

Senator dziś będzie rogał.

SENATOR (*w ucho, pokazując narzeczoną Bajkowa*).*Va, va, je te coifferai bien.*PANNA (*tańcząca do matki*).

Nazbyt ohydni, nazbyt starzy.

MATKA (*z prawej strony*).

Jeśli ci zbrzydnął, to go rzuć!

SOWIETNIKOWA (*z lewej strony*).

Jak mojej córeczce do twarzy!

STAROSTA.

Jak od nich rumem czuć!

SOWIETNIKOWA DRUGA (*do córki, stojącej obok*).

Tylko, Zosieńku, podnieś wzrok!

Może senator cię obaczy...

STAROSTA.

Jeżeli o mnie się zahaczy,

Dam rękojeścią (*biorąc za karabelę*) — w bok.LEWA STRONA (*chórem*):

Ach, jaka świetność, przepych jaki!

Ah, quelle beauté, quelle grace!

PRAWA STRONA.

Ach, szelmy, lotry, ach, lajdaki!

Żeby ich piorun trzasł!

(*Z prawej strony między młodzieżą*).

JUSTYN POL *(do Bestużewa, pokazując na senatora).*

Chcę mu scyzoryk mój w brzuch wsadzić
Lub zamałować w pysk.

BESTUŻEW.

Cóż stąd? Jednego łotra zgładzić
Lub obić — co za zysk?
Oni wyszukają przyczyny,
By uniwersytet znieść,
Krzyknąć, że ucnie jakóbiny,
I waszą młodzież zjeść.

JUSTYN POL.

Lecz on zapłaci za męczarnie.
Za tyle krwi i łez.

BESTUŻEW.

Cesarz ma u nas liczne psiarnie:
Cóż, że ten zdechnie pies?

JUSTYN POL.

Nóż świerzbi w rękę: pozwól ubić!

BESTUŻEW.

Ostrzegam jeszcze raz!

JUSTYN POL.

Pozwól przynajmniej go wyczubić.

BESTUŻEW.

A zgubić wszystkich was!

JUSTYN POL.

Ach, szelmy, łotry — ach, zbrodniarze!

BESTUŻEW.

Muszę cię wywieść za próg.

JUSTYN POL.

Czyż go to za nas nikt nie skarże?
Nikt się nie pomści?!...

(Ochodzą ku drzewom).

KS. PIOTR.

Bóg!

(Nagle muzyka się zmienia i gra arję komandora).

TAŃCZACY.

Co to jest? — Co to?

GOŚCIE.

Jaka muzyka ponura!

JEDEN (patrząc w okno).

Jak ciemno. Patrz-no, jaka zebrała się chmura!

(Zamyka okno. Słychać zdala grzmot).

SENATOR.

Cóż to? Czemu nie grają?

DYREKTOR MUZYKI.

Zmylili się.

SENATOR.

Palki!

DYREKTOR.

Bo to miano grać różne z opery kawalki —

Oni nie zrozumieli, i stąd zamieszanie.

SENATOR.

No, no, no! — *Arrangez donc.* — No, panowie, panie!

(Słychać krzyk wielki za drzwiami).

PANI ROLLISON (za drzwiami, okropnym głosem).

Puszczaj mię, puszczaj!...

SEKRETARZ.

Ślepa?

LOKAJ (strwożony).

Widzi! — Patrz, jak sadi!

Po schodach! Zatrzymajcie!

DRUDZY LOKAJE.

Kto jej co poradzi!

PANI ROLLISON.

Ja go znajdę tu, tego pijaka, tyrana!

LOKAJ (*chce zatrzymać — ona obala jednego z nich*).

A, patrz, jak obalila! — A! a! opętana!
(*Uciekają*).

PANI ROLLISON.

Gdzie ty! — Znajdę cię, mózgi na bruku rozbiję,
Jak mój syn! Ha tyranie! Syn mój, syn nie żyje!
Wyrzucili go oknem! — Czy ty masz sumienie?
Syna mego tam, z góry, na bruk, na kamienie!...
Ha, ty pijaku stary, zbryzgany krwią tyłu
Niewiniątek, pójdź! Gdzie ty, gdzie ty, krokodylu!
Ja ciebie tu rozedrę, jak mój Jaś, na sztuki!...
Syn!... Wyrzucili z okna, z klasztoru, na bruki!...
Me dziecko, mój jedynak, mój ojciec żywiciel!...
A ten żyje, i Pan Bóg jest, i jest Zbawiciel?

KS. PIOTR.

Nie bluźń, kobieto! Syn twój zraniony, lecz żyje.

PANI ROLLISON.

Żyje? Syn żyje? — Czyje to są słowa, czyje?
Czy to prawda, mój księże? — Ja zaraz pobiegłam —
„Spadł” krzyczą! Biegę — wzięli — i zwłok nie dostrzegłam,
Zwłok mego jedynaka! — Ja biedna sierota!
Zwłok syna nie widziałam! Widzisz — ta ślepotą!
Lecz krew na bruku czułam. — Przez Boga żywego,
Tu czuję krew tę samą! Tu krew syna mego!...
Tu jest ktoś krwią zbryzgany — tu, tu jest kat jego!
(*Idzie prosto do senatora. Senator umyka się. Pani Rollison pada
zemdlna na ziemię. Ks. Piotr jeden podchodzi do niej ze starostą.
Słychać uderzenie piorunu.*)

WSZYSCY (*złęknieni*).

Słowo stało się ciałem! — To tu!

INNI.

Tu, tu!

KS. PIOTR.

Nie tu.

JEDEN (*patrząc w okno*).

Jak blisko! W sam róg domu uniwersytetu.

SENATOR (*podchodzi do okna*).

Okna doktora!

KTOŚ Z WIDZÓW.

Słyszysz w domu krzyk kobiety?

KTOŚ NA ULICY (*śmiejąc się*).

Cha, cha, cha! Djabli wzięli!

PELIKAN (*wbiega zmieszany*).

SENATOR.

Nasz doktor?...

PELIKAN.

Zabity

Od piorunu!... Fenomen ten godzien rozbiorów:
Okolo domu stało dziesięć konduktorów,
A piorun go w ostatnim pokoju wytropił.
Nie nie zepsuł i tylko ruble srebrne stopił.
Srebro leżało w biurku, tuż u głów doktora,
I zapewne służyło dziś za konduktora.

STAROSTA.

Ruble rosyjskie, widzę, bardzo niebezpieczne.

SENATOR (*do dam*).

Panie zmieszały taniec — jak panie niegrzeczne!

(*Widząc, że ratują panią Rollison*).

Wynieście ją, wynieście — pomóż tej kobiecie!

Wynieście ją!

KS. PIOTR.

Do syna?

SENATOR.

Wynieście, gdzie chcecie!

KS. PIOTR.

Syn jej jeszcze nie umarł, on jeszcze oddycha;

Pozwól mnie iść do niego!

SENATOR.

Idź, gdzie chcesz, do licha.

(*Do siebie*).

Doktor zabity... Ah! Ah! Ah! *C'est inconcevable!*

Ten ksiądz mu przepowiedział... Ah! Ah! Ah! *c'est diable!*

(*Do kompanji*).

No, i coś w tem strasznego? — Wiosną idą chmury,

Z chmury piorun wypada — taki bieg natury.

SOWIETNIKOWA (*do męża*).

Już gadajcie, co chcecie, a strach zawsze strachem.
Ja nie chcę dłużej z wami być pod jednym dachem;
Mówiłam: mężu, nie leż do tych spraw dziecinnych!...
Pókiś knutował żydów, chociaż i niewinnych,
Milczałam — ale dzieci!... A widzisz doktora?

SOWIETNIK.

Głupia jesteś.

SOWIETNIKOWA.

Do domu wracam, jestem chora...

(*Słychać znówu grzmot. Wszyscy uciekają: naprzód lewa, potem
prawa strona. Zostają senator, Pelikan, ks. Piotr*)

SENATOR (*patrzac za uciekającymi*).

Przeklęty doktor! Żyjąc, nudził mnie do mdłości,
A jak zdechł, patrzaj, jeszcze rozpędza mi gości.

(*Do Pelikana*).

Voyez, jak ten ksiądz patrzy — voyez, *quel oeil hagara*;
To jest dziwny przypadek, *un singulier hasard*...
Powiedzno, mój księżuniu, czy masz jakie czary?
Skąd przewidziałeś piorun? — Może boskie kary?

(*Ksiądz milczy*).

Prawdę mówiąc, ten doktor troszeczkę przewinił...
Prawdę mówiąc, ten doktor nad powinność czynił...
On aurait fort à dire — kto wie, są przestrogi...
Mój Boże, czemu prostej nie trzymać się drogi!
No, i cóż, księżu? — Milczy! Milczy i zwiesił nos.
Ale go puszczę wolno — *on dirait bien des choses!*
(*Zamyśla się*).

PELIKAN.

Cha, cha! Jeśli śledztwo jest niebezpieczeństwem,
Toćby nas przecie piorun zaszczycił pierwszeństwem!

KS. PIOTR.

Opowiem wam dwie dawne, ale pełne treści...

SENATOR (*ciekawy*).

O piorunie? — Doktorze? — Mów!

KS. PIOTR.

Dwie przypowieści.
Onego czasu w upał przyszli ludzie różni

Zasnąć pod cieniem muru — byli to podróżni.
Między nimi był zbójca; a gdy inni spali,
Anioł Pański zbudził go: „Wstań, bo mur się wali!”
On zbójca był ze wszystkich innych najzłośliwszy:
Wstał, a mur inne pobił. On, ręce złożywszy,
Bogu dziękował, że mu ocalono zdrowie,
A Pański anioł stanął przed nim i tak powie:
„Ty najwięcej zgrzeszyłeś: kary nie wyminiysz,
Lecz ostatni, najgłośniej, najhaniebniej zginiesz”.

A druga powieść taka. Za czasu dawnego
Pewny wódz rzymski pobił króla potężnego
I kazał na śmierć zabić wszystkie niewolniki,
Wszystkie rotmistrze pulków i wszystkie setniki,
Ale króla samego przy życiu zostawił,
Tudzież starosty, tudzież pułkownicy zbawił.
I mówili do siebie głupi więźnie owi:
„Będziem żyć, podziękujmy za życie wodzowi!”
Aż jeden żołnierz rzymski, co im posługował,
Rzekł im: „Zaprawdę, wódz was przy życiu zachował,
Bo was przykuje przy swym triumfalnym wozie,
I będzie oprowadzał po całym obozie,
I do miasta powiedzie — bo wy z tych jesteście,
Których wodzą po Rzymie, onem sławnem mieście,
Aby lud rzymski krzyknął: „Patrzcie, co wódz zrobił!
On takie króle, takie pułkownicy pobił!”
Potem, gdy was w łańcuchach złotych oprowadzi,
Odda was w ręce kata, a kat was osadzi
Na głębokie, podziemne i ciemne wygnanie,
Kędy będzie płacz wieczny i zębów zgrzytanie.”
Tak mówił żołnierz rzymski. Do żołnierza tego
Król, gromiąc, rzekł: „Twe słowa są słowa głupiego;
Czyś ty kiedy na ucztach z twoim wodzem siedział,
Ażebyś jego rady, jego myśli wiedział?”
Zgromiwszy, pił i śmiał się z swymi współwięźniami,
Ze swymi hetmanami i pułkownikami.

SENATOR (zmudzony).

Il bat la campagne. Księżę, gdzie chcesz, ruszaj sobie!
Jeśli cię jeszcze złowię — tak skórę oskrobie,

Ze cię potem nie pozna twa matka rodzona,
I będziesz mi wyglądał, jak syn Rollisona.

(Senator odchodzi do swoich pokojów z Pelikanem. Ks. Piotr idzie ku drzewom i spotyka Konrada, który, prowadzony na śledztwo od dwóch żołnierzy, ujrzawszy księdza, wstrzymuje się i patrzy nań długo).

KONRAD.

Dziwna rzecz! Nie widziałem nigdy tej postaci,
A znam go, jak jednego z mych rodzonych braci.
Czy to we śnie? — Tak, we śnie; teraz przypominałem...
Taż sama twarz, te oczy... We śnie go widziałem.
On to, zdało się, że mnie wyrывał z otchłani.

(Do księdza).

Mój księże, choć jesteśmy mało sobie znani,
— Przynajmniej ksiądz mię nie znasz — przyjmij dziękczynnie.
Za łaskę, którą tylko zna moje sumienie. [nie
Drodzy są — i widziani we śnie — przyjaciele,
Gdy prawdziwych na jawie widzim tak niewiele.
Weź, proszę, ten pierścionek — sprzedaj! Daj połowę
Ubogim, drugą na mszę, za dusze czyścowe!
Wiem, co cierpią, jeżeli czyścić jest niewola...
Mnie, kto wie, czy już kiedy słuchać mszy pozwola.

KS. PIOTR.

Pozwola. — Za pierścionek ja ci dam przestrożę:
Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie —
Szukaj męża, co więcej, niżli oni, umie!
Poznasz, bo cię powita pierwszy w imię Boże —
Słuchaj, co powie!...

KONRAD *(wpatrując się)*.

Cóż to? Tyżeś?... Czy być może?
Stój na chwilę!... Dla Boga!...

KS. PIOTR.

Bywaj zdrów! Nie mogę.

KONRAD.

Jedno słowo...

ŻOŁNIERZ.

Nie wolno! Każdy w swoją drogę.

SCENA IX.
NOC DZIADÓW.

Opodał widać kaplicę, cmentarz: GUŚLARZ i KOBIEŃKA w żałobie.

GUŚLARZ.

Już idą w cerkiew gromady,
I wkrótce zaczną się Dziady.
Iść nam pora, już noc głucha.

KOBIEŃKA.

Ja tam nie pójde, guślarzu..
Ja chcę zostać na cmentarzu,
Chcę jednego widzieć ducha:
Tego, co przed laty wielu
Zjawił się po mem weselu,
Co pośród duchów gromady
Stanął nagle krwawy, blady
I mnie dzikiem okiem łowił
I ani słowa nie mówił.

GUŚLARZ.

On żył może, gdym go badał;
Dlatego nie odpowiadał,
Bo na duchów zgromadzenie,
W tajemniczą noc na Dziady
Można wzywać żywych cienie.
Ciała będą u biesiady,
Albo u gry, albo w boju
I zostaną tam w pokoju —
Dusza, zwana po imieniu,
Objawia się w lekkim cieniu,
Lecz, póki żyje, ust nie ma,
Stoi biała, głucha, niema.

KOBIEŃKA.

Cóż znaczyła w piersiach rana

GUŚLARZ.

Widać, że w duszę zadana.

KOBIEŃKA.

Ja tu sama zgubię drogę.

GUŚLARZ.

Ja tu z tobą zostać mogę.
 Tam beze mnie robią czary
 Jest tam inny guślarz stary. —
 Czy słyszysz te śpiewy w dali?
 Już się tam ludzie zebrali.
 Pierwszą klątwę już zakleli,
 Klątwę wianka i kądzieli;
 Wezwali powietrznych duchów.
 Widzisz tych światel tysiące,
 Jakby gwiazdy spadające?
 Ten ognistych ciąg łańcuchów?
 To powietrznych roje duchów.
 Patrz, już nad kaplicą świecą
 Pod czarnym niebios obszarem,
 Jak gołębie, kiedy lecą
 W nocy nad miasta pożarem,
 Gdy, białemi skrzydeł puchy
 Odbijając żar ogniska,
 Ptastwo, jak stado gwiazd, błyska.

KOBIEŃ.

On nie będzie z temi duchy!

GUŚLARZ.

Widzisz, blask z kaplicy bucha.
 Teraz klęli ognia władzę:
 Ciała w mocy złego ducha
 Z pustyń, z mogił wyprowadzą.
 Tędy będą ciągnąć duchy;
 Poznasz go, jeśli pamiętasz.
 Ukryj się za mną w dąb suchy,
 W ten dąb suchy i wygnily;
 Tu się niegdyś wróżki kryły.
 Już rusza się cały cmentarz:
 Rozwierają się mogiły,
 Wybuchnął płomyk niebieski,
 Podskakują w górę deski,
 Wysuwają potępieńce
 Blade głowy, długie ręce...
 Widzisz oczy, jak żarzewie?
 Schowaj oczy, skryj się w drzewiel

Upiór zdala wzrokiem piecze,
Lecz guślarza nie urzeczce.
Ha!

KOBIETA.

Co widzisz?

GUŚLARZ.

Trup to świeży,
W nieznajomości jeszcze odzieży...
Dymem siarki traci wkoło,
Czarne ma, jak węgiel, czoło —
Zamiast oczu, w jamach czaszki
Zarzą się dwie złote blaszki,
A w środku każdego kółka
Siedzi djablik, jak w źrenicy,
I wywraca wciąż koziółka,
Miga lotem błyskawicy.
Trup tu bieży, zębem zgrzyta —
Z ręki przelewa do ręki,
Jak gdyby z sita do sita,
Wrzące srebro... Słyszysz jęki?

WIDMO.

Gdzie kościół? — Gdzie kościół? — Gdzie Boga lud chwali,
Gdzie kościół? Ach pokaż, człowiecze!
Ach, widzisz, jak we łbie ten dukat mię pali,
Jak srebro stopione dłoń piecze?
Ach, wylej, człowieku dla biednej sieroty,
Dla więźnia jakiego, dla wdowy,
Ach, wylej mi z ręki żar srebrny i złoty,
I dukat ten wylup mi z głowy!

Ty nie chcesz! Ha, kruszec przelewać ja muszę,
Aż kiedyś ten dzieci pożerca
Wyzionie łakomą, bezdenną swą duszę —
Ten kruszec mu wleję do serca.
A potem przez oczy, przez uszy wyleję
I znowu ten wleję korytem,
I będę tym trupem obracać, jak sitem:
Naleję, wyleję, przesieję!
Ach, kiedyż przez niego ten kruszec przesieję!
Ach, czekać tak długo! — Goreję! Goreję!
(*Ucieka*).

GUŚLARZ.

Ha!

KOBIEŃA.

Co widzisz?

GUŚLARZ.

Ha, jak blisko!

/rugi wylazł, ku nam bieży...
Jakie obrzydłe trupisko!
Blade, tłuste! Trup to świeży
I strój świeży ma na ciele:
Ubrany, jak na wesele —
I gad niedawno go toczy,
Ledwie mu wpół wygryzł oczy.

Od kaplicy w stronę skoczył:
Czart go uwiódł, czart zamroczył,
Nie puści go do kaplicy.
Czart przybrał postać dziewicy
I na trupa rączką kiwa,
Okiem mruga, śmiechem wzywa.
Skacze ku niej trup zwiedziony,
Z grobu na grób, jak szalony,
I rękami i nogami
Wije, jak wiatrak skrzydłami;
Już pada do jej uścisków —
Wtem z pod nóg jego wytryska
Dziesięć długich, czarnych pysków —
Wyskakują czarne psiska,
Od nóg lubej go porwały —
I targają na kawały,
Członki krwawym pyskiem trzęsa.
Po polu roznoszą mięso.

Psy zniknęły. — Nowe dziwo!
Każda część trupa jest żywa;
Wszystkie, jak oddzielne trupy,
Biegą zebrać się do kupy.
Głowa skacze, jak ropucha,
I nozdrzami ogień bucha —
Czołgają się piersi trupa,
Jak wielka żółwia skorupa...

Już zrosła się głowa z ciałem:
Jak krokodyl, bieży cwałem —
Oderwanej ręki palce
Drżą, wiją się, jak padalce,
Dłoń za piasek chwyta, grzebie
I ciągnie rękę pod siebie —
I nogi się przyczolgały —
I znowu trup wstaje cały,
Znowu wabi ulubiona,
Znowu pada w jej ramiona,
Znowu go porwały czarty,
I znowu w sztuki rozdarty...
Ha, niech go więcej nie widzę!

KOBIETA.

Tak się boisz?

GUŚLARZ.

Tak się brzydzę!
Żółwie, padalce, ropuchy —
W jednym trupie tyle gadów!

KOBIETA.

On nie będzie z temi duchy!

GUŚLARZ.

Wkrótce, wkrótce koniec Dziadów.
Słyszysz? Trzeci kur już pieje.
Tam śpiewają ojców dzieje,
I rozchodzą się gromady.

KOBIETA.

I nie przyszedł on na Dziady!

GUŚLARZ.

Jeśli duch ten jeszcze w ciele,
Wymów teraz jego imię!
Ja na czarodziejskie ziele
W tajemniczym zaklnę rymie —
I duch ciało swe zostawi,
I przed tobą się objawi.

KOBIETA.

Wymówiłam.

GUŚLARZ.

On nie słucha...

Ja zakląłem.

KOBIEŃA.

Niema ducha!

GUŚLARZ.

O kobieto! Twój kochanek
Albo zmienił ojców wiarę
Albo zmienił imię stare.
Widzisz, już zbliża się ranek...
Guśła nasze moc straciły,
Nie pokaże się twój miły.

(Wychodzą z drzewa).

Cóż to? Cóż to? — Patrz: z zachodu,
Tam, od Giedymina grodu,
Śród gęstych kłębów zamieci,
Kilkadzieści wozów leci!
Wszystkie lecą ku północy,
Lecą, ile w koniach mocy.
Widzisz? Jeden tam na przedzie
W czarnym stroju...

KOBIEŃA.

On!

GUŚLARZ.

Tu jedzie.

KOBIEŃA.

I znowu nazad zawrócił,
I tylko raz okiem rzucił,
Ach, raz tylko... Jakie oko!

GUŚLARZ.

Piers miał zbroczoną posoką,
Bo w tej piersi jest ran wiele;
Straszne cierpi on katusze.
Tysiąc mieczów miał on w ciele,
A wszystkie przeszły — aż w duszę.
Śmierć go chyba z ran uleczy.

KOBIEŃA.

Któż weń wraził tyle mieczy?

GUŚLARZ.

Narodu nieprzyjaciele.

KOBIEŃA.

Jedną ranę miał na czole,
Jedną tylko i niewielką —
Zda się być czarną kropelką.

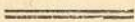
GUŚLARZ.

Ta największe sprawia bole.
Jam ją widział, jam ją zbadał:
Tę ranę sam sobie zadał...
Śmierć z niej uleczyć nie może.

KOBIEŃA.

Ach, ulecz go, wielki Boże!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.



„DZIADÓW“ CZĘŚCI III-ej USTĘP.

DROGA DO ROSJI.

Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie
Leci kibitka, jako wiatr w pustynie —
I oczy moje, jako dwa sokoly,
Nad oceanem nieprzejrzanym krążą:
Porwane burzą, do lądu nie zdążą,
A widzą obce pod sobą żywioły;
Nie mają kędy spocząć, skrzydła zwinąć —
W dół patrzą, czując, że tam muszą zginąć.

Oko nie spotka ni miasta, ni góry,
Żadnych pomników ludzi, ni natury;
Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
Jak gdyby wczora wieczorem stworzona,
A przecież nieraz mamut z tych ziem wstaje,
Żeglarz, przybyły z falami potopu,
I mową, obcą moskiewskiemu chłopu,
Głosi, że dawno stworzone te kraje,
I w czasach wielkiej Noego żeglugi
Ład ten handlował z azyjskimi smugi —
A przecież nieraz książka, ukradziona
Lub gwałtem wzięta, przybywszy z zachodu,
Mówi, że ziemia ta niezaludniona
Już niejednego jest matką narodu.
Lecz nurt potopu szedł przez te płaszczyzny,
Nie zostawiwszy dróg swojego rycia —
I hordy ludów wyszły z tej ojczyzny,
Nie zostawiwszy śladów swego życia —
I gdzieś daleko, na alpejskiej skale,
Ślad zostawiły, stąd przybyłe, fale —
I jeszcze dalej, na Rzymu pomnikach,
O stąd przybyłych mówią rozbójnikach.

Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta —
Czyż na niej pisać będzie palec Boski
I, ludzi dobrych używszy za głoski,
Czyliż tu skreśli prawdę świętej wiary,
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem,
Że trofeami świata są — ofiary?
Czyli też Boga nieprzyjaciół stary
Przyjdzie i w księdze tej wyrze mieczem,
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty,
Że trofeami ludzkości są — knuty?

Po polach białych, pustych wiatr szaleje
Bryły zamieci odrywa i ciska;
Lecz morze śniegów, wzdęte, nie czernieje:
Wyzwane wichrem, powstaje z łożyska,
I znowu, jakby nagle skamieniałe,
Pada, ogromne, jednostajne, białe.
Czasem ogromny huragan wylata
Prosto z biegunów: niewstrzymany w biegu,
Aż do Euxinu równinę zmiata —
Po całej drodze miecąc chmury śniegu,
Często podróżne kibitki zakopie,
Jak symum błędnych Libów przy Kanopie.
Powierzchnie białych, jednostajnych śniegów
Gdzieniegdzie ściany czarniawe przebodły
I sterczą nakształt wysp i ładu brzegów.
To są północne świerki, sosny, jodły.

Gdzieniegdzie drzewa, siekierą zrąbane,
Odarte i w stos złożone poziomy,
Tworzą kształt dziwny, jakby dach i ścianę
I ludzi kryją i zowią się — „domy”.
Dalej tych stosów rzucone tysiące
Na wielkiem polu — wszystkie jednej miary.
Jak kitki czapek, dmą z kominów pary,
Jak ładownice — okienka błyszczące;
Tam domy rzędem, szykowane w pary,
Tam czworoboki, tam kształtnym obwodem,
I taki domów pułk zowie się — „grodem”.

Spotykam ludzi z rozrosłymi barki,
Z piersią szeroką, z otyłymi karki;

Jako zwierzęta i drzewa północy,
Pełni czerstwości i zdrowia i mocy —
Lecz twarz każdego jest, jak ich kraina:
Pusta, otwarta i dzika równina
I z ich serc, jako z wulkanów podziemnych,
Jeszcze nie przeszedł ogień aż do twarzy,
Ani się w ustach rozognionych żarzy,
Ani zastyga w czoła zmarszczkach ciemnych,
Jak w twarzach ludzi wschodu i zachodu,
Przez które przeszło tyle po kolei
Podań i zdarzeń, żalów i nadziei,
Że każda twarz jest pomnikiem narodu.
Tu oczy ludzi, jak miasta tej ziemi,
Wielkie i czyste; i nigdy zgiełk duszy
Niezwyczajnym ruchem żrenic nie poruszy —
Nigdy ich długa żalność nie zaciemni.
Z daleka patrząc — wspaniałe, przecudne;
Wszedłszy do środka — puste i bezludne.
Ciało tych ludzi, jak gruba tkanica,
W której zimuje dusza-gąsienica,
Nim sobie piersi do lotu wyrobi,
Skrzydła wypszędzie, wytcze i ozdobi;
Ale, gdy słońce wolności zaświeci,
Jakież z powłoki tej owad wyleci:
Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię,
Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?

Na wskroś pustyni krzyżują się drogi.
Nie przemysł kupców ich ciągi wymyślił.
Nie wydeptały ich karawan nogi:
Car ze stolicy palcem je nakreślił.
Gdy z polską wioską spotkał się ubogą,
Jeżeli trafił w polskich zamków ściany —
Wioska i zamek wnet z ziemią zrównany,
I car ruiny ich zasypał — drogą.
Drogi tych nie dojrzeć w polu między śniegi,
Ale wśród puszczy dośledzi je oko:
Proste i długie, na północ się wloką,
Świecą się w lesie, jak w skałach rzek biegi.

I po tych drogach któż jeździ? — Tu cwałem
Konnica wali, przyprószona śniegiem,

A stamtąd czarnym piechota szeregiem
Między dział, wozów i kibitek waleń.
Te pułki podług carskiego ukazu
Ciagną ze wschodu, by walczyć z północą —
Tamte z północy idą do Kaukazu;
Żaden z nich nie wie, gdzie idzie i poci —
Żaden nie pyta. Tu widzisz Mongoła
Z nabrzmiałem licem, małym, krzywem okiem —
A tam chłop biedny z litewskiego sioła,
Wybladły, tęskny, idzie chorym krokiem.
Tu błyszczą strzelby angielskie, tam łuki,
I zmarzłą niosą cięciwę Kalmuki.
Ich oficery? — Tu Niemiec w karecie,
Nucąc Szylera pieśń sentymentalną,
Wali spotkanych żołnierzy po grzbiecie —
Tam Francuz, gwiżdżąc w nos pieśń liberalną.
Błędny filozof, karyery szuka,
I gada teraz z dowódcą Kalmuka,
Jakby najtaniej wojsku żywność kupić.
Cóż, że połowę wymorzą tej zgrai?
Kasy połowę będą mogli złupić —
I, jeśli zręcznie dzieło się utai,
Minister wzniesie ich do wyższej klasy,
A car da order za oszczędność kasy.

A wtem kibitka leci. — Przednie strażę
I dział lawety i chorych obozy
Pryskają z drogi, kędy się ukaże;
Nawet dowódców ustępują wozy.
Leci kibitka; żandarm powoźnika
Wali kułakiem, powoźnik żołnierzy
Wali biczykiem — wszystko z drogi zmyka;
Kto się nie umknał, kibitka nań wbieży.
Gdzie? — Kto w niej jedzie? — Nikt nie śmie zapytać
Żandarm tam jechał — pędzi do stolicy;
Zapewne cesarz kazał kogoś schwytać.
„Może ten żandarm jedzie z zagranicy?”
— Mówi generał. — „Kto wie, kogo złowić?”
Może król pruski, francuski, lub saski,
Lub inny Niemiec wypadł z cara łaski,
I car go w turmie zamknąć postanowił;

Może ważniejsza pochwycona głowa,
 Może samego wiozą Jermołowa!
 Kto wie! Ten więzień, chociaż w słomie siedzi,
 Jak dziko patrzy! Jaki to wzrok dumy:
 Wielka osoba! — Za nim wozów tłumy —
 To pewnie orszak nadwornej gawiedzi;
 A wszyscy — patrz-no, jakie oczy śmiałe!
 Myślałem, że to pierwsze carstwa pany,
 Że jenerały, albo szambelany —
 Patrz, oni wszyscy — to są chłopcy małe,
 Co to ma znaczyć, gdzie ta zgraja leci?
 Jakiegoś króla podejrzane dzieci“.
 Tak z sobą cicho dowódcy gadali —
 Kibitka prosto do stolicy wali.

PRZEDMIEŚCIA STOLICY.

Zdała, już zdała widno, że stolica
 Po obu stronach wielkiej, pysznej drogi —
 Rzędy pałaców. — Tu niby kaplica
 Z kopułą, z krzyżem — tam, jak siana stogi,
 Posągi stoją pod słomą i śniegiem —
 Owdzie, za kolumn korynckich szeregami,
 Gmach z płaskim dachem, pałac letni, włoski —
 Obok japońskie, mandaryńskie kioski,
 Albo z klasycznych czasów Katarzyny
 Świeżo małpione klasyczne ruiny.
 Różnych porządków, różnych kształtów domy,
 Jako zwierzęta z różnych końców ziemi,
 Za parkanami stoją żelaznemi,
 W osobnych klatkach. — Jeden niewidomy
 Pałac krajowej ich architektury,
 Wymyśli ich głowy, dziecko ich natury.
 Jakże tych gmachów cudowna robota!
 Tyle kamieni na kępach śród błota!
 W Rzymie, by dźwignąć teatr dla cesarów,
 Musiano niegdyś wylać rzekę złota:
 Na tem przedmieściu podle służi carów,
 By swe rozkoszne zamtuzy dźwignęli,
 Ocean naszej krwi i łez wyleli.

Żeby zwieźć glazy do tych obelisków,
 Ileż wymyślić trzeba było spisków,

Ilu niewinnych wygnać, albo zabić,
Ile ziem naszych okraść i zagrabić —
Póki krwią Litwy, łzami Ukrainy
I złotem Polski hojnie zakupiono
Wszystko, co mają Paryże, Londyny,
I po modnemu gmachy wystrojono,
Szampanem zmyto podłogi bufetów
I wydeptano krokiem menuetów!

Teraz tu pusto. — Dwór w mieście zimuje,
I dworskie muchy, ciągnące za wonią
Carskiego ścierwa, za niem w miasto gonia.
Teraz w tych gmachach wiatr tylko tańczy;
Panowie w mieście, car w mieście. — Do miasta
Leci kibitka. Zimno, śnieżno było;
Z zegarów miejskich zagrziała dwunasta,
A słońce już się na zachód chyliło;
Niebios sklepienie otwarte szeroko,
Bez żadnej chmurki, czcze, ciche i czyste,
Bez żadnej barwy, blade przezroczyste,
Jako zmarzłego podróżnika oko.

Przed nami miasto. Nad miastem do góry
Wznoszą się dziwnie, jak podniebne grody,
Słupy i ściany, krużganki i mury,
Jak babilońskie wiszące ogrody:
To dymy z dwiestu tysięcy kominów
Prosto i gęsto kolumnami lecą;
Te, jak marmury kararyjskie, świecą,
Tamte się żarzą iskrami rubinów —
W górze wierzchołki zginają i łączą,
Kręcą w krużganki i łukami płaczą.
I ścian i dachów malują widziadła:
Jak owe miasto, co nagle powstanie
Ze śródziemnego czystych wód zwierciadła,
Lub na libijskim wybuchnie tumanie,
I wabi oko podróżnych z daleka,
I wiecznie stoi, i wiecznie ucieka.

Już zdjęto łańcuch, bramy otwierają —
Trzęsą, badają, pytają — wpuszczają.

PETERSBURG.

Za dawnych greckich i italskich czasów
 Lud się budował pod przybytkiem Boga:
 Nad źródłem nimfy, pośród świętych lasów —
 Albo na górach chronił się od wroga.
 Tak zbudowano Ateny, Rzym, Spartę. —
 W wieku gotyckim pod wieżą barona,
 Gdzie była cała okolic obrona,
 Stawały chaty, do wałów przyparte —
 Albo, pilnując splawnej rzeki cieków,
 Rosły powoli z postępami wieków.
 Wszystkie te miasta jakieś bóstwo wzniosło,
 Jakiś obrońca, lub jakieś rzemiosło.

Ruskiej stolicy jakież są początki?
 Skąd się zachciało słowiańskim tysiącom
 Leżć w te ostatnie swoich dzierżaw kątki,
 Wydarte świeżo morzu i Czuchoncom?
 Tu grunt nie daje owoców ni chleba,
 Wiatry przynoszą tylko śnieg i sloty —
 Tu zbyt gorące lub zbyt zimne nieba,
 Srógie i zmienne, jak humor despoty!
 Nie chcieli ludzie — błotne okolice
 Car upodobał i stawić rozkazał
 Nie miasto ludziom — lecz sobie stolicę;
 Car tu wszechmocność woli swej pokazał.

W głąb ciekłych piasków i błotnych zatopów
 Rozkazał wpędzić sto tysięcy palów
 I wdeptać ciała stu tysięcy chłopów —
 Potem, na palach i ciałach Moskalów
 Grunt założywszy, inne pokolenia
 Zaprzaglił do taczek, do wozów, okrętów,
 Sprowadzać drzewa i sztuki kamienia
 Z dalekich łądów i z morskich odmetów.

Przypomniiał Paryż — wnet paryskie place
 Kazał budować. Widział Amsterdamy —
 Wnet wodę wpuścił i porobił tamy.
 Słyszał, że w Rzymie są wielkie pałace —

Pałace stają. Wenecka stolica,
Co wpół na ziemi, a do pasa w wodzie
Pływa, jak piękna syrena-dziewica,
Uderza cara — i zaraz w swym grodzie
Porzwał błotniste kanałami pole,
Zawiesił mosty i puścił gondole.
Ma Wenecję, Paryż, Londyn drugi —
Prócz ich piękności, poloru, żeglugi.
U architektów sławne jest przysłowie,
Że ludzi ręką był Rzym zbudowany,
A Wenecją stawili bogowie —
Ale, kto widział Petersburg, ten powie,
Że budowały go chyba szatany.

Ulice wszystkie ku rzece pobiegły,
Szerokie, długie, jak wawozy w górach.
Domy ogromne: tu glazy, tam cegły,
Marmur na glinie, glina na marmurach,
A wszystkie równe i dachy i ściany,
Jak korpus wojska, na nowo ubrany.
Na domach pełno tablic i napisów;
Śród pism tak różnych, języków tak wielu
Wzrok, ucho błądzi, jak w wieży Babelu.
Napis: „*Tu mieszka Achmet, han Kirgisów,*
Rządzący polskich spraw departamentem
Senator“; napis: „*Tu Monsieur Żoko*
Lekcje daje paryskim akcentem;
Jest kuchtą dworskim, wódczanym poborcą,
Basem w orkiestrze, przytem szkół dozorcą“,
Napis: „*Tu mieszka Włoch Piacere Gioco,*
Robił dla frejlin carskich salcesony,
Teraz panieński pensyon otwiera“;
Napis: „*Mieszkanie pastora Dienera.*
Wielu orderów carskich kawalera.
Dziś na kazanie wyklada z ambony,
Że car jest papież z Boskiego ramienia,
Pan samowładny wiary i sumienia,
I wzywa przytem braci kalwinistów,
Socynianów i anabaptystów,
Aby, jak każe imperator ruski
I jego wierny aliant, król pruski,

Przyjawszy nową wiarę i sumienie,
Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie";
Napis: „Tu stroje damskie“ dalej — „Nuty“ —
Tam robią: „Dzieciom zabawki“ — tam: „Knuty“.

W ulicach koczę, karety, landary,
Mimo ogromu i bystrego lotu
Na łyżwach błysną, znikną bez loskotu,
Jak w panorama czarodziejskie mary.
Na kozłach koczów angielskich brodaty
Siedzi woźnica: szron^{em} mu okrył szaty,
Brodę i wąsy i brwi — biczem wali;
Przodem na koniach lecą chłopcy mali
W kozuchach, istne dzieci Boreasza;
Świszczą piskliwie i gmin się rozprasza,
Pierzcha przed koczem saneczek gromada,
Jak przed okrętem białych kaczek stada.
Tu ludzie biegą — każdego mróz goni,
Żaden nie stanie, nie patrzy, nie gada —
Każdego oczy zmrużone, twarz blada,
Każdy trze ręce i zębami dzwoni,
I z ust każdego wyzioniona para
Wychodzi słupem, prosta, długa, szara;
Widząc te dymem buchające gminy,
Myślisz, że chodzą po mieście kominy.
Po bokach gminnej, cisnącej się trzody,
Ciagną poważnie dwa ogromne rzędy,
Jak procesye w kościelne obrzędy,
Lub jak nadbrzeżne bystrej rzeki lody.
I gdzież ta zgraja wlecze się powoli,
Na mróz nieczuła, jak trzoda soboli?
Przechadzka modna jest o tej godzinie
Zimno i wietrzno — ale któż dba o to?
Wszak cesarz tędy zwykł chodzić piechotą,
I cesarzowa i dworu mistrzyni!
Idą marszałki, damy, urzędniki,
W równych abugach: pierwszy, drugi, czwarty,
Jako rzucane z rąk szulera karty,
Króle, wyźniki, damy i niżniki,
Starki i młódki, czarne i czerwone,
Padają na tę i na ową stronę

Po obu stronach wspaniałej ulicy,
Po mostkach, lśniącem wysłanych granitem.
A naprzód idą dworscy urzędnicy:
Ten w futrze ciepłym, lecz nawpół odkrytem,
Aby widziano jego krzyżów cztery
(Zmarznie, lecz wszystkim pokaże order) —
Wyniosłem okiem równych sobie szuka
I, gruby, pełźnie wolnym chodem żuka.
Dalej gwardyjskie, modniejsze młokosy,
Proste i cienkie, jak ruchome piki,
W pół ciała tego związane, jak osy.
Dalej — z pochyłym karkiem czynownicy
Z pode łba patrzą, komu się pokłonić,
Kogo nadeptać, a od kogo stronić —
A każdy giętki, we dwoje skurczony,
Tuląc się, pełzną, jako skorpiony.
Pośrodku damy, jako pstre motyle,
Tak różne płaszcze, kapeluszów tyle.
Każda w paryskim świeci się stroiku
I nóżką, miga w futrzanym trzewiku —
Białe, jak śniegi, rumiane, jak raki. —
Wtem dwór odjeżdża; stanęły orszaki.
Podbiegły wozy, ciągnące, jak statki
Obok pływaczów w głębokiej kąpieli —
Już pierwsi w wozy wsiedli i zniknęli,
Za nimi pierzchły piechotne ostatki.
Niejeden kaszlem suchotniczym stęknę,
A przecież mówi: „Jak tam chodzić pięknie!
Cara widziałem i przed jenerałem
Nisko kłaniałem i z paziem gadałem!”

Szło kilku ludzi między tym natłokiem.
Różni od innych twarzą i odzieniem,
Na przechodzących ledwo rzucą okiem,
Ale na miasto patrzą z zadumieniem.
Po fundamentach, po ścianach, po szczytach,
Po tych żelazach i po tych granitach
Czepiają oczy, jakby próbowali,
Czy mocno każda cegła osadzona —
I opuścili z rozpaczą ramiona,
Jak gdyby myśląc: „Człowiek ich nie zwali!”

Dumali — poszli. — Został z jedenastu
Pielgrzym sam jeden. Zaśmiał się złośliwie,
Wzniósł rękę, ścisnął i uderzył mściwie
W głaz, jakby groził temu głazów miastu —
Potem na piersiach założył ramiona
I stał, dumając, i w cesarskim dworze
Utkwił żrenice dwie, jako dwa noże;
I był podobny wtenczas do Samsona,
Gdy, zdradą wzięty i skuty więzami,
Pod Filistynów dumiał kolumnami.
Na czoło jego, nieruchome, dumne,
Nagły cień opadł, jak całun na trumnę —
Twarz biała strasznie zaczęła się mroczyć —
Rzekłbyś, że wieczór, co już z niebios spadał,
Naprzód na jego oblicze osiadał
I stamtąd dalej miał swój cień roztoczyć.

Po prawej stronie już pustej ulicy
Stał drugi człowiek. — Nie był to podróżny,
Zdał się być dawnym mieszkańcem stolicy,
Bo, rozdawając między lud jałmużny,
Każdego z biednych po imieniu witał —
Tamtych o żony, tych o dzieci pytał.
Odprawił wszystkich, wsparł się na granicie
Brzeżnych kanałów i wodził oczyma
Po ścianach gmachu i po dworca szczycie —
Lecz nie miał oczu owego pielgrzyma —
I wzrok wnet spuszczał, kiedy szedł z daleka
Biedny, żebrzący żołnierz lub kaleka.
Wzniósł w niebo ręce, stał i dumiał długo
W twarzy miał wyraz niebieskiej rozpacz;
Patrzył, jak anioł, gdy z niebios posługą
Między czyścowe dusze zstąpić raczy
I widzi całe w męczarniach narody,
Czuje, co cierpią, mają cierpieć wieki —
I przewiduje, jak jest kres daleki
Tylu pokoleń zbawienia: swobody.
Oparł się, płacząc, na kanałów brzegu;
Łzy gorzkie biegły i zginęły w śniegu,
Lecz Bóg je wszystkie zbierze i policzy, —
Za każdą odda ocean słodczy.

Późno już było. Oni dwaj zostali,
Oba samotni — i, chociaż odlegli,
Nakoniec jeden drugiego postrzegli
I długo siebie nawzajem zważali.
Pierwszy postąpił człowiek z prawej strony:
„Bracie — rzekł — widzę, żeś tu zostawiony
Sam jeden, smutny, cudzoziemiec może.
Co ci potrzeba, rozkaż w imię Boże!
Chrześcijaninem jestem i Polakiem,
Witam cię Krzyża i Pogoni znakiem“.

Pielgrzym, zbyt swemi myślami zajęty,
Otrząsnął głową i uciekł z wybrzeża;
Ale nazajutrz, gdy myśli swych męty
Zwolna rozjaśnia i pamięć odświeża,
Nieraz żałuje owego natręta.
Jeśli go spotka — pozna go, zatrzyma,
Choć rysów jego twarzy nie pamięta,
Lecz w głosie jego i w słowach coś było
Znanego uszom i duszy pielgrzymu...
Może się o nim pielgrzymowi śniło?...

POMNIK PIOTRA WIELKIEGO.

Z wieczora na dźdzu stali dwaj młodzieńce
Pod jednym płaszczem, wzięwszy się za ręce:
Jeden, ów pielgrzym, przybylec z zachodu,
Nieznana carskiej ofiara przemocy —
Drugi był wieszczem ruskiego narodu,
Sławny pieśniami na całej północy.
Znali się z sobą niedługo, lecz wiele —
I od dni kilku już są przyjaciele.
Ich dusze, wyższe nad ziemne przeszkody,
Jako dwie Alpów spokrewnione skały,
Co je na wieki rozerwał nurt wody,
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.
Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,
A wieszcz rosyjski tak rzekł cichym głosem:

„Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,
Druga carowa pamiątnik stawiała.

Już car, odlany w kształcie wielkoluda,
Siadł na brązowym grzbiecie Bucefała
I miejsca czekał, gdzieby wjechał konno;
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,
W ojczyźnie jemu nie dosyć przestronno:
Po grunt dla niego posłano za morze.
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży
Wzgórek granitu; ten na pani słowo
Płynie po morzu i po lądzie bieży,
I w mieście pada na wznak przed carową.
Już wzgórek gotów; leci car miedziany,
Car knutowładny w todze Rzymianina —
Wskakuje rumak na granitu ściany,
Staje na brzegu i w górę się wspina.

Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie
Kochanek ludów, ów Marek Aureli,
Który tem naprzód rozślał swe imię,
Że wygnał szpiegów i donosicieli,
A kiedy zdzierców domowych poskromił,
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu
Hordy najeźdźców barbarzyńskich zgromił,
Do spokojnego wraca Kapitolu.
Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło, —
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa,
Rękę poważnie wznosił, jak gdyby wkoło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca.
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze
I krzychał: „Cesarz, ojciec nasz, powraca!”
Cesarz chciał zwolna jechać między tlokiem,
Wszystkich ojcowskiem udarować okiem;
Koł wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci,
Lecz zna, że wiezie najmilszego z gości,
Że wiezie ojca milionom dzieci,
I sam hamuje ogień swej żywości;
Dzieci przyjsć blisko, ojca widzieć mogą —
Koł równym krokiem, równą stapa drogą.
Zgadniesz że dojdzie do nieśmiertelności.

„Car Piotr wypuścił rumakowi wodze, —
Widać, że leciał, tratując po drodze;

Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały.
Już koń szalony wzniósł w górę kopyta —
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta;
Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały!
Od wieku stoi, skacze, lecz nie spada,
Jako lecąca z granitów kaskada,
Gdy, ścięta mrozem, nad przepaścią zwiśnie;
Lecz, skoro słońce swobody zabłyśnie
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa,
I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?"

PRZEGLĄD WOJSKA. ✕

Jest plac ogromny; jedni zowią „szczwalcnią“:
Tam car psy wprawia, nim puści na zwierza —
Drudzy plac zowią grzeczniej „gotowalcnią“:
Tam car swe stroje próbuje, przymierza,
Nim, w rury, w piki, w działa ustrojony,
Wyjdzie odbierać monarchów pokłony.
Kokietka, idąc na bal do pałacu,
Nie tyle trawi przed zwierciadłem czasów,
Nie robi tyle umizgów, grymasów,
Ile car codziennie na tym swoim placu.
Inni w tym placu widzą szarańczarnię:
Mówią, że car tam hoduje nasiona,
Chmury szarańczy, która, wypasiona,
Wyleci kiedyś i ziemię ogarnie.
Są, co plac zowią „tocydłem chirurga“,
Bo tu car naprzód lancety szlifuje,
Nim, wyciągnawszy rękę z Petersburga,
Tnie tak, że cała Europa poczuje;
Lecz nim wyśledzi, jak głęboka rana,
Nim plastr obmyśli od nagłej krwi straty,
Już car puls przetnie szacha i sultana
I krew wypuści z pod serca Sarmaty.
Plac różnych imion — lecz w języku rządów
Zowie się „placem wojskowych przeglądów“.

Dziesiąta, ranek — już przeglądów pora.
Już plac okrąża ludu zgraja cicha,
Jako brzeg czarny białego jeziora;
Każdy się tłoczy, na środek popycha.

Po placu, jako rybitwy nad wodą,
Zwiją się kilku dońców i dragonów;
Ciekawsze głowy tylcem piki bodą,
Na bliższe karki sypią grad bizunów.
Kto wylał naprzód, jak żaba z bagniska,
Ze łbem się cofa i kark w tłumy wciska.
Słychać grzmot zdala głuchy, jednostajny,
Jak kucie młotów, lub młócenie cepów:
To bęben, pułków przewodnik zwyczajny;
Za nim szeregi ciągną się wzdłuż stepów
Mnogie i różne, lecz w jednym ubiorze:
Zielone, w śniegu czernią się z daleka;
I płynie każda kolumna, jak rzeka,
I wszystkie w placu tona, jak w jeziorze

Tu mi daj, muzo, usta stu Homerów,
W każde wsadź ze sto paryskich języków,
I daj mi pióra wszystkich buchhalterów,
Bym mógł wymienić owych pułkowników
I oficerów i podoficerów,
I szeregowych zliczyć bohaterów.

Lecz bohaterzy tak podobne sobie,
Tak jednostajne! Stoi chłop przy chłopie,
Jako rząd koni, żujących przy żłobie,
Jak kłosa, w jednym uwiązane snopie,
Jako zielone na polu konopie,
Jak wiersze książki, jak skiby zagonów,
Jak petersburskich rozmowy salonów...
Tyle dostrzegłem, że, jedni z Moskalów,
Wyżsi od drugich na pięć lub sześć calów,
Mieli na czapkach mosiężne litery,
Jakby łysinki: to grenadyery —
I było takich trzy zgraje wasalów;
Za nimi niżsi stali w mnogich rządach,
Jak pod liśćmi ogórki na grzędach.
Żeby rozróżnić pułki w tej piechocie,
Trzeba mieć bystry wzrok naturalisty,
Który przegląda, wykopane w błocie,
I gatunkuje i nazywa glisty.

Zagrzmiały trąby — to konne orszaki
I rozmaitsze ułanów, huzarów,
Dragonów czapki, kirysy, kołpaki;
Myślałbyś, że tu kapelusznik jaki
Rozłożył składy swych różnych towarów.
Wkońcu pułk wjechał: chłopcy, gdyby hlaki,
Okute miedzią, jak rząd sambowarów,
A spodem pyski końskie, jako haki.
Pułki w tak różnych ubiorach i broniach,
Najlepiej będzie rozróżnić po koniach:
Bo tak i nowa taktyka doradza,
I z obyczajem ruskim to się zgadza.
Napisał wielki generał Żomini,
Że koń, nie człowiek, dobrą jazdę czyni;
Dawno już o tem wiedzieli Rusini,
Bo za dobrego konia gwardyaka
Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy,
Oficerskiego cena jest czworaka,
I za takiego konia dać należy
Lutniście, skoczka, albo też pisarza,
A w czasach drogich nawet i kucharza.
Skarbowe, chude, poderwane klacze,
Nawet te, które wożą lazarety,
Jeśli je stawia w faraona gracie,
Liczą się zawsze: klacz za dwie kobiety.

Wróćmy do pułków. Pierwszy wjechał kary,
Drugi też kary, lecz angliczowany —
Dwa były gniade, a piąty bułany,
Siódmy znów gniady, ósmy, jak mysz, szary,
Dziewiąty rosły, dziesiąty mierzyna,
A potem znowu kary bez ogona;
U dwunastego na czole łysina,
A zaś ostatni wyglądał, jak wrona.
Harmat wjechało czterdzieści i osiem —
Jaszczyków więcej, niżli drugie tyle;
Wszystkiego dwieście, jak po wierzchu wnosim —
Bo, żeby dobrze zliczyć w jedną chwilę
Śród mnóstwa koni i ludzi motłochu,
Trzeba mieć oko tve, Napoleonie,
Lub twoje, ruski intendencie prochu!
Ty, nie zważając na ludzi i konie,

Jaszczyków patrzysz; wnet liczbę ich zgadłeś,
Wiesz, ile w każdym ładunków ukradłeś.

Już plac okryły zielone mundury,
Jak trawy, w które ubiera się łąka.
Gdzieniedzie tylko wznosi się do góry
Jaszczyk, podobny do błotnego bąka
Lub polnej pluskwy z zielonawym grzbietem,
A przy nim działo ze swoim lawetem
Usiadło naksztalt czarnego pajaka.

Każdy ten pajak ma nóg przednich cztery
I cztery tylnych; zowią się te nogi:
Kanonieri i bombardyery.
Jeżeli siedzi spokojnie śród drogi,
Noga się każda gdzieś daleko rucha:
Myślisz, że całkiem oddzielne od brzucha,
I brzuch, jak balon, w powietrzu ulata —
Lecz, skoro cicha, drzemiąca harmata
Nagle się zbudzi, rozkazem wyzwana,
Jak tarantula, gdy jej kto w nos dmuchnie,
Wnet ściągnie nogi, podchyła kolana
I, nim się nadmie, nim jady wybuchnie.
Zrazu przednimi kanonierami
Okolo pyska długo, szybko wije —
Jak mucha, co się w arszeniku splami,
Siadłszy, swój czarny pyszczek długo myje,
Potem dwie przednie nogi w tył wywróci,
Tylnemi kręci, potem kiwa zadem,
Nareszcie wszystkie nogi w bok rozrzuci,
Chwilę spoczywa, wkońcu buchnie jadem.

Pułki stanęły. Patrzą: — car, car jedzie!
Tuż kilku starych, konnych admirałów,
Tłum adjutantów i ćma generałów
Z tyłu i z przodu — a car sam na przedzie.
Orszak dziwacznie pstry i centkowany,
Jak arlekiny: pełno na nich wstążek,
Kluczyków, cyfer, portrecików, sprzążek;
Ten sino, tamten żółto przepasany,
Na każdym gwiazdek, kótek i krzyżyków
Z przodu i z tyłu więcej, niż guzików.

Z Świecą się wszyscy, lecz nie światłem własnem:
Promienie na nich idą z oczu pańskich.
Każdy jenerał jest robaczkiem jasnym,
Co błyszczy pięknie w nocach świętojańskich;
Lecz, skoro przejdzie wiosna carskiej łaski,
Nędzne robaczki tracą swoje blaski.
Żyją, do cudzych krajów nie uciekają,
Ale nikt nie wie, gdzie się w błocie wleką.
Jenerał w ogień śmiałym idzie krokiem:
Kula go trafi — car się doń uśmiechnie;
Lecz, gdy car strzeli niełaskawem okiem,
Jenerał bladnie, słabnie, często — zdechnie.

Śród dworzan prędzej znalazłbyś stoików
Wspaniałe dusze: choć gniew cara czują,
Ani się zarzną, ani zachorują;
Wyjadą na wieś do swych pałacyków
I piszą stamtąd: ten do szambelana,
Ów do metresy, ów do damy dworu —
Liberalniejsi piszą do furmana —
I znowu zwolna wrócą do faworu.
Tak, z domu oknem zrzucony, pies zdycha —
Kot miauknie tylko, lecz stanie na nogi
I znowu szuka do powrotu drogi,
I jakąś dziurą znowu wnijdzie z cicha.
Nim stoik w służbę wróci triumfalnie,
Na wsi rozprawia cicho — liberalnie.

Car był w mundurze zielonym, z kołnierzem
Złotym. Car nigdy nie zrzuca mundura:
Mundur wojskowy jest to carska skóra —
Car rośnie, żyje i — gnije żołnierzem.

Ledwie z kolebki dziecko wyjdzie carskie,
Zaraz, do tronu zrodzony paniczek,
Ma za strój kurtki kozackie, huzarskie,
A za zabawkę szabelkę i biczyk.
Sylabizując, szabelką wywija
I nią wskazuje na książki litery;
Kiedy go tańczyć uczą guwernery,
Biczykiem takty muzyki wybija.
Dorosłszy, całą jest jego zabawą
Zbierać żołnierzy do swojej komnaty,
Komenderować na lewo, na prawo
I wprawiać pułki w musztrę — i pod baty.

Tak się car każdy do tronu sposobił;
Stąd ich Europa boi się i chwali.
Słusznie z Krasickim starzy powiadali:
„Mądry przegadał, ale głupi pobił“.
Piotra Wielkiego niechaj pamięć żyje!
Pierwszy on odkrył tę Caropedyę.
Piotr wskazał carom do wielkości drogę:
Widział on mądre Europy narody
I rzekł: „Rosyę zeuropejczyć mogę:
Obetnę suknie i ogolę brody“.
Rzekł — i wnet poly bojarów, kniazików
Święto, jak szpaler francuskiego sadu!
Rzekł — i wnet brody kupców i muzyków
Sypią się chmurą, jak liście od gradu.
Piotr zaprowadził bębny i bagnety,
Postawił turmy, urządził kadety,
Kazał na dworze tańczyć menuety,
I do towarzystw gwałtem wwiódł kobiety,
I na granicach poosadzał strażę,
I łańcuchami pozamykał porty;
Utworzył senat, szpiegi, dygnitarze,
Odkupy wódek, czyny i paszporty —
Ogolił, umył i ustroił chłopą,
Dał mu broń w ręce, kieszeń narublował —
I zadziwiona krzyknęła Europa:
„Car Piotr Rosyę ucywilizował!“
Zostało tylko dla następnych carów:
Przylewać kłamstwa w brudne gabinety,
Przysyłać w pomoc despotom bagnety,
Wyprawiać kilka rzezi i pożarów,
Zagrabiać cudze dokoła dzierżawy,
Skradać poddanych, płacić cudzoziemców,
By zyskać okłask Francuzów i Niemców,
Ujść za rząd silny, mądry i łaskawy.

Niemcy, Francuzi, zaczekajcie nieco!
Bo, gdy wam w uszy zabrzmiał huk ukazów,
Gdy knutów grad na karki wam zleca,
Gdy was pożary waszych miast oświeca,
A wam natenczas zabraknie wyrazów —

Gdy car rozkaże ubóstwiać i sławić
Sybir, kibitki, ukazy i knuty —
Chyba będziecie cara pieśnią bawić,
Waryowaną na dzisiejsze nuty.

Car, jak kłębielna kula, między szyki
Wleciał i spytał o zdrowie gawiedzi.
„Zdrowia ci życzym“ szepcą wojownicy.
Ich szepty były, jak mruk stu niedźwiedzi.
Dał rozkaz — rozkaz wymknął się przez zęby
I wpadł, jak piłka, w usta komendanta
I potem, gnany od gęby do gęby,
Na ostatniego upada sierżanta.
Jęknęły bronie, szczękneły pałasze,
I wszystko było zmięszane w odmiecie.
Na liniowym kto widział okręcie
Ogromny kocioł, w którym robią kaszę,
Kiedy weń woda z pompy, jako z rzeczki,
Bucha, a w wodę sypie majtków rzesza
Za jednym razem krup ze cztery beczki,
Potem dziesiątkiem wioseł w kotle miesza —
Kto zna francuską izbę deputatów,
Większą i stokroć burzliwszą od kotła,
Kiedy w nią projekt komisja wmiotła,
I już nadchodzi godzina debatów —
Cała Europa, czując z dawna głody,
Myśli, że dla niej tam ważą swobody;
Już liberalizm z ust, jako z pomp, bucha;
Ktoś tam o wierze wspomniął na początku —
Izba się burzy, szumi i nie słucha;
Ktoś wspomniął wolność, lecz nie zrobił wrzątku;
Ktoś wreszcie wspomniął o królów zamiarach,
O biednych ludach, o despotach, carach —
Izba, znudzona, krzyczy: „Do porządku!“
Aż tu minister skarbu, jakby z drągiem,
Wbiega z ogromnym budżetu wyciągiem,
Zaczyna mieszać mową o procentach,
O cłach, opłatach, stemplach, remanentach —
Izba wre, huczy i kipi i pryska —
I szumowiny aż pod niebo ciska,

Ludy się cieszą, gabinety straszą,
Aż się dowiedzą wszyscy na ostatku,
Ze była mowa tylko — o podatku!...
Kto tedy widział owy kocię z kaszą,
Lub ową izbę — ten łatwo zrozumie,
Jaki gwar powstał w tyłu pułków tłumie,
Gdy rozkaz carski wleciał w środek kupy.
Wtem trzystu bębnow ożwały się huki
I, jak lód Newy, gdy prysnie na sztuki,
Piechota w długie porznęła się słupy;
Kolumny jedne za drugimi dążą,
Przed każdą bęben i komendant woła.
Car stał, jak słońce, a pułki dokoła,
Jako planety, toczą się i krążą.
Wtem car wypuścił stado adjutantów,
Jak wróble z klatki, albo psy ze smyczy:
Każdy z nich leci, jek szalony, krzyczy —
Wrzask jenerałów, majorów, sierżantów.
Huk tarabanów, piski muzykantów —
Nagle piechota, jak lina kotwicy,
Z kłębow rozwita, wyciąga się sznurem;
Ściany idącej pułkami konnicy
Łączą się, wiążą, jednym stają murem.

Jakie zaś dalej były tam obroty,
Jak jazda rącza i niewyciężona
Leciała obces na karki piechoty,
Jak kundlów psiarnia, trąbą poduszczona,
Na związanego niedźwiedzia uderza,
Widząc, że w kluby ujęto pysk zwierza —
Jak się piechota kupi, ściska, kurczy,
Nadstawia bronie, jako igły jeża,
Który poczuje, że pies nad nim burczy —
Jak wreszcie jazda w ostatnim poskoku,
Targniona smyczą, powściągnęła kroku,
I jak armaty wprzód i wtył ciagano,
Jak po francusku, po rusku łajano,
Jak w areszt brano, po karkach trzepano,
Jak tam marzniono i z koni spadano,
I jak carowi w końcu winszowano — —
Czuje tę wielkość, bogactwo przedmiotu!

Gdybym mógł, opisać, wślawiłbym me imię,
Lecz muza moja, jak bomba, w pół lotu
Spada i gaśnie w prozaicznym rymie —
I śród głównego manewrów obrotu,
Jak Homer w walce bogów, ja — ah, drzemie!

Już przerobiono wojskiem wszystkie ruchy,
O których tylko car czytał lub słyszał;
Śród zgrai widzów już się gwar uciszał —
Już i sukmany, delje, kozuchy,
Co się czerniły gęsto wkoło placu,
Rozpelzały się każda w swoją stronę,
I wszystko było zmarzłe i znudzone —
Już zastawiano śniadanie w pałacu.

Ambasadory zagranicznych rządów,
Którzy, pomimo i mrozu i nudy,
Dla łaski carskiej nie chybią przeglądów
I codzień krzyczą: „O dziwy! O cudy!“ —
Już powtórzyli raz tysięczny komplementy,
Z nowym zapalem dawne komplementy,
Że car jest taktyk, w planach niepojęty,
Że wielkich wodzów ma na swe usługi,
Że, kto nie widział, nigdy nie uwierzy,
Jaki tu zapal i męstwo żołnierzy.
Nakoniec była rozmowa skończona
Zwyczajnym śmiechem z głupstw Napoleona.
I na zegarek już każdy spozierał,
Bojąc się dalszych galopów i kłusów,
Bo mróz dociskał dwudziestu gradusów,
Dusiła nuda i głód już doskwierał.

Lecz car stał jeszcze i dawał rozkazy:
Swe pułki siwe, kare i bułane
Puszcza, wstrzymuje, po dwadzieścia razy —
Znowu piechotę przedłuża, jak ścianę,
Znowu ją ściska w czworobok zawarty
I znowu naksztalt wachlarza roztacza —
Jak stary szuler, choć już nie ma gracza,
Miesza i zbiera i znów miesza karty:
Choć towarzystwo samego zostawi,
On się sam z sobą kartami zabawi.

Aż sam się znudził, konia nagle zwrócił
I w jenerałów ukrył się natłoku.
Wojsko tak stało, jak je car porzucił,
I długo z miejsca nie ruszyło kroku,
Aż trąby, bębny dały znak nareszcie:
Jazda, piechota, długich kolumn dwieście,
Płyną i toną w głębi ulic miejskich.
Jakże zmienione, niepodobne wcale
Do owych bystrych potoków alpejskich,
Co, rycząc, mętne wałą się po skale,
Aż w jezior jasnym spotkają się łonie
I tam odpoczną i oczyszczą wody,
A potem z lekka nowemi wychody
Błyskają, tocząc szmaragdowe tonie.
Tu pulki weszły czerstwe, czyste, białe —
Wyszły zziąbane i oblane potem,
Roztopionemi śniegi poczerniałe,
Brudne z pod lodu wydeptanem błotem.

Wszyscy odeszli: widze i aktory.
Na placu pustym, samotnym zostało
Dwadzieścia trupów: ten, ubrany biało,
Żołnierz od jazdy — tamtego ubiory
Nie zgadniesz, jakie, tak do śniegu whity
I stratowany końskimi kopyty —
Ci zmarzli, stojąc przed frontem, jak słupy,
Wskazując pułkom drogę i cel biegu —
Ten się zmyliwszy w piechoty szeregu,
Dostał w łeb kolbą i padł między trupy.
Biorą ich z ziemi policyjskie służki
I niosą chować martwych, rannych społem.
Jeden miał żebra złamane, a drugi
Był wpół armatnem przejechany kołem;
Wnętrznosci ze krwią wypadły mu z brzucha,
Trzykroć okropnie z pod armaty krzyknął,
Lecz major woła: „Milcz, bo car nas słucha!”
Żołnierz tak słuchać majora przywyknął,
Że zęby zaciął. Nakryto co żywo
Rannego płaszczem. Bo, gdy car przypadkiem
Z rana jest takiej nagłej śmierci świadkiem
I widzi na czczo skrwawione mięsiwo,

Dworzanie czują w nim zmianę humoru:
Zły, opryskliwy powraca do dworu —
Tam go czekają z śniadaniem nakrytem,
A jeść nie może mięsa z apetytem.

Ostatni ranny wszystkich bardzo zdziwił
Grożono, bito — próżna groźba, kara.
Generałowi nawet się sprzeciwił
I jęczał głośno — kłął samego cara!
Ludzie, niezwykłym przerażeni krzykiem,
Zbiegli się nad tym parad męczennikiem
Mówią, że jechał z dowódcy rozkazem —
Wtem koń mu stanął, jak gdyby zakłęty,
'A z tyłu wleciał cały szwadron razem;
Złamano konia — i żołnierz zepchnięty
Leżał pod jazdą, płynącą korytem.
Ale od ludzi litościwsze konie:
Skakał przez niego szwadron po szwadronie —
Jeden koń tylko trafił weń kopytem
I złamał ramię. Kość, nawpół rozpadła,
Przedarła mundur i ostrzem sterczała
Z zielonej sukni, strasznie, trupio biała —
I twarz żołnierza równie, jak kość, zbładała
Lecz sił nie stracił: wznosił drugą rękę
To ku niebiosom, to widzów gromady
Zdawał się wzywać i, mimo swą mękę,
Dawał im głośno, długo jakieś rady.
Jakie? Nikt nie wie, nie mówią przed nikim,
Bojąc się szpiegów, słuchacze uciekli
I tyle tylko pytającym rzekli,
Że ranny mówił złym ruskim językiem;
Kiedy niekiedy słyhać było w gwarze:
„Car, cara, caru...” — coś mówił o carze.
Chodziły wieści, że żołnierz zdeptany
Był młodym chłopcem, rekrutem, Litwinem,
Wielkiego rodu, księcia, grafa synem,
Że ze szkół gwałtem w rekruty oddany,
I że dowódca, nie lubiąc Polaka,
Dał mu umyślnie dzikiego rumaka,
Mówiąc: „Niech skręci szyję Lach sobaka!”

Kto był, nie wiedzą, i po tem zdarzeniu
Nikt nie posłyszał o jego imieniu

Ach — kiedyś tego imienia, o carze,
Będą szukali po twojem sumieniu;
Djabel je pośród tysięcy ukaże,
Któręś ty w minach podziemnych osadził,
Wrzucił pod konie, myśląc, żeś je zgładził.

Nazajutrz zdala za placem słyszano
Psa głuche wycie. Czerni się coś w śniegu...
Przybiegli ludzie. Trupa wygrzebano.
On po parady został na noclegu.
Trup napół chłopski, na pół wojskowy,
Z głową strzyżoną, ale z brodą długą,
Miał czapkę z futrem i płaszcz mundurowy
I był zapewne oficerskim sługą.
Siedział na wielkim futrze swego pana.
Tu zostawiony, tu rozkazu czekał
I zmarł i śniegu już miał za kolana.
Tu go pies wierny znalazł i oszczekał;
Zmarznął — a w futro nie okrył się ciepło.
Jedna żrenica śniegiem zasypana,
Lecz drugie oko, otwarte, choć skrzepłe,
Na plac obrócił: czekał stamtąd pana!
Pan kazał siedzieć — i sługa usiadzie;
Kazał nie ruszać z miejsca — on nie ruszy
I nie powstanie, aż na strasznym sądzie;
I dotąd wierny panu, choć bez duszy,
Bo dotąd ręką trzyma pańską szubę,
Pilnując, żeby jej nie ukradziono.
Drugą chciał rękę ogrzać, ukryć w łono,
Lecz już nie weszły pod płaszcz palce grube...
I pan go dotąd nie szukał, nie pytał!
Czy mało dbały, czy nadto ostrożny —
Zgadują, że to oficer podróżny,
Że do stolicy niedawno zawitał,
Nie z powinności chodził na parady,
Lecz, by pokazać świeże epolety;
Może z przeglądów poszedł na obiady,
Może na niego mrugnęły kobiety,
Może gdzie wstąpił do kolegi gracza
I nad kartami zapomniał brodacza —

Może się wyrzekł i futra i sługi,
By nie rozgłosić, że miał szubę z sobą,
Że nie mógł zimną wytrzymać, jak drugi,
Gdy je car carską wytrzymał osoba,
Boby mówiono: „Jeździ nieformalnie
Na przegląd z szubą — myśli liberalnie!”

O biedny chłopie! Heroizm, śmierć taka,
Jest psu zasługą, człowiekowi grzechem!
Jak cię nagrodzą? Pan powie z uśmiechem,
Żeś był do zgonu wierny — jak sobaka.
O biedny chłopie! Za cóż mi łza płynie
I serce bije, myśląc o twym czynie?
Ach, żal mi ciebie, biedny Słowianinie!
Biedny narodzie, żal mi twojej dolil
Jeden znasz tylko heroizm: niewoli.

DZIEŃ PRZED POWODZIĄ PETERSBURSKĄ 1824.

OLESZKIEWICZ.

Gdy się najtęższym mrozem niebo żarzy,
Nagle zsiniało, płamami czernieje,
Podobne zmarzłej nieboszczyka twarzy,
Która się w izbie przed piecem rozgrzeje,
Ale, nabrawszy ciepła, a nie życia,
Zamiast oddechu, zionie parą gnicia.
Wiatr zawiał ciepły. — Owe słupy dymów,
Ów gmach powietrzny, jak miasto olbrzymów,
Niknac pod niebem, jak czarów widziadło,
Runęło w gruzy i na ziemię spadło;
I dym rzekami po ulicach płynął,
Zmieszany z parą ciepłą i wilgotną.
Śnieg zaczął topnieć i, nim wieczór minął,
Oblewał bruki rzeką Stygu błotną.
Sanki uciekły, koczce i landary
Zerwano z płozów; grzmiały po bruku koła,
Lecz pośród mroku i dymu i pary
Oko pojazdów rozróżnić nie zdoła:
Widać je tylko po latarek błyskach,
Jako płomyki błędne na bagniskach.

Szli owi młodzi podróżni nad brzegiem
Ogromnej Newy. Lubią iść o zmroku,
Bo czynowników unikną widoku
I w pustem miejscu nie zejda się z szpiegiem,
Szli, obcym z sobą gadając językiem;
Czasem pieśń jakąś obcą z cicha nuca,
Czasami staną i oczy obróca,
Czy kto nie słucha. Nie zeszli się z nikim.
Nucąc, bładzili nad Newy korytem,
Które się ciągnie, jak alpejska ściana —
Aż się wstrzymali, gdzie między granitem
Ku rzece droga spada wyrabana.
Stamtąd, na dole, ujrzeli z daleka
Nad brzegiem wody z latarką człowieka.
Nie szpieg, bo tylko śledził czegoś w wodzie,
Ani przewoźnik — któż pływa po lodzie?
Nie jest rybakiem, bo nie miał w rękę
Oprócz latarki i papierów pęku.
Podeszli bliżej. On nie zwrócił oka,
Wyciąga powróż, który w wodę zwisał,
Wyciągnął, węzły zliczył i zapisał:
Zdawał się mierzyć, jak woda głęboka.
Odblask latarki, odbity od lodu,
Oblewa jego księgi tajemnicze.
I pochylone nad świecą oblicze,
Żółte, jak obłok nad słońcem zachodu,
Oblicze piękne, szlachetne, surowe.
Okiem tak pilnie w swojej księdze czytał,
Że, słysząc obcych kroki i rozmowę
Tuż ponad sobą, kto są, nie zapytał —
I tylko z ręki lekkiego skinienia
Widać, że prosi, wymaga milczenia.
Coś tak dziwnego było w ręki ruchu,
Że, choć podróżni tuż nad nim stanęli,
Patrzac i szepcąc i śmiejąc się w duchu.
Umilkli wszyscy, przerwać mu nie śmieli.
Jeden w twarz spojrział i poznał i krzyknął:
„To on!“ I któż on? — Polak, jest malarzem,
Lecz go właściwiej nazywać guślarzem,
Bo dawno od farb i pendzla odwyknął:
Biblię tylko i kabałę bada,
I mówią nawet, że z duchami gada.

Malarz tymczasem wstał, pisma swe złożył
I rzekł, jak gdyby rozmawiając z sobą:
„Kto jutra dożył, wielkich cudów dożył,
Będzie to druga, nie ostatnią próbą;
Pan wstrząśnie szczeble assurskiego tronu,
Pan wstrząśnie grunty miasta Babilonu;
Lecz trzecią widzieć, Panie, nie daj czas!
Rzekł i podróżnych zostawił u wody,
A sam z latarką wolno szedł przez schody,
I zniknął wkrótce za parkan terasu.
Nikt nie rozumiał, co ta mowa znaczy.
Jedni zdumieni, drudzy rozśmieszeni,
Wszyscy krzyknęli: „Nasz guślarz, dziwaczyl”
I, chwilę jeszcze stojąc pośród cieni,
Widząc noc późną, chłodną i burzliwą,
Każdy do domu powracał co żywo.

Jeden nie wrócił, lecz na schody skoczył
I biegł terasem. Nie widział człowieka,
Tylko latarkę jego zdala zoczył;
Jak błędna gwiazda świeciła z daleka!
Chociaż w malarza nie zajrzał oblicze,
Choć nie dosłyszał, co o nim mówili,
Ale dźwięk głosu, słowa tajemnicze
Tak nim wstrząsnęły!... Przypomniął po chwili,
Że głos ten słyszał, i biegł, co miał mocy,
Nieznaną drogą, wśród sloty, wśród nocy.
Latarka, prędko niesiona, mignęła,
Coraz mniejszała — zakryta mgły mrokiem,
Zdała się gasnąć — wtem nagle stanęła
W pośrodku pustek na placu szerokim.
Podróżny kroki podwoił, dobiega.
Na placu leżał wielki stos kamieni —
Na jednym glazie malarza spostrzega.

Stał nieruchomy pośród nocnych cieni;
Głowa odkryta, odsłoniłone barki,
A prawa ręka wzniesiona do góry,
I widać było z kierunku latarki,
Że patrzył w dworca cesarskiego muru.
I w murach jedno okno w samym rogu
Błyszczało światłem: to światło on badał,
Szeptał ku niebu, jak modląc się Bogu, —
Potem głos podniósł i sam z sobą gadał.

„Ty nie śpisz, carze! Noc już wkoło głucha,
Śpią już dworzanie, a ty nie śpisz, carze!
Jeszcze Bóg łaskaw posłał na cię ducha,
On cię w przeczuciach ostrzega o karze.
Lecz car chce zasnąć, gwałtem oczy zmruża,
Zaśnie głęboko. Dawniej ileż razy
Był ostrzegany od anioła stróża
Mocniej, dobitniej, sennemi obrazy!...

On tak zły nie był dawniej. Był człowiekiem,
Powoli wreszcie zszedł aż na tyrana;
Anioły Pańskie uszły, a on z wiekiem
Coraz to głębiej wpadał w moc szatana.
Ostatnią radę, to przeczucie ciche,
Wybije z głowy, jak marzenie liche;
Nazajutrz w dumę wzbiją go pochlebce
Wyżej i wyżej, aż go szatan zdepcze...

Ci w niskich domkach nikczemni poddani
Naprzód za niego będą ukarani.
Bo piorun, w martwe gdy bije żywioły,
Zaczyna z wierzchu, od góry i wieży —
Lecz między ludźmi naprzód bije w dół
I najmniej winnych najpierwej uderzy...

Usnęli w pjaństwie, w swarach lub w rozkoszy
Zbudzą się jutro — biedne czaszki trupie!
Śpijcie spokojnie, jak zwierzęta głupie,
Nim was gniew Pański, jak myśliwiec, spłoszy
Tępiący wszystko, co w kniei spotyka,
Aż dojdzie wkońcu do legowisk dzika.

Słysz!... Tam!... Wichry... już wytknęły głowy
Z polarnych lodów, jak morskie straszydła...
Już sobie z chmury porobiły skrzydła,
Wsiadły na falę, zdjęły jej okowy...
Słysz... Już morska otchłań rozchelznana
Wierzga i gryzie lodowe wędzidła —
Już mokrą szyję pod obłoki wzdyma,
Już!... jeszcze jeden, jeden łańcuch trzyma —
Wkrótce rozkuja... słysz! młotów kucie...”

Rzekł i, postrzegiszy, że ktoś słucha z boku,
Zadmuchnął świecę i przepadł w pomroku.
Błysnął i zniknął, jak nieszczęść przeczucie,
Które uderzy w serce, niespodziane,
I przejdzie, straszne — lecz niezrozumiane.

TEN USTĘP
PRZYJACIOŁOM
MOSKAŁOM

Poświęca Autor.

DO PRZYJACIOŁ MOSKALI. X

Wy czy mnie wspominacie? Ja, ilekroć marzę
O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach,
I o was myślę; wasze cudzoziemskie twarze
Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.

Gdzież wy teraz? Szlachetna szyja Rylejewa,
Którą-m, jak bratnią, ścisnął, carskimi wyroki
Wisi, do hańbiącego przywiązana drzewa...
Klątwa ludom, co swoje mordują proroki!

Ta ręka, którą do mnie Bestużew wyciągnął,
Wieszcz i żołnierz — ta ręka od pióra i broni
Oderwana — i car ją do taczki zaprzagnął...
Dziś w minach ryje, skuta, obok polskiej dłoni,

Innych może dotknęła sroższa niebios kara:
Może kto z was, urzędem, orderem zhańbiony,
Duszę wolną na wieki sprzedał w łaskę cara
I dziś na progach jego wybija poklony...

Może płatnym językiem triumf jego sławi
I cieszy się ze swoich przyjaciół męczeństwa —
Może w ojczyźnie mojej moją krwią się krwawi
I przed carem, jak z zasług, chlubi się z przekleństwa...

Jeśli do was z daleka, od wolnych narodów
Aż na północ zaletą te pieśni żalosne
I odezwą się z góry nad krainą lodów: —
Niech wam zwiastują wolność, jak zórawie wiosnę!

Poznacie mnie po głosie. Pókim był w okuciach,
Pełzając milczkiem, jak wąż, łudzilem despotę,
Lecz wam odkryłem tajnie, zamknięte w uczuciach,
I dla was miałem zawsze gołębią prostotę.

Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny.
Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy,
Gorycz, wyssana ze krwi i z łez mej ojczyzny...
Niech żre i pali — nie was, lecz wasze okowy!

Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga
Będzie, jak psa szczekanie, który tak się wdroży,
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że wkońcu gotów kasać rękę, co ją targa.

KONIEC.

RZUT OKA NA POEMAT „DZIADY“.

(Z okazji ogłoszenia tłumaczenia francuskiego tego poematu).

Poemat polski, którego tłumaczenie ogłaszamy, przedstawia i w oryginale luźne ustępy. Pierwsze dwie części ogłoszone były lat temu dziesięć, trzecia zaś świeżo wyszła w Paryżu; dzieło to jednakże dalekiem jest jeszcze od swojego ukończenia, oczekuje ono dalszego rozwoju, który powiąże wszystkie te ustępy w jedną organiczną całość.

Uważamy za rzecz konieczną powiedzieć słów kilka o duchu i składzie tego utworu, aby czytelnik mógł łatwiej pochwycić myśl główną i dążenie autora.

Wiara w wpływ świata niewidzialnego i duchowego na myśli i czyny ludzkie jest główną podstawą poematu polskiego; rozwija się ona stopniowo w różnych częściach tego dramatu, przyjmując na siebie rozmaite formy, stosownie do miejsc i epok. Rzecz dzieje się najpierw w głębi Litwy, w wiejskim kościółku, i świat poetyczny tej sceny utworzony został według pojęć ludowych, to jest resztek pogańskich podań, zmieszanych z wyobrażeniami chrześcijańskimi. Akcja przenosi się potem do klasztoru katolickiego, zmienionego na więzienie stanu. Tu już osoby przywdziewają na siebie charakter polityczny i zbliżają się bardziej ku sferom rzeczywistym, wchodzą, że tak powiemy, w życie zwyczajne, a świat poetyczny tych scen zbudowany jest z materiałów już czystszych, to jest chrześcijańskich, katolickich. Uroczystość ludowa, nazwana *Dziadami*, świętem umarłych i wywoływania duchów, gromadząc na nowo główne osoby dramatu, wiąże ogół akcji, a tajemnicza osobistość, przebiegająca cały dramat, nadaje mu pewną jedność.

Osobistość ta w drugiej części zjawia się jako cień milczący wśród jawiących się duchów i widziadeł, w następnej zaś części, pod nazwiskiem Gustawa, opowiada dzieje swego dzieciństwa, swoją miłość i prywatne swe życie.

Znajdujemy go w trzeciej części pomiędzy politycznymi sprzysięgłymi pod imieniem Konrada, poety i człowieka, mającego widzenia, który jest wypuszczony z więzienia. Następnie potem ustęp, opisujący Rosję, rodzaj dziennika podróży owej osobistości fantastycznej; ma on stanowić przejście do dalszych części dramatu.

Poemat ten, dziwaczny i nieskończony jeszcze, zdaje nam się zasługiwać na to, aby go Francuzi poznali dlatego samego, że wielkie zrobił wrażenie w Polsce, w kraju, którego historia i literatura zaczyna nas żywiej obchodzić, tembardziej, że jego tendencje religijne są w pewnym stosunku z duchem, który zaczyna się objawiać i w naszej literaturze.

Zadanie tłumacza było nadzwyczaj trudne, nie mówiąc już o niektórych miejscach oryginału, które dla samychże Polaków ledwie mogą być zrozumiałemi. Rodzaj stylu, również jak układ całego pomysłu, mogłyby zakłopotać zręczniejsze od naszego pióro francuskie. Akcja ta, wznosząca się co chwila w idealne sfery, aby zlecieć nagle na szczegóły zwyczajnego życia, te nieustanne przejścia z fantazji do rzeczywistości, owe egzorcyzmy, owe wyrażenia obrzędowe i sakramentalne, które zdają się wyjęte z średniowiecznych kronik, zmieszane z wzmiankami miejscowości i współczesnego stanu politycznego i wiejskiego życia, wszystko to mocno razi nasze zwyczaje literackie i dramatyczne. Dzieło podobnego gatunku może być pojęte tylko przez samych Polaków, przez naród, zdolny budzić w sobie wiarę tak silną, jaką była wiara męczenników, i polityczny entuzjazm, jaki ożywiał rewolucjonistów współczesnych.

Tak różnorodne pojęcia poety musiały wpływać na formę i styl „Dziadów“, dlatego też znajdujemy opowiadania w starym stylu biblijnym, liryczne hymny, piosnki uczt, kolendy Bożego Narodzenia, złośliwe epigramaty, zwrócone ku moskiewskiemu carowi, jednym słowem jest to nieustanna zmiana tonów i rytmów.

Bogaty i giętki język Polaków podatniejszym jest tym nagłym zmianom dekoracji, których w tłumaczeniu prozą szczególnież unikać należało.

Przekonani, że w tej chwili byłoby niepodobieństwem przetłumaczyć całe dzieło w sposób dla Francuzów zrozumiały, wybraliśmy niektóre tylko ustępy, opuszczając to, co by potrzebowało objaśnień i komentarza. Jeżeli ta próba nasza będzie mogła obudzić jakie zajęcie w czytelnikach francuskich, postaramy się kiedyś o uzupełnienie naszego przekładu.

OBJAŚNIENIA AUTORA.

Wyrazy *czyn*, *czynownik*, często są tu użyte w znaczeniu rosyjskiem, dla Litwinów tylko zrozumiałe. W Rosji, ażeby nie być chłopem albo kupcem, słowem, aby mieć przywilej uwalniający od kary knuta, trzeba wejść w służbę rządową i pozyskać tak nazwaną *klasę* albo *czyn*. Służba dzieli się na czternaście klas; potrzeba kilka lat służby dla przejścia z jednej klasy w drugą. Są przepisane czynownikom różne egzamina, podobne do formalności zachowujących się w hierarchji mandaryńskiej w Chinach: skąd zdaje się, że ten wyraz mongołowie do Rosji przenieśli, a Piotr Pierwszy znaczenie tego wyrazu odgadnął i całą instytucję w duchu prawdziwie chińskim rozwinął. Czynownik często nie jest urzędnikiem, czeka tylko urzędu i starać się oń ma prawo. Każda klasa albo *czyn* odpowiada pewnej randze wojskowej: i tak doktor filozofji albo medycyny liczy się w klasie ósmej i ma stopień majora, czyli *asesora kolleskiego*, stopień kapitański ma *frejlina*, czyli panna dworu cesarskiego; biskup lub archirej jest jenerałem. Między czynownikami wyższymi i niższymi stosunki uległości i posłuszeństwa przestrzegają się z równą prawie ścisłością jak w wojsku.

Strona 96. Myśląc że już zajeżdża feldjeger ze dzwonkiem.

Feldjegry czyli strzelcy polni cesarscy są rodzajem zandarmów; polują szczególnie na osoby rządowi podejrzane, jeżdżą po polu w *kibitkach*, to jest wózkach drewnianych bez resorów i żelaza, wąskich, płaskich i z przodu wyższych niż z tyłu. Byron wspomina o tych wozach w swoim *Don Juanie*. Feldjegier przybywa po polu w nocy, porywa podejrzaną osobę, nie mówiąc nigdy, gdzie ją powiezie. Kibitka opatrzona jest dzwonkiem pocztowym. Kto nie był w Litwie,

z trudnością wystawi sobie przestrach, jaki panuje w każdym domie, u którego wrót odezwie się dzwonek pocztowy.

Strona 99. Pytał raz Litwin diabła czy Pińczuka.

Nazywa lud w Litwie Pińczukami obywateli błotnistych okolic Pińska.

Strona 100. Tylko łyknie powietrza i wnet się podchmieli.

Więźniowie, którzy długo byli w zamknięciu, wychodząc na świeże powietrze doświadczają pewnego rodzaju upojenia.

Strona 101. W Litwie zły to znak płakać we dniu inkrutowin.

Nazywają inkrutowinami uroczystość, którą gospodarz obchodzi, wnosząc się do nowego mieszkania.

Strona 151. Stoi spisany jasno, jak ukaz senacki.

Przysłowiem stała się w Rosji ciemność ukazów senackich. Szczególnie ukazy sądowe, czyli wyroki, umyślnie tak bywają układane, aby je różnie tłumaczyć i stąd nową sprawę toczyć można było. Jest to interesem kancelaryj senackich, ciągnących niezmiernie zyski z procesów.

Strona 169. Kolleski registrator.

Kolleski registrator jest to jeden z najniższych czynów. Sowieśników czyli radców różne są rodzaje i gatunki, jako to: radcy honorowi, kollescy, tajni, rzeczywiści. — Pewny dowcipny Rosjanin mawiał, iż rzeczywisty tajny radca jest trojakiem kłamstwem; bo nie radzi, nie wie o żadnej tajemnicy i często jest najniedorzeczniejszem stworzeniem. Mówiono raz o jakimś czynowniku i nazywano go dobrym człowiekiem; „nazwij raczej dobrym chłopcem“ odezwał się ów żartowniś: „jak czynownik może być człowiekiem, póki jest tylko registratorzem? W Rosji ażeby być człowiekiem, trzeba być przynajmniej radcą stanu“.

Strona 172. Nam każą iść na bal.

Zaproszenie urzędowe na bal jest w Rosji rozkazem; szczególnie, jeśli bal daje się z okoliczności urodzin, imienin, zaślubin i t. d. cesarza lub osób familji panującej, albo też jakiego wielkiego urzędnika. W takich razach osoba podejrzana lub źle widziana od rządu, nie idąc na bal, naraża się na niemałe niebezpieczeństwo. Były przykłady w Rosji, że

rodzina osób uwięzionych i skazanych na szubienicę, znajdowała się na balach u dworu. W Litwie Dybicz, ciągnąc przeciwko Polakom a Chrapowicki, więząc i tępiąc powstańców, zapraszali publiczność polską na bale i uroczystości zwycięskie. Takowe bale opisują się potem w gazetach jako dobrowolne wynurzenia się nieograniczonej miłości poddanych ku najlepszemu i najlaskawszemu z monarchów.

Strona 192. Może samego wiozą Jermołowa.

W Rosji między ludem jest przekonanie, iż car może każdego innego króla wziąć w kibitkę. I w istocie nie wiemy, coby odpowiedziano w niektórych państwach feldjegerowi, któryby przyjechał w podobnym celu. To pewna, iż Nowosilców często powtarzał: „Nie będzie pokoju, póki nie zaprowadzimy w Europie takiego porządku, iżby nasz feldjeger mógł też same rozkazy w Wilnie, w Paryżu i w Stambule, z tąsamą łatwością wykonywać”. Odebranie rządów Gruzji generałowi Jermołow, którego imię u Rosjan było bardzo popularne, uważano za rzecz ważniejszą, niż zwycięstwo nad jakim królikiem europejskim. Temu mniemaniu Rosjan dziwić się nie należy. Przypomnijmy, iż Jego Królewiczowska Mość księżę Wirtemberski, oblegając z wojskami sprzymierzonemi Gdańsk, pisał do generała Rapp, iż generał rosyjski równy jest co do stopnia królowi, i mógłby nosić ten tytuł, jeżeliby taka była wola cesarska. — Ob. Pamiętniki generała Rapp.

Strona 192. Musiano niegdys wylać rzekę złota:

Te słowa wyrzekł król Gotów, ujrzawszy po raz pierwszy Kolizeum w Rzymie.

Strona 193. Z zegarów miejskich zagrzmiała dwunasta,
A słońce już się na zachód chyliło;

W dniach zimowych w Petersburgu około godziny trzeciej już mrok zapada.

Strona 193. I wiecznie stoi i wiecznie ucieka.

Dymy miast północnych w czasie mroźnym, wznoszące się pod niebo w kształtach fantastycznych, tworzą widowisko podobne do fenomenu zwanego *mirage*, który zwodzi żeglarzy na morzach i podróżnych na piaskach Arabji. *Mirage* zdaje się być już miastem, już wsią już jeziorem albo oazą; przedmioty wszystkie widać bardzo wyraźnie, ale zbliżyć się do

nich niepodobna zawsze w równej od podróznego znajdują się odległości i nakoniec nikną.

Strona 194. Wydarte świeżo morzu i Czuchoncom?

Finowie po rosyjsku zwani Czuchoncami albo Czuchami, mieszkali na brzegach błotnistych Newy, gdzie potem założono Petersburg.

Strona 194. Z dalekich lądów i morskich odmetów.

U wielu historyków znaleźć można opisanie założenia i budowania Petersburga. Wiadomo, iż mieszkańców do tej stolicy gwałtem spędzano i że ich więcej niż sto tysięcy w czasie budowania wymarło. Granit i marmur zwożono morzem ze stron dalekich.

Strona 196. Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie.

Wyznania, które się odłączyły od Kościoła katolickiego są protegowane szczególnie w Rosji; naprzód stąd, iż zwolennicy tych wyznań z łatwością przechodzą na wiarę grecką za przykładem niemieckich księżniczek i książąt; potem, że pastorowie są najlepszą podporą despotyzmu, wmawiając ludowi ślepe posłuszeństwo dla władzy świeckiej, nawet w rzeczach sumienia, w których katolicy odwołują się do decyzji Kościoła. Wiadomo, iż wyznania augsburskie i genewskie na rozkaz króla pruskiego połączyły się w jeden kościół.

Strona 196. Myślisz że chodzą po mieście kominy.

Para z ust wychodząca w czasie tęgich mrozów, daje się widzieć w kształcie słupa, długiego częstokroć na kilka łokci.

Strona 199. Druga carowa pamiętnik stawiała.

Na pomniku Piotra jest napis: Petro primo Catharina secunda.

Strona 200. I w mieście pada na wznak przed carową.

Ten wiersz jest tłumaczony z rosyjskiego poety, którego nazwiska nie pomnę.

Strona 200. Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności.

Pomnik konny kolosalny Piotra, roboty Falkoneta, i posąg Marka Aureliusza, stojący teraz w Rzymie w Kapitolium są tu wiernie opisane.

Strona 203. Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy.

Konie jazdy rosyjskiej piękne są i drogo kosztują. Koń żołnierski gwardyjski płaci się często kilka tysięcy franków. Człowieka rosłego, miary przepisanej, można kupić za tysiąc franków. Kobiętę w czasie głodu na Białorusi sprzedawano w Petersburgu za dwieście franków. Ze wstydem wyznać należy, iż panowie niektórzy polscy tego towaru dostarczali.

Strona 204. Jak tarantula, gdy jej kto w nos dmuchnie.

Tarantule, rodzaj wielkich, jadowitych pajaków, gniedzących się na stepach południowej Rosji i Polski.

Strona 204. Jak arlekiny; pełno na nich wstążek.

Orderów rosyjskich, licząc w to różne ich klasy, tudzież cyfry cesarskie i tak nazwane sprzążki z liczbą lat służby, jest około sześćdziesięciu. Zdarza się, że na jednym mundurze świeci dwadzieścia znaków honorowych.

Strona 205. Ani się zarzną ani zachorują.

Przed niewielu laty jeden z dworskich urzędników zarznął się dla tego, iż na jakimś obchodzie dworskim naznaczono mu niższe miejsce, niż podług hierarchji należało. Był to Watel czynownictwa.

Strona 205. Kiedy go tańczyć uczą guwernery.

Portret carewicza, następcy tronu, można widzieć w galerji obrazów petersburskiej, Ermitażu. Malarz Anglik Dow wystawił go w postaci dziecka w mundurze husarskim z biczem w ręku.

Strona 213. Oleszkiewicz.

Oleszkiewicz, malarz znany w Petersburgu ze swoich cnót, głębokiej nauki, i mistycznych przepowiedni. Obacz nekrolog jego w gazetach petersburskich z roku 1830.

DOPELNIENIE

UTWORÓW POETYCZNYCH ZAWARTYCH W TOMIE I—IV.

Wiersze wyrzucone w r. 1823 przez cenzurę wileńską
w IV części „Dziadów“.

Tom IV na str. 54 po wierszu „Ty cukrowych ust lubej
nie tknąłeś ni razu:

Innego trzeba wyvodu. (*Namyśla się*).
Posłuchaj, czy ty byłeś pobożny za młodu?
Gorliwy zapaleniec, katolik natchniony,
Czy ty na skrzydłach modlitw latałeś ku Bogu?

KSIĄDZ.

Modlitwa zawsze równe ma dla mnie ponęty,
Ale prawda, że pomału
Wiek tępi ostrze zbytniego zapalu.

PUSTELNIK.

Otóż słuchaj, teologu!
Przypomnij, kiedy miałeś dziewięć, dziesięć latek,
Wysłuchawszy pobożnie naukę kapłańską,
Po najpierwszej spowiedzi, ukląkłeś do kratek,
Przyjąć raz pierwszy Ciało i Krew Pańską;
Gdy w dziecinnego uniesieniu ducha,
Usteczka do stulonych przycisnąłeś dłoni,
Ku ziemi zgięła cię skrucha,
Łzę pokuty oko roni.
A wtem się na ołtarzu rozdarły obłonki,
Błysnął kielich, dzwonią dzwonki,
I kapłan na twych ustach złożył Pańskie Ciało!

KSIĄDZ.

Ach! natenczas mnie się zdało,
Że serce we mnie rozstanie!

PUSTELNIK.

A co? rozumiesz kapłanie?

KSIĄDZ.

Szalony!

PUSTELNIK (*z zapalem*)

Zginałem w niebie,

Kiedym raz pierwszy pocałował ciebie!

KSIĄDZ.

Stój! dosyć! Stój dla Boga! nieszczęsny bluźnierca!
 Panie! daruj szaleństwu zranionego serca!

PUSTELNIK.

Przecież tu niema kłamstwa w żadnem słowie,
 Żadnego, najmniejszego, nie przydałem rysu,
 Niewierzysz? Spytaj gałązki cyprysu,
 Naocznym była świadkiem, wszystko ci opowie.

O luba, zginałem w niebie,

Kiedym raz pierwszy pocałował ciebie!

(iId. jak w druku)

KARTOFLA

Poemko we czterech pieśniach.

ARGUMENT PIESNI 1-szej.

Gdy poeta rośliny sławi i zaleca,
 Aż tu nagle kartofel odzywa się z pieca:
 Każe wziąć bardon, piosnkę zanucić mu tkliwą,
 Poeta bierze bardon i nuci co żywo:
 Jako niegdyś przed wieki Bożą mocą słowa,
 Z zamętu dawnych światów wzniosła się budowa;
 Jak potem, gdy tysięczne przeminęły lata,
 Hebrejczyk lepszą wiarę objawił dla świata,
 Jak bogi greckie złego doczekawszy losu,
 Świat sobie nowy robia z ostatków chaosu,
 Jak ich Kolumbus śmiałą potrwożył wyprawą,
 Jak płynął, i na morzu zahaczył się z nawą:
 Jaki sąd o tem bogi, jaki święci dali,
 Jak Kolumbus z nieszczęścia wybrnął... i tam dalej.

PIESN PIERWSZA.

O wy świata ziemskiego celniejsze okrasy:
Wy łąki i usiewy i kwiatki i lasy,
Które Bóg pierwsze wywiódł przyrodzeniu z Iona,
A świat pod wspólne roślin zagarnął imiona!
Ziemia z mętnych żywiołów dobywszy się swaru
Wami grzbiet niepłodnego obkleła ciężaru,
I dziś gdy macie przyjąć lub stracić ozdoby,
Wdzięwa szaty weselne, albo kir żałoby;
I tłum stworzeń, co, z nieba głównie mając łaski,
Ciągnie oddech i widzi ogniów dziennych blaski,
Dla wschodzącego życia w was szuka zasiłku,
I wam ostatki swoje daruje przy schyłku;
Z was czerpa bytność swoją, i z wami się dzieli,
Z wami wyrasta, ginie, smuci się, weseli.
Jak słodko wśród wiejskiego pędzę czas ukrycia,
Gdy wiosna wam powraca utracone życia,
Gdy się pączek z pod mroźnych okowów wycisnie,
Napełni się, rozwiąże, młodym kwieciem błysnie,
Nagą wprzód ziemię wdzięczne gałązki oplota,
Łakę w zieloność, słońce ubierze ją w złoto;
Natenczas rzucam domek, gdzie mnie i mą lutnię
Więził mróz i wietrzyska rozhukane kłótnie,
W pola pobiegnę wonie oddychać rzeźwiące.
Opyle moją lutnię, nastroję, potracę...
W gajku najwdzięczniejsze będą mi siedliska:
Tam i strumień szemrzący przez kamyczki tryska,
Tam na posłanie miękkie jest zieloność darnia,
Tam gałązka wdzięcznemi cieniami ogarnia;
W pośrodku liścia czule gruchają gołębie,
Samczyk wygrywa piosnki miłośnicy ziębie;
Już wznoszą się nad krzakiem muszki, lekka rzesza,
Dźwięcznie brzęcząc, powietrze skrzydełkami miesza.
Radość i miłość wiejskie nawiedza pokrycie,
Kiedy martwym roślinom wiosna zwróci życie.
Za cóż szybko przeminał tak miły nam czasek?
Wdzięki ledwie nabyte już utracą lasek,
Wilgotna mgła przesiąkła oddechy niezdrowe.
Zaczerniły się słońca sklepy lazuruwe:
W lasach otrzęsła żółtkie zawierucha liście,
Uciekajmy do zamku, zawierajmy wniście!

Słyszycie, jak złe wiatry szarpia się u zrębów,
Kruszą puszcze, rwą posad staroświeckich dębów?
Po łąkach, kędy igrał Zefir i Fawoni,
Obdarłej z warstw śnieżycy oćma oćmę goni.
Na górach niegdyś była słodka trzodom pasza,
Dziś krzak głogu kolcami nagiemi przestrasza.
Skądże tak milej przedtem ponurość krajiny?
Oto zima żyjące zmroziła rośliny.
O rośliny, o plemię różne jednej matki.
Kraśne róże i osty, cedry i blawatki,
Co z was mamy karm ludzie, motylki i słonie,
Cesarów i pasterek, co zdobiecie skronie,
Chwałbą was uwieczniając, niech godnie ogłoszę,
Jakie mieć z was pożytki i jakie rokosze...

Pragnąłem dalej śpiewać. Wtem z wnętrza komina,
Lekki oddech popielne cząstki chwiać poczyną;
Przelekły, wgładam pilnie, zbliżam się powoli,
Bym dostrzegł, co się na wierzch spalenizn gramoli.
Aż owoc z zaindyjskich wywiedziony szranek,
Co ma imię Kartofel, Bulb, albo Ziemlanek,
(Czy to błąd mojej myśli, czy wzroku pomyłki?)
Żywota niemające toczy naprzód bryłki.
Jak głaz, co go opunka przerzuca niewiasta,
Dotknawszy ziemi, mięknie, pulchnieje, podrasta;
Lub jak się dma przysmaki w ogniska czeluści,
Gdy do nich płyn burzący pierożnik zapuści;
Tak pęcznieje ziemlanka, zwiększa krąg obręczy,
Rozpuka się i ludzkim wyrazem zajęczy:
„Niegodny, takżeż pamięć na świadczone łaski,
Na kasze, nadziewania, smażonki, frykaski,
Które zjadając w wieczór, południe i ranek,
Przysięgałeś pod niebo wznieść imię Ziemlanek!
Ja ci miałam dziękować, a muszę się zalić.
Jeść mnie nie zapomniałeś, zapomniałeś chwalić.
Plekroć w skwarnym proszku członki moje tleją,
Słucham twych dźwięków, marną chłodzę się nadzieją.
Niewdzięczny! Ty roślinne rozgłaszając sławy,
Milczysz, skąd karm czerpałeś; śpiewasz, skąd zabawy.
Popraw się, zabrzmij dla mnie: ubłagam cię jeszcze,
Zapał w tobie ożywie, wleję duchy wieszczce“.
To rzekła... nagle z posad chwieje się kominke,
Izbę chmura popielnych zaćmiła drobinek.

Wybuchnął płomyk, barwą niebieską zabłysnął,
Węgiel ciemny rozżarzał i ksyknął i prysnął;
Lica mi bledną... włosy zjeża przestрах boski;
Zadrzałem... ogień przyciął kartoflowe głoski.

Pójdźże lutni, ku wielkim sprawom cię nawiążę,
Przeszłą zwiedzę rozległość, w przyszłość się zagrażę.
Ziemlanko, usty twemi boże znaczysz chęci,
Twa cudność mię przeraża, twa dobroć mię nęci,
Módl się za mną, bym trackich panienek wziął blasku,
Bym twe imię w powszechnym uwiecznił przyklasku.
Powieś twą postać kraśną, różność twojej farby,
I nad zwierzchnią ozdobę droższe wewnętrzne skarby;
Powieś, jako, przedziwnym znaleziona cudem,
I w niebach spór zapalisz i pomiędzy ludem:
Jak stąd krwawe zapasy, jak wystawne bale,
Jakie morza i jakie odwiedzone sale.
Ile krain, bolesnych ile panien jękło,
Ilu mężów zginęło, ile butłów pękło!
Niech, gdzie słońce zasypia, i skąd błyska ranek,
Znają, iż twardo przyszły użytki z ziemianek.

Jest ład, kędyś tam w morze ostatnie przepadły,
Ereb go z nocą ślepą od wieków zasiadły,
I resztę zmetu w tamtą Pan Bóg zmiotł ciemnicę,
Gdy świat nasz robiąc, pisał żywiołom granicę,
Porozjaśniał błękity, słone rozlał głębie,
Objawszy niebian w górnym, lub w ziemskim obrębie.
Natenczas każdy z żywych, swą częstką bogaty,
W pomieszanę chaosem nie zaglądał światy;
Lecz gdy wieków znaczone rachuba przeciekła,
Inną postać wziąć śmiały nieba, ziemię, piekła.
I meżobóg hebrajski zagrzmiał od Syonu,
Wytrącać mdłych górnego posiadaczów tronu.
Przesąd, urosły z laty, wraz swą siłę traci,
Niekrwawy oltarz w świętsze przybrał się postaci,
Inny zakon od zbrodni serca ziemskie strzeże.
Inne ku chwale niebios podnoszą się wieże.

Już tłum helleńskich bożców (jak brzmi z dawnej wieści),
Dziedzin nie zniesie, prawej otworzonych cześci,
W otchłani pierzcha, gdzie twórcy dłoń nie sięgła mądra,
Gdzie bezrządnych żywiołów kłóciły się jadra.

Tam, nowy świat starego chcąc zbudować wzorem.
Stwarzają ład, roślinnym zielenią ubiorem,
Dadzą żywiołkom farby, piórek, kosm i skrzeli,
Wreszcie króla ziemskiego cudny kształt odleli,
Złote nowemu światu przypłynęły wieki.

Ale już niebios rządem z Madrytu wybrzeży
Kastylski poczet świetnej spuszcza się młodzieży;
Twoim, Kolumbie, wielkim następując torem,
Chęci swe ostrzą świata przyszłego zaborem.
Już gmach po międzyziemnem prześliznął ich gople,
Szumią skrzydła, tryskają cięte miedzią krople.
Gdzie zrab belek okrętom sklep nasuwa tęgi,
Błyszczy wojsko pomiędzy żaglowemi wstęgi.
U boków się skrzywiają płytkie ostrza miecza,
Dziurę dłonie uzbraja, puklerz zabezpiecza.
Z przyłbic czerni się strusiec puchem znamięnity,
Powiewnemi ku słońcu migając się kity.
Las sztandarów w pobożnym malowanych wzorze,
Zwycięskiej znak Golgoty niosą na bisiorze,
Pod temi hasły młodzież, gardząca przestrachem,
Nieznana głąb nieznanym szła obciążać gmachem.
Już dróg mokrych wskazówki utraciwszy gwiazdy,
Losowi rządy ślepej poruczyli jazdy;
Już ziemia, coraz w wodę zachodząca, błednie,
Rycerze na przepaści wyjeżdżają średnie,
Patrzą, jak błękit, na dół zataczając szkliska,
Brzegiem oblicza swego brzeg wody obciska:
I w którą stronę rzuca oczy albo myśli,
Białość niebios i morza dokoła się kreśli.
Już wbiegli, kędy stary świat kończy granicę,
Inne tam wiatry sieką, woda ma różnicę,
Rzeźwość nowa zmysł karmi i duchy weseli,
Czuć, iż od światów błogich drobny przestwór dzieli;
Krzyczą rażni młodzieńce, wiatry świszczą w żagle,
Bieży okręt i w biegu zacina się nagle.
Trwożne majtki dumając, iż upór zwyciężą,
Próżno trudzą się wiosłem, marnie liny prężą
I, wiatru żadanego chcąc rozdrażnić duchy,
Naprawdę grzmiały częstemi ze śpiżów wybuchy.
Jak pompejański słupiec, lat pamiętny tyłu,
Na twych zasiadłszy brzegach, ojczyce potwór, Nilu,

Wierzchołkiem w niebo dąży przed ziemskimi oczy
A spodem granitowym spód Erebu tłoczy;
Jak twardo na libijskiej Atlas wsparty stopie;
Tak twardo korabl w morskim uwiązał zatopie.

Waszą sprawą, Neptunie i wód srebrnych Pani,
Coście gmach sobie w tamtej podnieśli otchłani
I, kiedy, od nas zbiegłszy, życie swobodnie,
Pokój wam iberyjscy skłócili przychodnie.
Ta ziemian śmiałość srodze Neptuna ubodła,
Widzi nieznane bronie, widzi straszne godła,
I czy puścić wędrowca mimo swoich straży,
Czy wziąć karę przykładną, długo w myślach waży.
Niepewny, czy mu siła wystarczy trójzębu,
Tak niezmierne spojenia wyruszyć ze zrebłu,
Gdy zna, że losy świata od tego zawisły,
Idzie i, kędy spody ma nawa podwodna,
Wziął ją końcem łańcucha, łańcuch przybił do dna;
Sam rzuca, gdzie przebywał, wód podziemne studnie.
Brał rydwan morskiem dziełem z konch tworzony cudnie.
Zaciął trytony, srebrna które zdobi łuska,
Bieży rydwan i zlekka wód oblicze muska;
A gdy u granic stanął, zaraz ładu bogi
Z otwartemi ramiony zajdą mu pół drogi.
W licach Neptuna troska przebija się skryta,
Każdy pochmurne wróżby z czoła mu wyczyta.
Kazano zwołać radę; zwoływa się rada.
Na berle wsparty Neptun srebrny tron zasiada
I dokoła surowe potoczywszy wzroki,
Tym nakoniec wyrazem jawił żal głęboki:

„O, niegdyś króle świata, dziś ze świata zbiegi,
Rządzący poczynione własną dłonią brzegi,
Niestety, i tej koniec szczupłej nadszedł właści,
Już nas morskie skutecznie nie grodzą przepaści.
Wiecie, co zdawna twardych losów wróżą księgi.
Ze stworzenia dosięgną swych stwórców potęgi,
Zlepki, które Prometej, ubijane z piasku,
Promykami ocucał kradzionego blasku;
Przez morze — umiejętnie wyśledzą posłańce,
Kędy ziemia okute lodem toczy krańce,
I ku siedliskom nocy pomkną śmiale rudle,
Gwiazdę dnia zejda w rannem kąpiącą się źródle.

Posiedzą piorun boży, zwiedzą niebios stropy...
Już się wyrok dopełnił... Nowiny przyniosłem.
Ach! za cóż takich nowin ja muszę być posłem!

Rzuciwszy spolem z wami ulubionych Greków,
W nowej żyłem głębinie dwa dziesiątki wieków,
Gdy wczora nagle strząsł się kryształ mego dachu,
Poczułem górą przejazd niezmiernego gmachu.
Ów ogier, z dyktejskiego wyciosany drewna,
Ów, co go na Trojany słała Pallas gniewna,
Co niechęcych u zdraźnej zaczajać się kępy
Na miasto śmielszych Greków wydzwignął zastępy;
Co mówię?... kiedy niebo, dając kres niecnocie,
Nurzało ziemię w hojnie upuszczonej słocie,
Ów korab, co świat żywy uniósł nad potopy,
Marnieby chciał iść w równi z korabiem Europy.
Dane ostatnim ziemi pologiem straszdyła
Jak miały liczne barki, tak on liczne skrzydła,
Z czoła dębowym słupem oparł się w obłoki,
Łaną z miedzi zbroicą poobtaczał boki.
Jam niepewny, czy siła wystarczy trójzębu,
Tak niezmiernie spojenia wyruszyć ze zrębu.
Gdy znam, iż losy świata od tego zawisły,
Że sprawa godna wasze zajmować umysły,
Szedłem — i kędy spody ma nawa podwodna,
Wziąłem końcem łańcucha, łańcuch wbilem do dna,
Dziś mamy po głębokich namysłach rozstrzygnąć,
Przez jakie kar rodzaje zuchwalca doścignąć:
Czy moc wspólna niech okręt dobywa i pali,
Czy go w wieżach na łaskę rzucić morskiej fali,
Czy gwałtu użyć mamy, czy ulegać podło?
O, nie! zawsze do złego uleganie wiodło.
Dzielnie strzec ostatniego przystało siedliska,
Z niem lub się wszystko straci, lub wszystko odzyska."

To rzekł i spoil bogom usta zadziwione.
Myśl niepewna na różną przeważa się stronę:
Walczyć, czy ulec podło... Zemsta przewycięża.
Oreża! krzykną wszyscy; brzeg odbił: oreża!
Wtem niebo krwawą chmurą objawiło gniewy,
I czterokroć raz po raz trzasnął piorun lewy.
Ucieczka; przestach zimny radzących napada,
Pierchnęli wszyscy... spełzła na niczem obrada.

IMPROWIZACJA ADAMA MICKIEWICZA

z powodu wysyłania filaretów na linię kaukaską

d. 12 paźdz. 1824 r. o godzinie 4-tej rannej.

I.

Muszę zakończyć — ja com zaczynał
Gdy padł mrok, a wschodzi słońce —
Jam dał początek, dam teraz finał
I złączę pieśni dwa końce.

II.

Niedosyc na tych dostarczasz wątek,
Młody poeto i bracie!
Słyszę, że blisko nadchodzi piątek,
O piątku posłuchać macie.

III.

Jak ów, co święty stwórzyciel wiary
Umęczon był przez gmin dziki,
Równe tu chęci, równe zamiary
I równe są męczenniki.

IV.

On najcelniejszy ze wszystkich świętek
Dzień sobie święty zapisał;
On był, o bracia! umęczon w piątek,
Nim się na skrzydłach kołysał.

V.

Nim się kołysał, skoczył z Taboru,
Wprzód pośród śmierci był cieni;
Nim anielskiego posłuchał choru,
Bili go kaci zjuszeni.

VI.

Wy, coście poszli w Chrystusa ślady,
My was wielbimy mniej sztucznie,
Ale na wieki z was brać przykłady,
Przyrzekają wierni uczniu.

VII.

Gdy na wielkiego Uralu czoło
Pośle najeźdźnicy podli,
Gdy będzie warczeć pocztowe koło,
Duch się za wami pomodli.

VIII.

Ten, co aniołom słusznie w urzędzie
Włada na niebieskim tronie,
Anioł was Jego piastować będzie,
W okropnej drogi przegonie.

IX.

Ci, co zostają, z myśli nie tracą
Pamiętki tego wieczora —
Ach! niegdyś wspólnie szliśmy tam... pracą,
Lecz stopa nasza mniej skora.

X.

Wy pierwsi poszli, pierwsi cierpicie
I pierwsi zyskali chwałę —
Nam cała wolność, nam całe życie,
Lecz serca nasze nie całe!

SONET.

Rozeszliśmy się wczora weseli i zdrowi;
Wczora moja zostałaś; dziś z nowym pospiechem,
Z nowym ogniem w żrenicach i wyższym uśmiechem
Biegłem po szczęście, które dzisiaj się odnowi.
Wzdychasz, niechcesz pokazać oczu kochankowi?
I ma pierś mimowolnem ozwała się echem
Na ten głos niewinności, przestraszonej grzechem,
I me oko musiało oddać hołd wstydowni.
Ten smutek, ten wstyd nową dla ciebie ozdobą,
Lecz jeśli się pod niemi zgryzota ukrywa
I krótką radość wieczną chce zaćmić żalobą,
O, kochanko, ich widok serce mi rozrywa...
Nie chcę więcej tych westchnień i rumieńców z tobą,
Bądź mi mniej doskonała, a więcej szczęśliwa!

DO MOJEJ PRZYJACIÓŁKI

Oby mi teraz skrzydła z nieba dostać
 Takie lecące, jak duch mam ochoczyć!
 Wiatrówby mi nie przestawał chłostać,
 Ażbym doleciał, gdzie świecą twe oczy.
 Potem na wieki ptakiem stać się gotów,
 Skrzydłami drogie niech podścielę nożki,
 Kędy już, górnych wyrzekłszy się lotów,
 Uklękły czasu i miłości bożki.

Patronko biednych losów przyjaciela,
 Nagródź mu długi niewidzenia smutek
 Okiem, zebraniem w promienie wesela:
 Boś twoim prośbom wymodliła skutek!
 Jeżeli własne przecierpiał katusze
 Jeśli ból cudzy nie mógł mnie domęczyć,
 Tobiem to winien! czułą mając duszę,
 Nie mogłem umrzeć, musiałem zawdzięczyć.
 Niebaczny! czyliż przez ziemskie starania
 Anioła stróża okupić przysługi?
 Wielbić je nawet twa skromność zabrania;
 Tylko na sercu wolno pisać długi.
 Niebu ich tylko wiadoma rachuba,
 Gdzie brylantowem piórem na granicie
 Cnotliwe czyny ryje dłoń cheruba
 I gdzie wyryte całe twoje życie.

ACH, JUŻ I W RODZICIELSKIM DOMU.

Ach, już i w rodzicielskim domu
 Byłem złe dziecię;
 Choć nie chciałem się naprzykrzać nikomu,
 A przecie
 Byłem złe dziecię;
 Przeszkodą i zawadą
 A choć wszystkich kochałem, ni w dzień ni w nocy
 Nie byłem nikomu ku pociesze, ni ku pomocy.

URYWEK.

Bóg miłosierny wejrzał w końcu na rodzeństwo,
 Na którym takie było niebłogosławieństwo.

Że każde dziecko na świat wchodziło w ostrogu.
Lub w kibitce, lub w polu gdzie na siana stogu,
[O ojcu swoim miało tylko tę wiadomość,
Że kiedyś był, gdzieś zginął nieboszczyk jegomość]
Więźniem, tułaczem z pieluch, tę tylko wiadomość
Mając o ojcu, że był nieboszczyk jegomość,
Że wojował i zginął jak jego przodkowie,
A syn sierota rośnie przy swej matce, wdowie.
Rodzina przecież sławna w kraju, ludziom miła,
Cieszą (się) wszyscy, że się dziś rozweseliła.
Właściciel zamku, który był gubernatorem
Zjechał wczora na zamek z całym swoim dworem
Cały rok zwykle mieszka w stolicy, w Grodnie
Na wieś zjeżdża bawić się zimą dwa tygodnie
W czasie świąt Narodzenia Bożego

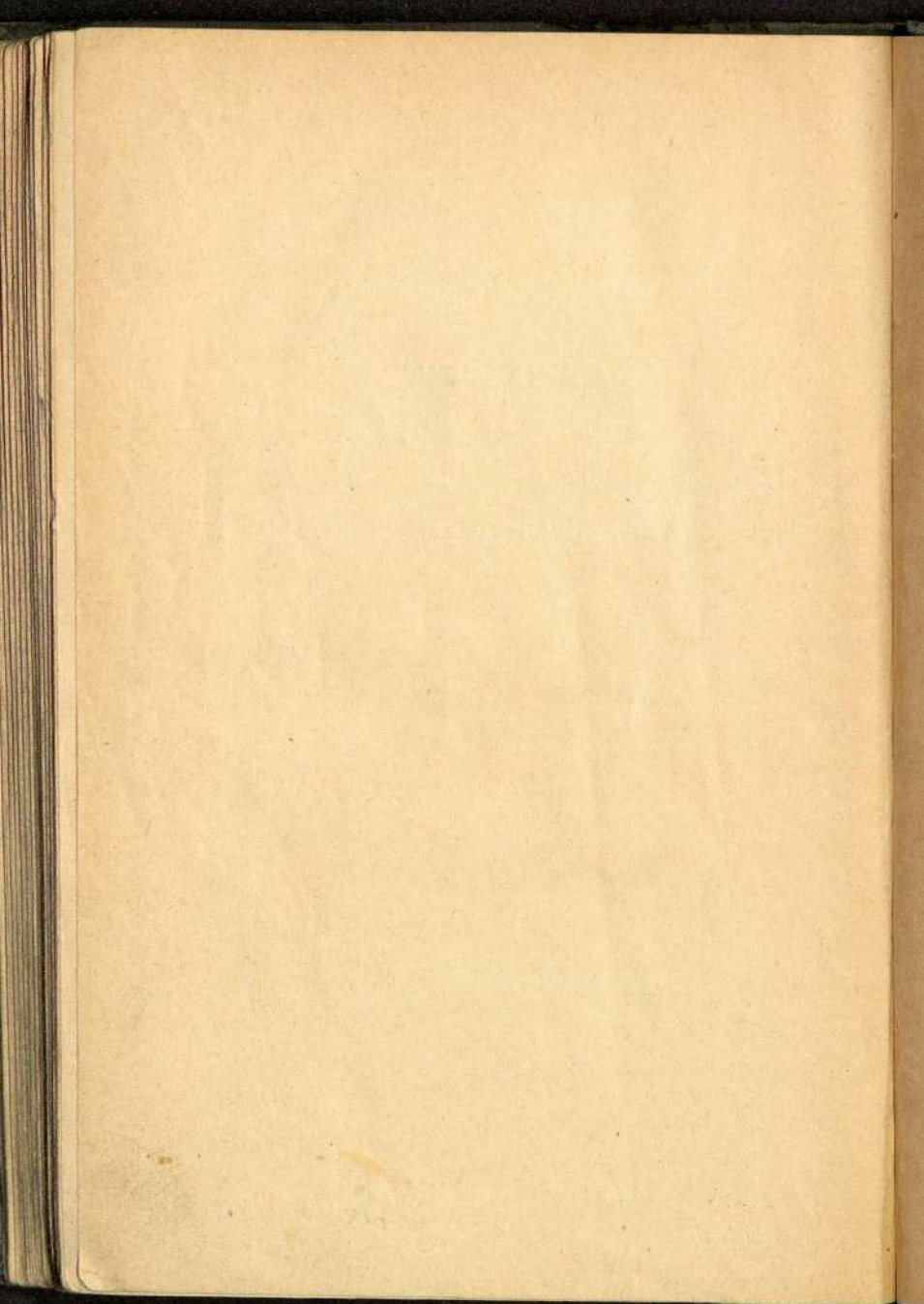


313



SPIS RZECZY

	Str.
Dziady	3
Rzut oka na poemat „Dziady“	219
Objaśnienia	221
Dopełnienie utworów poetycznych zawartych w t. I—IV.	224



Biblioteka Główna AP w Siedlcach
nr inw.: KG - 95



95